

ALFRED SIATECKI

POZADUSZKI



POZADUSZKI

Z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry „Winnica” ukazały się publikacje:

Marek Jurgoński, *Mniejsza epopeja*, poemat, 2014

Andrzej K. Waśkiewicz, *Lubuskie środowisko literackie.*

Szkice z lat 1963-2012, red. Eugeniusz Kurzawa, 2014

Czesław Sobkowiak, *Światło przed nocą*, wiersze, 2014

Mirosława Szott, *Anna*, proza poetycka, 2015

Kronikarz czasu. Znana i nieznana Zielona Góra w fotografiach Zbigniewa Rajche, 2015

Zbigniew Jujka, *Czarne na białym*, rysunki, 2016

Barbara Konarska, *Niesyta czasu*, wiersze, 2016

Robert Rudiak, *Umieralnia*, wiersze i proza, 2016

ALFRED SIATECKI

POZADUSZKI

Zielona Góra 2017

Redakcja
Alina Polak-Woźniak

Skład, łamanie i korekta
Ewa Popiłka

Projekt okładki
Kamil Pietruczynek
[www. Kamilpietruczynek.pl](http://www.Kamilpietruczynek.pl)

Copyright © Towarzystwo Miłośników
Zielonej Góry „Winnica” & Alfred Siatecki

Wydanie pierwsze
Zielona Góra 2017

ISBN 978-83-944790-3-9

Zrealizowano przy pomocy finansowej miasta Zielona Góra



Wydawca
Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”
[www. tmzg.org.pl](http://www.tmzg.org.pl), e-mail: tmzg-winnica@o2.pl

Druk i oprawa
Ofcyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego

Świetlanej pamięci moich Rodziców

*Wysoko rozwinięte cywilizacje są bardziej przyjazne
i bezinteresowne.*

Alan Bean, astronauta amerykański

*Każdy kontakt z zaawansowaną cywilizacją może
skończyć się dla nas tak, jak dla Indian skończyło się
spotkanie z europejskimi kolonizatorami.*

„Archaeology, Anthropology
and Interstellar Communication” 2014

Wino musujące

Najbardziej dociekliwi zielonogórzanie uważają, że my, Iluminauci, jesteśmy od niedawna w Winnym Grodzie. A jesteśmy od 1740 roku, kiedy miasto stało się pruskie i niemieckie. Prawda, dawniej wystarczyła nas garstka, bo i grünberczyków było niewielu. Dziś jesteśmy w każdym sklepie, firmie, szkole, urzędzie i biurze, parku... Jesteśmy także we władzach partii, wśród radnych, nawet jeden z zastępców prezydenta miasta należy do naszego kręgu. W zależności od okoliczności bywamy niewidzialni. Na co dzień ubieramy się tak, aby nie odróżniać się od ludzi.

Od zawsze podejrzliwi profesorowie warszawiacy i poznaniacy, a ostatnio również wrocławianie zaczynają przedstawiać dowody naszej obecności na Ziemi. Na przykład, kiedy sukcesem zakończyła się operacja przeszczepienia serca i płuc. Albo gdy kobieta nosiła w swoim brzuchu nie jedno, nie dwoje i nie troje, lecz aż pięcioro dzieci i urodziła je zdrowe. Po tym, kiedy młodzik ze sztywnym stawem skokowym i nogą krótszą o pięć centymetrów skoczył wzwyż na stadionie olimpijskim w Londynie tak wysoko, jakby był w pełni sprawny, komentatorzy jeden po drugim powtarzali, że wydarzył się cud. Że to nie mogło udać się niepełnosprawnemu człowiekowi. Uwierzcie mi, że my, Iluminauci, nie mamy nic wspólnego z tym i poprzednimi zdarzeniami. Nie identyfikujemy się też z Kaligulą, Attyłą, Iwanem Groźnym, Hitlerem, Stalinem, Aminem, Pol Potem i setkami oprawców.

Od dawien dawna wnikliwi badacze słusznie podejrzewają, że ludzie na Ziemi nie są tylko ze zwierzętami i roślinami. Jedni uważają nas za istoty pozaziemskie o wysokiej inteligencji. Zdaniem drugich: zaprzędaliśmy duszę diabłu. W dodatku jakby na własną zgubę co kilka lat grupki Ziemian przypominają Żydom, że są narodem wybranym. Nic bardziej fałszywego. To my, Iluminauci, drobiazgowo przygotowujemy się do tego, żeby panować nad wszystkimi istotami żywymi i być wszechwładnymi panami Ziemi. Czy stanie się to jutro, za miesiąc, w przyszłym roku, wie tylko ten, który nas tu wysłał. Wielki Iluminauta.

*

Grempler ani się nie odzywał, ani nie bębnił palcami w blat stołu. Siedział z głową zadartą na sufit, jakby go nie interesowało, po co kazał Häuslerowi przyjechać do biura przy Hospitalstrasse. A Foerster, chociaż nie miał wiodącej roli w spółce, był wzburzony. To zrywał się z krzesła i zacisnąwszy dłonie, pochylony, szybkimi krokami chodził wzdłuż ściany, to zatrzymywał się przy drzwiach i krzyczał do Häuslera:

– Z torbami pan nas puścisz! – przechylił głowę w stronę Gremplera, co oznaczało, kogo ma na myśli. – Pal licha ja! Trudno, zaufałem panu i jak dzieciak dałem się namówić. Na szczęście nieźle sprzedaje się sukno... Ale że do tego wciągnąłem szwagra... Moi panowie, mousseux przyniesie zyski już w pierwszym roku. A jak dorosną i zaczną owocować młode sady wokół Hirschberga, przetwórnia będzie pracowała na trzy zmiany, przez siedem dni w tygodniu. Za dwa lata, panowie, wszyscy będą pili nasze wino, chociaż jabłkowe. Bo dużo tańsze od reńskiego. Tak pan mówił,

Häusler? – Nie czekając na jego reakcję, rzucił: – Koniec naszej spółki!

– Powoli, szwagrze, nie bądź w gorącej wodzie kąpany.
– Grempler utkwiał spokojne spojrzenie w twarzy Foerstera.
– O tym, kiedy nasze drogi się rozejdą, ja jako prezes zdecyduję. Panie Häusler, jaką mamy szansę, że dotrwamy do nowych zbiorów?

Häusler oparł się mocno plecami o poręcz krzesła, splecione dłonie położył na czubku głowy i milczał, jakby w ten sposób dawał Gremplerowi do zrozumienia, że jego również niepokoi to, co się dzieje w spółce, ale doświadczenie mu podpowiada, aby nie poddawał się już na starcie. Był w większych opalach, gdy się okazało, że płytki z drewna, smoły z kalafonią i papieru do krycia dachów wyginają się i pękają pod ciężarem śniegu. Hrabiemu z Langenau zwrócił część pieniędzy, właściciela majątku w Lomnitz przekonał, że winny jest rządca, ponieważ nie kazał zwalić śniegu z dachu stodoły, a kmieciami i chłopami z okolicznych wiosek oraz kamienicznikami nie zawracał sobie głowy, mimo iż grozili mu sądem. Prawdę mówiąc, to gdyby nie nadburmistrz, któremu wmówił, że jeśli uparcie będzie trzymał stronę wszystkich bez wyjątku hirschberczyków, wtedy padnie Stadtparkasse i natychmiast drobni ciułacze zażądają jego głowy. Zresztą po to namówił Gallera i Kutschkę do zawiązania miejskiej kasy oszczędnościowej, aby mieć dostęp do pieniędzy na rozbudowę manufaktury płytek dachowych i z czego dokładać do przetwórni jabłek. Było ciężko, ale skoro dotąd się udawało, więc i dalej szczęście powinno mu sprzyjać. Zły w interesach jest brak długofalowych planów, lecz jeszcze gorsze rozłożenie rąk i lamentowanie zaraz po pierwszych oznakach klapy.

– Szansa, panowie, jest zawsze – powiedział, niewiele sobie robiąc z reprimendy Foerster. – Pan jesteś młody inwestor, to i już chciałbyś mieć pieniądze na koncie. Gdy byłem w pana wieku, Grempler, myślałem identycznie. Im kupiec ma więcej lat i mniej włosów na głowie, tym z jednej strony jest powolniejszy, z drugiej mądrzejszy i potrafi przewidywać. Zdaje sobie sprawę, że czas biegnie coraz szybciej, a on jeszcze nie osiągnął tego, co sobie zaplanował, dlatego myśli i liczy na cudowne wsparcie.

– Do rzeczy, Häusler – przerwał mu Foerster, za nic mając to, co powiedział hirschberczyk. – Nie siedzimy tu po to, żeby słuchać pańskiego kazania.

– W Landsbergu nie sadownik, a magistracki jurysta wyhodował nową odmianę renety. Niepodatna na choroby i rodzi jak króliczka. Wręcz idealna do sądów w kotlinie pod Riesengebirge. Niestety, sok ma zbyt kwaśny, a dosładzanie go melasą za dużo kosztuje. Dlatego kupowałem grünberskie winogrona. Sprzedaż cydru poprawiła się, ale nie na tyle, żeby dać satysfakcję panom i mnie. U nas, Foerster, przede wszystkim lud nie ma zwyczaju picia wina. I, co się z tym wiąże, rynek zbytu jest wąski.

– W takim razie rynku zbytu trzeba szukać gdzie indziej.

– W Nadrenii, Palatynacie, Badenii są co najmniej tysiące winiarzy. Wszyscy tłoczą pierwszorzędny trunek ze słodkich winogron. I też narzekają na malejące zainteresowanie ich winem.

– A jakby na wschodzie...? – Foerster przechylił głowę w stronę Häuslera i zmrużył pytające oczy. – Na sukno jest tam spore zapotrzebowanie.

– W niedzielę będzie tydzień jak wróciłem z Krakau – powiedział Grempler. – W tamtejszych lokalach podają

naprawdę dobre wina węgierskie, z Doliny Loary, nawet, co mnie zaskoczyło, z hiszpańskiego regionu Rioja. Daleko naszemu mousseux do spumante z Italii. Świat robi się mały, panowie.

– A czemu nie szukać zbytu w Rewelu, Düna­burgu albo jeszcze dalej na północy? – spytał Häusler, wywołując zacie­kawienie na twarzy Foerster­a, który nie mógł sobie przypomnieć, gdzie leżą rzecz­one miasta. – Do Kurlandii czy Livlandii jest bliżej z Grünberga niż znad Mozeli, to i nasze wino powinno być tam tańsze o koszt transportu.

– Tańsze... możliwe, ale czy smaczniejsze? – spytał Foerster. – Ludzi trzeba przekonać do produktu, a to można zrobić, owszem, za pomocą ceny, jakości i... promocji. Dlatego nie mam zamiaru zawracać sobie głowy północą. Tamtejsi mieszkańcy, o ile mnie pamięć nie myli, bardziej wolą wódkę. Tego nawyku, a raczej zapotrzebowania związanego z klimatem, Häusler, pan nie zmieni.

Gremp­ler uznał, że szkoda czasu na dywagowanie, skoro dziś żaden nie wie, w jaki sposób zwiększyć sprzedaż miejscowego trunku. Liczył na Häuslera, lecz ten widocznie co innego ma na głowie. Freidrich jest w gorącej wodzie kąpany, toteż gdyby coś wymyślił na poczekaniu, okaże się to pisane patykiem po mętnej wodzie.

– Panie Häusler i ty, drogi szwagrze, spotkamy się za dwa tygodnie. Z go-towy-mi pro-po-zy-cja-mi – zdecydował. – Nie ukrywam, że liczę na pana doświadczenie, wiedzę i kontakty, Häusler.

*

Podpowiedziałem Häuslerowi, aby wybrał drogę powrotną nie przez Sagan, którędy było bliżej do Hirschberga,

lecz przez Bunzlau. Będzie mógł sprawdzić w oberżach i gospodach, co piją ci, którzy tam się zatrzymują. W Heinersdorfie, pierwszej miejscowości za Grünbergiem, nie dostrzegł ani wieży kościoła, ani wyszynku. Nie był tym zaskoczony, ponieważ wieś przylegała do miasta i pewnie ci, którzy lubią wino, zaglądają do winiarni na Hirschbergu. Cztery mile dalej, gdy wyjechał z lasu i po obu stronach drogi była łąka, dojrzał park w Günthersdorfie, w nim pałac z trzech stron okolony młodymi platanami. Nie wiedział, do kogo należą dobra, mimo to kazał stangretowi skrócić w otwartą na oścież bramę. Gdy konie zatrzymały się na podjeździe przed pałacem, do kocza podszedł ogrodnik i zdjawszy czapkę z głowy, wyjaśnił, że księżna wyjechała do Karlsbadu, skąd wróci nie wcześniej niż przed Bożym Narodzeniem. Księżna? Häusler już otworzył usta, aby spytać, o której księżnej mówi ogrodnik, gdy przypomniał sobie, że Grempler wspominał o nowej właścicielce lenna. Ponieważ budowla w Sagan wymaga gruntownego remontu, Dorota Talleyrand-Périgod kupiła pałac w Günthersdorfie, z czego najbardziej cieszy się wieś i jezuici w Warthenbergu, których wspiera wyjątkowo sownie.

– Powiedz, dobry człowieku, czy na stole księżnej bywa wino grünberskie? Bo widzisz, ja... jakby to powiedzieć? Prowadzę skład win – wyjaśnił Häusler, ale nie przyznał się, że tylko częśćka tego składu należy do niego. Głównym właścicielem winiarni jest Grempler, szwagier Foerstera.

– Jej książęca wysokość bywała na dworach francuskich, to i pija wyłącznie wina francuskie.

– Słusznie. Nie ma bardziej wykwintnego wina niż francuskie. Może reńskie mu dorównuje.

Ogrodnik ani nie przytaknął, ani nie kiwnął głową. Häusler pomyślał, że chłopina nie wie, co jest dobre. Pewnie najlepiej smakuje mu sznaps. Nie pomylił się, bo gdy spytał, jakie trunki piją miejscowi chłopci, ogrodnik wyśmiał:

– Sznaps. Latoś śliwki obrodziły. A jabłka jak żadnego roku.

Häusler nie miał więcej pytań, więc kazał stangretowi świsnąć batem i jechać dalej.

Na nocleg zatrzymał się w oberży Zum gebratenen Storch, skąd było widać płomyki lamp oświetlające domy w Bunzlau. Pierwszy raz był tak blisko miasta, o którym słyszał, że jego garncarze są mistrzami w wypalaniu kufli, talerzy, miseczek z miejscowej glinki. Naczynia malowane granatową farbą cieszą oczy biesiadników nawet w Dresden i Leipzig, chociaż stamtąd żabi skok do znanej manufaktury w Meissen.

– Podaj coś do zjedzenia, co jest waszą specjalnością – zwrócił się do właściciela. – I do tego pół dzbanka przedniego cydru.

– Cydru? – spytał oberżysta, wybałuszając oczy. Od dziecka podaje gościom, ale jeszcze nikt nie zamawiał cydru.

– Jabłecznika. Cienkiego wina z jabłek – wyjaśnił Häusler.

– Jak wino, szanowny panie, to musi być z winogron. Białe. Czerwone.

– Znaczy nie podasz cydru?

– Szanowny pan jest pierwszym, który pyta o... cydr.

– Co z ciebie za oberżysta, jak nie słyszałeś o cydrze?

– Mogę podać wino białe lub czerwone, sznaps, weinbrand albo winiak czy siwuchę, jak mówią ci z Polski – załamując palce, wyliczał oberżysta.

– A masz wino grünberskie?

– Jest, tylko że ono, panie, kwaśne. Lepszy goście piją wina reńskie, węgierskie, najlepsze, ale tych bywa tu niewiele, francuskie.

Zaraz po śniadaniu Häusler kazał stangretowi zaprzęgnąć konie do koczka. Przed wieczorem powinien być w swoim domu przy Greiffenberger Strasse i zasiąść do kolacji. Ale zanim tam dojedzie, musi sprawdzić, czy w jego rodzinnym Löwenbergu oberżyści podają cydr i wina grünberskie.

– Owszem, proszę pana – usłyszał w karczmie Zur Brauerei, położonej opodal nowego browaru. – Co pan każe podać: cydr czy wino? A może to i to?

– Goście częściej pytają o wino czy o cydr?

– Podróżnicy z Niemiec najczęściej pytają o piwo. Ci z Polski wolą kufel piwa i miarkę sznapsa.

*

Grempler był gotów przyjąć do spółki nawet diabła. Namówiony przez szwagra, wiosną kupił sześć wielkich beczek na wino z węgierskiego dębu i żeby wyszło taniej, zamówił u tego samego bednarza w Sawade jeszcze dwie tak ogromne, że drewno na nie rzemieślnik sprowadził aż z tartaku pod Krummhübel. Postawi je w nowej piwnicy przy Hospitalstrasse, którą firma Weinerta obiecała wykończyć najpóźniej do lata. Oddziedziczył największą winnicę na Ziegelberg, wziął w dzierżawę wprawdzie niedużą, za to wypielegnowaną plantację za cmentarzem w Lawaldau i jeszcze zawarł umowę z właścicielami upraw na Patzgall na dostawę winogron. Jeśli w przyszłym roku na krzakach winorośli znowu będzie kiść przy kiści, a nie znajdzie się

poważny nabywca trunku, padnie interes. Szwagier sobie poradzi, wszak na sukno jest ciągle zapotrzebowanie nie tylko ze strony drobnych kupców, bo i armia królewska uznała je za wyjątkowo tanie i mimo to niezłe na mundur. Sądził, że jeżeli do spółki weźmie Häuslera, który niemal całą kotlinę pod Hirschbergiem obsadził jabłoniami i sok z owoców przerabia na wino, to w mgnieniu oka rozkręci interes. Może i by się udało, gdyby nie piwowarzy, którzy tak obniżyli ceny na trunek z pianą, że puszcza Gremple-
ra z torbami. W dodatku Foerster namawia ich do budowy wielkiego browaru na wzgórzu przy Freystadter Chaussee, co z pewnością sprawi, że zaczną znikać winnice na Hohnbergu.

Nic, tylko trzeba zająć się czymś innym, bardziej dochodowym, pomyślał, ale czym? Na uprawie winorośli i produkcji wina znam się jak mało kto w okolicy. Może jedynie Engmann mnie przewyższa, ale i on narzeka na malejące zainteresowanie grünberskim trunkiem. Jeśli zechcę sprzedać winnice, nikt ich nie kupi, bo po co komu niezalesione wzgórze? W dodatku jakieś лихо mnie podkusiło, abym za pożyczone z banku pieniądze zaczął stawiać winiarnię z głębokimi piwnicami.

*

Po powrocie do domu Häusler też się zastanawiał, co dalej robić. Setki litrów jabłecznika fermentują w kadziach. W składzie nie ma nawet jednej pustej beczki. Półki uginają się pod ciężarem butelek złocistego trunku. Czym zachęcić hirschberczyków do kupowania cydru? Może trochę rozdać oberżystom, żeby częstowali swoich gości? Wszystkich nie da się przekonać do wina owocowego, ale na początek powinna znaleźć się garst-

ka, która zacznie zachwalać miejscowy napitek. Najgorsze, że w Hirschbergu nie ma się z kim skonsultować. Przecież nie pójdę do Schaffgotschów czy do młodego Erfurta na konsultacje, zdecydował w myślach.

Samuel Häusler, podziwiany i dawany za przykład radzenia sobie w najtrudniejszych sytuacjach, siedzi przy stole i zamiast rzucać pomysłami, ma pustkę w głowie. W dodatku niecierpliwy Grempler naciska na niego, a sprytny Foerster grozi wycofaniem się ze spółki.

– Oddałbym ćwierć, nawet i połowę zysku, gdyby wrócił ten mądrała, który podpowiedział mi, jak robić płytki dachowe – powiedział do żony, mnie mając na myśli. – Oglądał gotowe wyroby i kręcił głową niezadowolony. A gdy spytał o cenę, odpowiedziałem nie wprost, bo może akurat uda się przekonać go do zakupu, że to nowość znad Tybru. I jak każda nowość musi kosztować więcej.

– Dachówki cementowe, po pierwsze, w tutejszym klimacie nie chronią przed zimnem. Po drugie, są zbyt ciężkie, a to powoduje, że drewniana więźba mocno się napina, co zawsze prowadzi do katastrofy budowlanej. Po trzecie, są za drogie – powtórzyłem to, co usłyszałem w firmie Bernharda Röbena w Zetel-Schweinebrück, gdzie odbywałem praktykę.

– Moje dachówki są za drogie i nietrwałe, mówisz pan?... Jednak tańsze niż dachówki ceramiczne. Dużo tańsze. Nawet tańsze od dachówek ceglanych. To już nie te czasy, żeby dachy kryć strzechą ze słomy. Kogo stać na postawienie pałacu, znajdzie też pieniądze na porządne dachówki...

– Niech pan pomyśli rozsądnie. Może jednak da się zrobić coś innego, bardziej przydatnego w podgórskim klimacie, a przede wszystkim tańszego na pokrycie

dachu – przerwałem Häuslerowi, naprowadzając jego spojrzenie na schnące pod ścianą deski, potem na beczki ze smołą i pryzmę zabarwionego piasku. – Niech pan robi płytki dachowe.

– Gdyby było możliwe, już któryś ze Schaffgotschów by je robił i zachwalał.

– A gdyby dachy kryć płytkami drewnianymi pokrytymi kilkoma warstwami kitu ze smoły i kalafonii, przedzielonymi papierem?

– Co takiego?

– Niech pan zajmie się produkcją takich płytek, o jakich powiedziałem. Posypane piaskiem zabarwionym na czerwono czy żółto, będą kusily klientów. Wręcz idealne na dachy domków ogrodowych, szop na narzędzia, magazynów. Przestrzegam przed kryciem nimi dworów i kamienic. Pod ciężarem śniegu będą pękały – dodałem, widząc rosnące zainteresowanie w oczach Häuslera. Jak niepostrzeżenie pojawiłem się na podwórzu, tak zniknąłem.

Häusler rozglądał się, ale ponieważ poza nim nikogo nie było przed biurem, przykucnął i nakreślił patykiem na ziemi taką płytkę, o jakiej mu opowiedziałem. Potem zawołał majstra, kazał mu dokładnie zapamiętać to, co było na ziemi i natychmiast wziąć się za robotę, a sam pojechał do redakcji tygodnika „Der Bote aus dem Riesengebirge”, gdzie miał zamiar dać ogłoszenie o rewelacyjnym materiale na pokrycia dachowe.

Zainteresowanie płytkami było tak wielkie, że w pierwszym roku robotnicy pracowali na trzy zmiany, nawet w niedziele i święta. Wychwalany przez nadburmistrza, Häusler nikomu nie przyznał się, kto mu podpowiedział, na czym można zarobić dużo pieniędzy.

– Gdyby ten nieznajomy znowu pojawił z pomysłem, w jaki sposób opróżnić piwnice i magazyny z jabłeczni-ka, byłbym mu dozgonnie wdzięczny – powiedział sam do siebie. – Mało tego, wziąłbym go do spółki i sprawiedliwie dzielił się zarobkiem.

*

Foerster był wściekły, bo poeta z Breslau, jakiś Karl von Holtei, napisał śpiewogrę, w której wyśmiewa się z grünberskiego wina. Że cesarz miał powiedzieć, iż tutejszy trunek lepiej wygląda niż smakuje. Holtei twierdzi, że grünberskie Wino Czterech Mężczyzn, to takie, którego żaden mężczyzna w pojedynkę, bez pomocy czterech pozostałych, nie jest w stanie przełknąć. Jest kwaśne niby ocet Wino Wartownicze, zwane też Obrotowym, które wypala dziurę w żołądku. A Wino Szkolne powinno się pokazywać dzieciom, gdy ociągają się z pójściem do szkoły. Wystarczy, że rzucą na nie okiem i już ich nie ma. Poeta, a przy tym humorysta Johannes Trojan żartował, że tego, kto pije grünberskie wino, przechodzą dreszcze, a ten kto je wypił, gorzko tego żałuje. To i Foerster zastanawiał się, w jaki sposób przekonać grünberczyków do miejscowego trunku. Prawdę mówiąc, to było mu szkoda zmarnowanego czasu i talarów zainwestowanych w spółkę. Gdyby tymi pieniędzmi dołożył się do budowy browaru, pewnie już by miał na wkład do kolejnego interesu. Na razie z winem nie wychodzi, a trzeba się spieszyć, bo Seidel zapowiada, że do opustoszałych pomieszczeń po składzie sukna przy Holzmarktstrasse latem wstawi prasę i robotnicy będą tłoczyli sok z jabłek na cydr. Kupiec z Glogau, z którym Foerster zaczął prowadzić drobne interesy, doniósł mu, że jego

sąsiad Weinert ma zamiar przenieść swoją przetwórnię do Grünberga, gdzie będzie robił ocet winny, a z pestek wyciskał olej, który podobno jest w cenie.

I właśnie wtedy, gdy rozmyślał zły na Holteia i czując na sobie oddech konkurentów, wpadł na ów pomysł. To znaczy jemu tak się wydawało, w rzeczywistości moje podpowiedzi wniknęły do jego głowy. Zacząłem od objaśnienia, że z punktu widzenia lojalności żaden plan nie ma nic wspólnego z uczciwością. Każdemu młodemu kupcowi chodzi przede wszystkim o zarobek. Foerster nie musiałem przekonywać, że jeśli jego szwagier będzie starał się dotrzymywać danego słowa, stary wyga Häusler puści ich obu z torbami.

– Skoro nie wychodzi z jablecznikiem, trzeba inaczej – powiedział Foerster do Gremplera. Był przekonany, że szwagrowi spodoba się pomysł, który mu się przyśnił, chociaż rano miał wątpliwości, czy to na pewno był sen. Zawsze po powrocie z resursy kupieckiej ma głowę pełną projektów. Kiedyś pochwalił się tym szwagrowi, a ten powiedział, że są dwie możliwości: wino wypite w resursie ożywia jego umysł albo do domu prowadzą go istoty pozaziemskie i rzucają pomysły, które on traktuje tak, jakby miał zamiar zadziwić cały świat. – August, podejmij kilka decyzji. Niech firma się nazywa Grempler, ewentualnie Grempler & Co. To powinien być twój pierwszy krok.

– Häusler się nie zgodzi. Przecież nie my jego, a on ciebie i mnie wziął do spółki.

– Jeśli ja dam ci zgodę na zmianę szyldu, sprzeciw Häuslera będzie bez znaczenia. Najwyżej postarszy nas, ale się nie wycofa.

– A jaka ma być kolejna decyzja? – zainteresował się Grempler, jednak zaciekawiony pomysłami szwagra.

– Wiodącym produktem naszej firmy będzie szampan.

– Szampan? Niemożliwe, ponieważ ta nazwa i metoda fermentacji jest zastrzeżona przez winiarzy z francuskiej Szampanii.

– Rum robi się z trzciny cukrowej, rosnącej na Ku-bie, Barbadosie, Jamajce. Jego nazwa też jest zastrzeżona, prawda? – spytał Foerster, a Grempler przytaknął, chociaż nie był pewny, że rum robi się z trzciny cukrowej. – Czesi tym się nie przejmują i fermentują rum tuziński z buraków cukrowych. Dużo tańszy, bo niższe koszty dowozu do składów w Europie. I co im kto zrobi?

– Ale to wbrew...

– Dlatego firma Grempler będzie produkowała nie szampany, a wino musujące. Grünberger mousse.

– Grünberger mousse – powtórzył Grempler, po czym się roześmiał. – Gdyby to było możliwe, szwagierku, Engmann już by dawno zarzucił rynek swoimi wyrobami. Chyba nie muszę cię przekonywać, że tutejsze winogrona są bardziej kwaśne niż te znad Renu. Bez dosłodzenia moszczu nie da się uzyskać wina w miarę znośnego.

– Masz rację.

– Doprządzanie grünberger mousse miodem czy cukrem podniesie koszty. Wtedy nasze wino musujące będzie kosztowało tyle, co francuski szampan.

Dopiero teraz Foerster przyznał się, że pomysł pojawił się w jego głowie w nocy. Jakiś głos mu odpowiedział, żeby do jabłecznika Häuslera dodawać więcej młodego wina grünberskiego. Po czym trunek należy rozlać do butelek i w zamknięciu dokończyć fermentację. W trakcie tego procesu powstanie gaz. Niewielka ilość dwutlenku węgla nie jest szkodliwa, przeciwnie, wprowadza smako-

szy w dobry nastrój. Mówi się nawet, że takie wino zapala w żyłach krew, a kobiety za nim przepadają.

– Skąd to wiesz? – zaciekał się Grempler.

– Przeczytałem w „Grünberger Wochenblatt” – skłamał. Bał się przyznać, że ten sam głos, który mu podpowiedział, jak robić wino musujące, zachwalał walory trunku. Gdyby się przyznał, szwagier uznałby go za pomyłeńca. Zresztą czasem tak go traktował.

*

Häusler nie chciał się zgodzić na zmianę nazwy winiarni, ale Grempler tym się nie przejął. Dał znak szwagrowi, aby obwieścił swoją decyzję. Zgodnie z wcześniejszym porozumieniem Foerster stanął po stronie Gremplera.

– Tak zachowują się nielojalni kupcy – zjeżył się Häusler.

– Z pana ust uwaga o nielojalności brzmi śmiesznie – zgasił go Grempler, chociaż gdyby Häusler zagroził sądem albo domagał się uzasadnienia wytyku, nie miałby za wiele do powiedzenia. Owszem, grünberczyk coś słyszał o szwindlach w Hirschbergu, ale ponieważ i on miał trochę na sumieniu, wołał nie pytać o szczegóły.

– Jest jeszcze coś – kontynuował Foerster, wyczuwając, że musi pomóc szwagrowi. W przeciwnym razie Häusler będzie górą. – Za miesiąc rozpoczniemy produkcję wina musującego. Nie winiarze w Hirschbergu będą mieszać jabłecznik z sokiem z grünberskich winogron, a winiarze w Grünbergu będą doprawiali miejscowe wino hirschberskim cydrem.

– Nie zgadzam się! – natychmiast zaprotestował Häusler.

– W takim razie koniec spółki z panem. Od jesieni będziemy kupowali cydr od Weinerta, który do tego czasu uruchomi przetwórnię jabłek – powiedział zdecydowanym głosem Grempler, chociaż akurat tego nie uzgodnił ze szwagrem.

*

Pomimo tego że co tydzień w „Grünberger Wochenblatt” i „Der Bote aus dem Riesengebirge” ukazywały się ogłoszenia wychwalające walory miejscowego wina musującego, zainteresowanie trunkiem nie było takie, na jakie liczył Grempler. Tylko nieliczni właściciele przydrożnych gospód i miejskich restauracji mieli odwagę zachwalać napój z jego wytwórni. Dopiero po porównaniu grünberger mousse do champagner mousse w obu tygodnikach przez doktora Wolffa, sprzedaż drgnęła. Konsumenci zachwalali nowy trunek przede wszystkim dlatego, że był wyraźnie tańszy. Panie, które nie znały się na oryginalnie fermentowanych szampanach, spotykanych jedynie w restauracjach przy wytwornych hotelach, twierdziły nawet, że wcześniej nie miały w ustach tak znakomitego grünberger mousse.

– Oto jaką siłę ma reklama – cieszył się Häusler, który za pomocą ogłoszeń w gazecie pozbywał się nadmiaru płytek dachowych.

*

Szepnąłem Foersterowi, żeby Grempler wysłał kilka skrzynek swego trunku na światowy konkurs szampanów i win musujących w Troyes. Gdy to zrobił, znowu za pośrednictwem Foerstera przekonałem go, aby wybrał się do historycznej stolicy Szampanii. Byłem przekonany, że francuscy degustatorzy wyśmieją jego wino, a tylko o to mi chodzi-

ło, wszak ułożyłem zuchwały plan działania. Mogłem go doprowadzić do końca tak, jak to robią Iluminauci, tym bardziej że mój zwierzchnik, gdy prosiłem o zatwierdzenie zadania, miał wątpliwości, czy nie naruszę obowiązujących nas procedur. Nie będę wyjaśniać, jakich użyłem argumentów, aby go przekonać, że wejdę w skórę ludzką na dłużej i sprawdzę, jak to jest być człowiekiem (uprzedzę ciekawość czytelników, że nie wszystko bez wyjątku, z czym mają do czynienia Ziemianie, mi odpowiadało. Najczęściej denerwowało mnie oszukiwanie niemal na każdym kroku i wiążąca się z tym pogoń za pieniędzmi. A gdyby ktoś chciał się dowiedzieć, czego Iluminauta najbardziej zazdrości Ziemianom, to odpowiem: przyjemności, jakie są udziałem mężczyzn i kobiet we wspólnym łożu).

Pod koniec uroczystości zamykającej konkurs w Troyes podszedłem do niezadowolonego Gremplera.

– Niech szanowny pan nie przejmuję się takim potraktowaniem. To są próżni francuscy winiarze – pokazałem ręką na zadowolonych potomków Moétów, Bollingerów, Jonétów. – Mój chlebowodawca, gdy zaczynał poddawać swoje trunki ocenie jurorów, był w identycznej sytuacji, a dziś, proszę bardzo, bernard imperial cristal został nagrodzony dużym złotym medalem.

Grempler zmierzył mnie podejrzliwie, a potem wziął pod ramię i poprowadził w stronę stolików. Przywołał swojego pomocnika i kazał podać butelkę grünberger mousse.

– Sądzę, że szanowny pan znakomicie zna się na winach. Proszę mi powiedzieć, czego brakuje mojemu trunkowi.

– Niczego – odpowiedziałem po degustacji, udając, że wnikliwie zbadałem kolor, zapach, bukiet. – Wino lekko

wytrawne, perfekcyjnie wyklarowane, z ciekawą nutą smaczkową nieznanej mi odmiany jabłek i trudnego do określenia miejsca pochodzenia soku winogronowego.

– Sok prosto z mojej winnicy.

– Grünberger mousse nie zostało zauważone przez jurorów, ponieważ Francuzi są przyzwyczajeni do innego smaku. Przy nagradzaniu win komisja zwraca uwagę na miejsce pochodzenia owoców, warunki klimatyczne występujące w danym roku i talent kiperza. Medalowy smak osiąga się w trakcie kupażowania, czyli mieszania trunków, dlatego utalentowani kiperzy są na wagę złota. Niech się pan nie obrazi, ale to, czym zostało doprawione grünberger mousse, charakteryzuje raczej ubogi aromat. A aromat, o czym szanowny pan z pewnością słyszał, bierze się ze słońca. Sok wyciskany z winnych gron tam, gdzie już w października dni są chłodne i noce zimne, ma niepełny bukiet. Co innego sok z Szampanii, Italii, znad Mozeli. A przede wszystkim z Dalmacji. – Grempler nie wszystko zrozumiał, dlatego wybałuszył pytające oczy, a o to mi chodziło, więc popisywałem się wiedzą z ampelografii wyniesioną z książek Mirosława Kuleby. – Najlepszy trunek i to bez większego wysiłku winiarzy powstaje na południu Europy, tam, gdzie dzień jest długi. Inaczej się nie da... Chyba że kupażowaniem zajmuje się wyjątkowo zdolny kiper.

– Pan potrafiłby...?

Nie od razu odpowiedziałem, chociaż zdawałem sobie sprawę z tego, że za kilka dni wejdę do biura Gremplera przy Hospitalstrasse i podejmę się roli głównego nadzorcy nad produkcją trunku, bo przecież taki miałem plan zatwierdzony przez mojego zwierzchnika.

- To zależy nie tylko ode mnie - odpowiedziałem z udawanym wahaniem.

- A od kogo jeszcze, monsieur?

- Przede wszystkim od żony. My, francuscy katolicy, staramy się nie robić niczego, co nie spodoba się naszym małżonkom.

- Niech pan, monsieur, przyjedzie z żoną.

- Tu czegoś się dorobiłem...

- Na wprost winiarni kupiłem plac. Panu sprzedam go za talara. I jeszcze pomogę postawić willę, jakiej nie ma w Grünbergu - kusił mnie Grempler, niczego nie podejrzewając.

- Wrócę do domu w Épernay, spytam żonę i niebawem dam panu odpowiedź. - Dwa dni później pojawiłem się w hotelu Comtes de Champagne i oświadczyłem Gremplerowi, że przystaję na jego propozycję. - Żona ucieszyła się, gdyż z Grünberga będzie miała blisko do Radebeul w Saksonii, gdzie się urodziła, zanim jej ojciec wywędrował do Szampanii. José Jourdan - przedstawiłem się wymyślonym na poczekaniu imieniem i nazwiskiem. Dopiero później dowiedziałem się, że José to po hiszpańsku i portugalsku, ale mój pracodawca nie dociekał, jaka krew płynie w moich żyłach.

*

Zanim znalazłem się w biurze Gremplera w Grünbergu, niewidzialny wniknąłem do winiarni w Éperanay, Reims i Versaney, gdzie przypatrywałem się, jak ich właściciele robią ten przesławny szampan. Od nich niewiele zależy, to miejscowa gleba i klimat sprawiają, że wino zdobyło taki rozgłos i wysoką cenę. Poza Szampanią nikomu nie uda się uzyskać takiego zapachu, barwy, a przede wszystkim bu-

kietu. Zrozumiawszy to, Ziemianie pewnie by się poddali, ale nie my, istoty z innego świata, które, gdy Wielki Iluminauta ogłosi manifest, będziemy jedynymi mocarzami na Ziemi i panującymi nad wszystkimi ludźmi, zwierzętami i roślinami.

Już dawno doszedłem do wniosku, że najtrudniej jest przekonać ludzi do nowości, ale jednak oni kupią wszystko, co ma etykietkę z napisem w obcym języku. A jeśli do tego towar jest reklamowany w gazetach i wspierany wypowiedziami zagranicznych opiniodawców, sukces handlowy murowany.

Znalazłszy się w biurze przy Hospitalstrasse, zacząłem od pytania o odmiany winorośli hodowane na grünberskich wzgórzach. Gremler nie był zorientowany, toteż kazał swemu pomocnikowi wezwać ogrodnika.

– Dominują szczepy tradycyjne od wieków. Te nowe w naszym klimacie nie są pewne. Stare, sprawdzone, już się zaadaptowały w tutejszych warunkach.

– Trzeba je wymienić na pinot noir i pinot blanc. Najlepszy, a przy tym najbardziej ceniony trunek uzyskuje się właśnie z owoców tych odmian.

– Niewielka plantacja pinotów zachowała się na południowym stoku Ziegelbergu. Jednego roku rodzą jak oszalałe, drugiego odpoczywają albo, co jest katastrofalne, zimą wymarzają. Już dawno miałem ochotę je zlikwidować, lecz pan Gremler nie pozwala – poskarżył się ogrodnik.

– I słusznie – pochwaliłem Gremlera. – Wszystkie stoki Ziegelbergu trzeba obsadzić pinotami. Dopóki nasze krzewy nie zaczną owocować, a pełną dojrzałość uzyskają za co najmniej cztery lata, będziemy sprowadzali sok z Szampanii.

- Aż z Szampanii? - z niedowierzaniem przerwał mi Gremler. - Przewóz beczki soku zajmie więcej niż tydzień, monsieur Jourdan.

- Mimo wysokich kosztów transportu, to musi się opłacić.

- Transport stanowi...

- Moja w tym głowa, panie Gremler - nie pozwoliłem mu dokończyć. Na razie nie chciałem zdradzić mu swego planu. Gdyby dowiedział się, co mam zrobić, byłby temu przeciwny. Najpierw dotrę do jego szwagra, a ten już swoje zrobi. Mógłbym pominąć Foerster, ale wolałem, aby czuł się potrzebny i ważny, tym bardziej że i wobec niego miałem zamiary. Podpowiem mu, żeby założył towarzystwo upiększania miasta i za składowe pieniądze na najwyższym wzgórzu zbudował wieżę obserwacyjną, jakiej Grünbergowi na pewno będą zazdrościli mieszkańcy Glogau czy Liegnitz, a może nawet i Breslau. Nie robiłem tego ku chwale Foerster, czy dumie zwyczajnych grünberczyków. Chciałem się wykazać aktywnością na okoliczność, gdyby asystenci Wielkiego Iluminauty mieli wątpliwości, czy zasługuję na objęcie ważnego urzędu na Ziemi. Nie po to się staram, ażeby zawsze być kiperem albo czymś podwładnym.

- Nie mam innego wyjścia, skoro ściągnąłem pana do Grünberga. Niech pan każe obsadzić wzgórza pinotami - powiedział Gremler i dodał, że mianuje mnie głównym technologiem, a jeżeli się sprawdzę, to zostanę dyrektorem winiarni.

*

Było tak, jak to sobie zaplanowałem. Tam, gdzie od wieków rosły tradycyjne odmiany winorośli, teraz pinoty wspinały

się po rusztowaniach. Nawet konkurenci Gremplera zaczęli je sadzić, oczywiście na tak zwany wszelki wypadek, bo fama o moich umiejętnościach kiperskich rozniosła się po okolicy lotem błyskawicy.

– Grünberger mousse jest niezłe – potwierdziłem kolejny raz, aby sprawić radość Gremplerowi.

– Byłoby dużo lepsze, gdyby szybciej zniknęło z magazynów.

– Dlatego zmienimy jego nazwę. – Spodziewałem się, że Häusler stanie okoniem, a on nawet nie zmierzył mnie pytającym wzrokiem. Foerster natomiast wyszczerzył zęby i czekał, co powiem.

– Czy zmiana nazwy to na pewno dobry pomysł, monsieur Jourdan? Ostatnio udało się sprzedać kilka skrzynek grünberger mousse do Greifswaldu i Stettin – pochwalił się Grempler.

– To były ostatnie butelki grünberger mousse, panowie, które z takimi etykietami trafiły do konsumentów. Na następnych będzie nowa nazwa. Épernay. – Foerster chciał coś powiedzieć, ale go uprzedziłem: – Język francuski dominuje na świecie i dobrze kojarzy się amatorom wina w ogóle, a wina musującego szczególnie. Ponadto, co przecież jest prawdą, tuż przed drugą fazą fermentacji do naszego napitku dodajemy niewielką ilość soku, sprowadzanego z Épernay. Produkt z Szampanii wyraźnie poprawia smak naszego trunku.

– Słusznie – potwierdził Häusler, a tylko na jego zdanie czekałem.

– Jeśli épernay będzie dobrze się sprzedawało, gwarantuję zbyt wszystkiego, czym od lat są wypełnione beczki.

– Monsieur Jourdan nie zdaje sobie sprawy, ile tam tego jest! – wykrzyknął Foerster w stronę szwagra.

– Moja w tym głowa, żeby pozbyć się wszystkiego.

– To był najlepszy pomysł, jaki panu, Gremler, przyszedł do głowy. – Häusler pokazał na mnie i się uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć, że on by na to nie wpadł, a przecież o lepszego kombinatora trudno w okolicy.

*

Wszystko działało się tak, jak obiecałem Gremlerowi: coraz więcej zamówień na épernay docierało z całych Niemiec i w mniejszej ilości z krajów przybałtyckich. W rozpropagowaniu nowej marki wina musującego pomogli mi Iluminauci, co spodobało się mojemu zwierzchnikowi. A gdy się okazało, że na światowym konkursie w Paryżu épernay zostało wyróżnione złotym medalem w kategorii win niefrancuskich, Gremlera rozsadzała duma. Prawdę mówiąc, to i w tym mieli swój udział Iluminauci.

– Wyłącznie pana zasługa, monsieur Jourdan – poklepał mnie po ramieniu Gremler i zaprosił na kolację do swojej kamienicy przy Breite Strasse. Po wystawnym posiłku, gdy przeszliśmy do saloniku na cygaro, spytał, czy przyjmę stanowisko dyrektora winiarni.

– Wiem, jakie są obowiązki kiper, panie prezesie. Na tym się znam. Nigdy nie byłem dyrektorem – powiedziałem, udając skromnego podwładnego.

– Chodzi o to, żeby pan miał baczenie na wszystko, co dzieje się przy Hospitalstrasse na plantacjach. Zresztą zasłużył pan na takie wyróżnienie. Inni, gdy dowiedzą się, z kim mają do czynienia, będą podchodzili do pana, monsieur Jourdan, z szacunkiem należnym dyrektorowi.

Zgodziłem się przede wszystkim dlatego, żeby dowartościować Gremplera i tym sposobem podnieść znaczenie winiarstwa w krainie grünberskiej. Za jego przykładem pójdzie, jak się spodziewałem, mój ziemski zwierzchnik i gdzie tylko nadarzy się okazja, będzie podkreślał moje zasługi, a na tym najbardziej mi zależało. Nie tylko po to przystąpiłem do Illuministów, aby być jednym z wielu.

Od sukcesów głowa Gremplera mogła rozboleć. Niedługo po furorze, jaką zrobiło épernay, kazałem wydrukować etykiety z nazwami nowych trunków, identycznie jak poprzednie doprawionych sokiem winogronowym przywiezionym z szampańskich piwnic. W końcowej fazie fermentacji zaufany pomocnik dodawał niewielką ilość dwutlenku węgla, co powodowało, że po otwarciu butelki trunek kipiał bąbelkami i miał niepowtarzalny aromat. Nie było to zgodne z zasadą zastrzeżoną dla szampanów, ale poza mną i pomocnikiem nikt o tym nie wiedział. Wina musujące reims i versanay również szybko przyjęły się w Niemczech przede wszystkim ze względu na niską cenę i francuskie nazwy. A gdy z konkursów w Londynie i Wiedniu Grempler znowu przywiózł medale, moja sława dotarła nawet do Szampanii.

– Tylko tak dalej, mistrzu, monsieur Jourdan – pochwalił mnie Grempler przy Häuslerze i Foersterze.

– Teraz, szefie, powinniśmy zmienić taktykę.

– Po co? Skoro tak dobrze idzie...

– Jeszcze przez jakiś czas będziemy utrzymywali obce nazwy na etykietach... i coraz większymi literami dopisywali miejsce powstawania trunku. Za kilka lat doprowadzimy do tego, że każdy smakosz, gdy usłyszy hasło: wino musujące, odpowie: Grempler.

– A...? – zaczął Foerster i zaraz zamilkł. Nagle opuściła go pewność siebie, aby i jego nazwisko pojawiało się na etykietach. Identycznie myślał Häusler, tyle że zdawał sobie sprawę z utraty swego znaczenia w firmie.

– Moim zasadniczym celem jest, panowie, jak największy zysk, który będzie trafiał do waszych kieszeni. Jeśli wy będziecie zadowoleni, ja też na tym skorzystam – powiedziałem, co oni odebrali jako szczere wyznanie. – Polubiłem wasze miasto, dlatego mam jeszcze jeden cel: przy każdej sposobności będę rozślawiał Grünberg wśród przyjaciół krain winiarskich.

– Liczę na pana, monsieur Jourdan – odezwał się Grempier.

Ani on, ani żaden z jego wspólników nigdy nie dowiedział się, kim naprawdę jestem. Nie wiedzieli też tego ich następcy. Tylko najbardziej dociekliwi zielonogórzanie, jak zaznaczyłem na początku, podejrzewają, że nie są sami na Ziemi.

Nie będzie końca świata w Grünbergu

Redaktor Levysohn nigdy nie widział przy winnicach aż tylu dorożek i powozów, ile wczesnym popołudniem 10 marca 1860 roku zatrzymało się po obu stronach drogi wspinającej się na najwyższe wzgórze w Grünbergu. Stojący obok niego Friedrich Foerster nie miał wątpliwości, że ten dzień zostanie uznany za wyjątkowy w dziejach miasta i jego nazwisko z dumą będą wymawiali mieszkańcy jeszcze za dwieście lat. Przede wszystkim dlatego, że po zaledwie półtorarocznej budowie na wzgórzu, dawniej nazywanym Halbemeilmühle, murarze postavili wieżę o charakterze obserwatorium nieba z restauracją, jakiej Grünbergowi zazdrościł nadburmistrz Breslau, dokąd monarcha nakazał przenieść frankfurcką Viadrinę i połączyć ją z Leopoldiną, przeciw czemu próbowali buntować się nieliczni przybysze z zagranicy. Natomiast lojalni wobec Fryderyka Wilhelma III frankfurczycy, mimo że również uważali decyzję władcy za krzywdzącą ich miasto, w milczeniu przyjęli postanowienie wydane w Poczdamie.

– Gdyby i u nas powstała Alma Mater, kształcąca inżynierów, bakałarzy, medyków, naturalistów – trochę jak marzyciel odpowiedział Foerster na pytanie Wilhelma Levysohna z tygodnika „Grünberger Wochenblatt”, gdy redaktor spytał, czym teraz zajmie się jako prezydent stowarzyszenia, którego celem jest upiększanie miasta.

Uważany za wyjątkowego marzyciela sędzia Knobelsdorf powiedział, że to nie jest niemożliwe.

– Proszę bardzo, dwa wieki temu w niewielkim Beuthen koło Glogau powstało protestanckie Schönaichianum, przyznające stopnie magistra – przypomniał i spodziewając się kolejnego pytania ze strony redaktora Levysohna, szybko dodał: – Pan nie doczeka, ja nie doczekam, nasze dzieci i wnuki też nie doczekają, ale za sto lat wokół Grünbergs Höhe rozsiądzie się oczekiwany uniwersytet, taki jak jest w Breslau, Berlinie czy Königsbergu. W tej wieży – pokazał na okraglak – będzie najprawdziwsze obserwatorium astronomiczne.

Grünberskim gospodnikom, sukiennikom, drobnym winogrodnikom, a przede wszystkim rajcom miejskim z ludu nie spodobała się sylwetka budowli zaprojektowanej przez doktora Gersdorfa, dlatego przewali ją rondlem z maczugą. Wprawdzie poza restauratorem Pallem, pod którego nadzorem dwaj kucharze będą przygotowywali strawę, nikt nie miał okazji wspiąć się po schodach na wieżę i pewnie wielu nigdy tego nie robi, choćby ze względu na wysokie ceny, ale grünberczycy swoje wiedzieli. Ktoś słyszał w starej winiarni na Silberberg, że talary wydane na zakup wzgórze od Heinecków i budowę wieży pochodziły ze źródła, którego nazwy przyzwoity luteranin nie powinien głośno powtarzać.

– Niech sobie mówią, co im ślina na język przyniesie – śmiał się burmistrz Gühler zadowolony z tego, że nie za pieniądze z magistrackiej kasy, lecz ze składek członków towarzystwa upiększania miasta stanęła wieża, w pogodny dzień widoczna z zamku w Glogau, a to co najmniej pięć godzin drogi parą dobrze wykarmionych koni.

Najbardziej zasłużeni członkowie towarzystwa, do którego należeli bez wyjątku wszyscy grünberscy fabrykanci, bankierzy, właściciele winiarni i składów, nawet dyplomowany aptekarz Weinmann, przyjechali ze swoimi małżonkami na tę wyjątkową uroczystość. Gwarząc i plotkując, czekali, kiedy na drodze prowadzącej ku wzgórzu pojawi się ten najważniejszy pojazd. Gdy z wolantu wysiadzie burmistrz Gühler, Friedrich Gottlob Foerster jako prezydent towarzystwa poprosi go, aby, uroczyście przeciąwszy wstęgę, dał znak do rozpoczęcia świętowania. I dopiero wtedy pan Pall rozewrze szeroko podwoje prowadzące do restauracji, gdzie pod ciężarem jadła i napojów uginają się stoły.

– Ci dwaj dżentelmeni – pani Foerster dyskretnie wskazała mężczyzn w cylindrach, jakie widziała podczas ostatniego pobytu w Anglii – to pewnie goście z Breslau albo i z Berlina?

– Już wcześniej i moją uwagę zwrócili, toteż, gdy rozmawiałś z panią Knobelsdorf, zapytałem redaktora Levysohna, kim oni są, bo może powinienem wymienić ich nazwiska podczas powitania. Wedle Levysohna, to goście naszego burmistrza, ciekawi wyjaśnienia jakiejś, jak sekretnie powiedział, ziemskiej sprawy – odrzekł Foerster do swojej żony. Pani Foersterowa miała na końcu języka jeszcze jedno pytanie, ale go nie zadała, bo ktoś z tłumu zawołał, że w dole wzgórza pojawił się wolant zaprzężony w dwa konie cugowe. Kwadrans później z powozu wygramolił się burmistrz Gühler, ledwie uniósłszy melonik, nisko się uklonił najpierw przed panią Foerster, potem przed jej mężem, co było publiczną oznaką wyrażenia szacunku, jakim władarz miasta darzył najznamienitszych grünber-

czyków. Ich najstarszy syn Wilhelm, który najpierw studiował matematykę, fizykę i historię sztuki, potem astronomię na uniwersytecie w Bonn, pracuje w Królewskim Obserwatorium Astronomicznym w Berlinie i podobno on przekonał ojca, żeby przy wsparciu towarzystwa upiększania miasta postawił wieżę widokową na Grünbergs Höhe. Młody Foerster obiecał, że niebawem pomoże zaprosić do Grünberga najznamienitszych badaczy nieba, wtedy sława miasta winiarzy i sukienników będzie jeszcze większa. Burmistrz przywitał się także ze stojącymi trochę z boku gośćmi w cylindrach, a do prezydenta Foerстера szepnął, że są to inżynierowie, którzy na zlecenie pewnej firmy czegoś szukają w naszej ziemi.

– Wczoraj przed południem złożyli wizytę w ratuszu. Na razie nie mogą dokładnie powiedzieć, z czym jest związany ich pobyt w naszym mieście. Jeżeli tylko znajdą to, po co przybyli, podczas pożegnalnej wizyty powiedzą tyle, ile im wolno – dodał burmistrz Gühler, robiąc tajemniczą minę. – Trochę dziwni i jakby nieobcy, ale to przecież wyjątkowi specjaliści.

– Gdy nadarzy się sposobność, będzie pan uprzejmy przedstawić mnie panom inżynierom – poprosił Foerster, przypuszczając, że jeśli przybysze szukają czegoś w Grünbergu i okolicy, to najpewniej pokładów węgla, a na tym bogactwie ostatnio można zarobić najwięcej talarów, o czym przekonała go spółka górnicza Consolidirte Grüeneberger Gruben. Niebawem zawiąże się towarzystwo drogi żelaznej i zbuduje linię kolejową między Grünbergiem a Glogau, co skróci podróż do Breslau, w następnej kolejności w stronę Frankfurtu i Berlina. Lokomobile parowe ciągnące wagony zastąpią ciągle łakome i spragnio-

ne konie oraz dyliżanse łamiące koła na śródleśnych drogach. Podróż pociągami do Berlina będzie trwała nie dwa dni z noclegiem w zapchlonej gospodzie Zur Sonne pod Frankfurtem, a najwyżej cztery godziny. Świat robi się coraz mniejszy. Foerster uśmiechnął się do gości i pomyślał, że nadarza się niepowtarzalna okazja, żeby stał się jeszcze zamożniejszym grünberczykiem, czyli najbardziej cenionym mieszkańcem w dziejach miasta, zwanego Winnym Grodem. W podziękowaniu za zasługi potomni postawią mi pomnik gdzieś w pobliżu ratusza albo na Grünbergs Höhe, abym mógł cieszyć się widokami, niejedną raz marzył Foerster, w czym wspierała go żona.

Z nami chyba jest coś nie tak, Thorn przesłał informację do Askarda. Dlaczego ten z siwiejącą brodą i jego żona przyglądają się nam tak, jakbyśmy byli nie z tej Ziemi?

Przecież jesteśmy z innej planety, odpowiedział Askard i żeby nikt się tego nie domyślił, wzorem burmistrza rozpiął dwa górne guziki pelisy. I jeszcze jak Foerster zsunął rękawiczkę z prawej ręki, delikatnie objął ją palcami lewej dłoni, poprawił cylinder, który wydawał mu się najmniej praktyczną częścią męskiej garderoby Ziemi.

W korpusie mniejszej istoty stojącej przy osobniku tytułowanym panem Foersterem panuje bałagan. Usiłuje go uporządkować, lecz przekracza to jej umiejętności.

Jest to cecha nierzadko występująca u samic ssaków naczelnych z rodzaju człekokształtnych. Jeszcze chwila i powie, że natychmiast musi wrócić do domu, bo z powodu migreny źle się czuje, powtórzył Askard za rozprawą Samuela Tissota *Traité des nerfs et de leurs maladies*, która oprócz książki Charlesa Darwina *O powstaniu gatunków*,

jest podstawową lekturą każdego badacza i śledczego wysłanego na Ziemię.

Pani Foerster delikatnie pociągnęła męża za rękaw pelisy, a gdy on się pochylił, Thor widział jej poruszające się usta, potem ledwie dostrzegalnym ruchem ręki wskazała na gości. Foerster uniósł prawą dłoń na znak, że akceptuje jej pomysł.

Thorn nie wszystko zrozumiał, toteż wysłał do Askarda pytanie, co mu powiedziała.

Uważam, że powinienś uprzedzić burmistrza i zaprosić obu przybyszów w cylindrach do nas na kolację. Ma się rozumieć z udziałem naszych panienek. Między nimi posadzimy Corone. Albo lepiej Charlotte, jest starsza, już dawno powinna wyjść za mąż. Jak to zrobić, twoja w tym głowa, mój drogi mężu, Askard powtórzył słowa pani Foersterowej, że jej mężowi Thorn bardziej się spodobał, ale przemilczał to, bo chyba nie wszystko zrozumiał. Przede wszystkim nie pojął, dlaczego korpus Foerстера nagle zrobił się pełen rozważań o węglu brunatnym, jego wydobyciu i talarach.

Wspaniale, że nas zaproszą do swego domu. Jestem ciekawy, jak oni żyją, cieszył się Thorn.

Pamiętaj, że najpóźniej za trzy dni musimy odlecieć do ośrodka, a my dopiero troszkę wiemy, co się stało z oktaedrytem Seeläsgen, przypomniał mu Askard.

Swoją drogą trudno zrozumieć, dlaczego Ziemianie podczas przekazywania informacji wydają dźwięki foniczne i jeszcze wprawiają w ruch usta, dziwił się Thorn, zresztą nie pierwszy raz. Przede wszystkim wydłuża to przekaz w czasie. Po drugie, na poruszanie mięśniami ust zużywają dodatkową energię. Przecież mogliby tak jak my przesyłać te wszystkie swoje brednie wprost z mózgu do mózgu za pomocą fal.

Mamy jeszcze do odnalezienia dwie zguby, nie zważając na uwagę Thorna, kontynuował Askard. Póki nie natrafimy na heksaedryt utracony gdzieś nad łąkami koło Züllichau, nie możemy rozpocząć poszukiwania chondrytów Grünberg. Bez względu na to, czy jesteśmy na naszej planecie, czy na Ziemi, musimy postępować wedle zasady odwróconej kolejności casusów.

Pan Pall dostojnie kroczył w stronę członków towarzystwa upiększania miasta. Za nim kelner niósł tacę przykrytą seledynowym jedwabiem, na którym błyszczały ostrza nożyczek. Zatrzymawszy się przed Foersterem, restaurator czekał na wiadomy znak, wtedy prezydent towarzystwa wzrokiem pokazał mu miejsce przy wstędze zielono-żółto-białej i zwrócił się do burmistrza:

– Wielce szanowny, dostojny gospodarzu pięknego Grünberga, biorąc na świadków nas, mieszkańców miasta, uczyni to, co do ciebie z racji pełnionej funkcji należy.

– Dziękuję – odpowiedział burmistrz Gühler, kolejny raz chyląc głowę, najpierw przed Foersterem i jego żoną, potem przed pozostałymi członkami towarzystwa. Po czym, zsunawszy rękawiczki, lewą dłonią wziął nożyczki z tacy i powoli jakby chciał, żeby trwało to najdłużej, przecinał wstążkę łączącą poręcze schodów prowadzących do drzwi wieży.

– Brawo! – z kilku miejsc jednocześnie rozległ się okrzyk spotęgowany oklaskami.

Swoją drogą czy to nie jest dziwne? Oktaedryt, nazwany tu meteorytem Seeläsgen, o masie ponad stu kilogramów, w ich pojęciu niewiadomego pochodzenia, pocięli na kawałki, Thorn kontynuował dyskusję przerwana uroczystością.

Dla talarów, wyjaśnił Askard bez przekonania.

Dla czegoś takiego zniszczyli to, nad czym myśmy pracowali przez osiem periodów?

W przeciwieństwie do nas, Terminusjan, Ziemianie tacy właśnie są. Zachłanni na wszystko, co się błyszczy. Słyszałeś, że mają zamiar zaprosić nas na kolację, przypomniał Askard. Pomiędzy tobą i mną posadzą swoją córkę Charlotte i którego ona wybierze, ten powinien zostać jej mężem. Na naszej planecie istoty nadrzędne powstają w ośrodku rozwoju, tu natomiast ludzie najczęściej rozpoczynają związki z tak zwanej miłości, efektem których po okresie trwającym dziewięć miesięcy są nowe twory. W tym przypadku, taki wniosek podpowiada mi centrum, chodzi nie tyle o związek z miłości i nowy organizm, co o wiedzę o miejscach występowania węgla brunatnego. Kto pierwszy ją posiada, ten zbuduje kopalnię. Sprzedając węgiel, będzie miał dużo talarów.

Ale my przecież szukamy zgubionych konstrukcji chondrycznych.

Tak długo jak oni będą przekonani, że jesteśmy inżynierami, którzy na zlecenie pewnej firmy prowadzą poszukiwania węgla, możemy spokojnie robić to, po co tu się znaleźliśmy, odpowiedział Askard.

Pomimo tego, że zaraz po powrocie do hotelu Zur Golden Krone, dokąd po sugestii burmistrza Gühlera przenieśli się z podmiejskiej gospody Landhaus, Askard starał się skorygować obserwacje swoje i Thorna z całego dnia, nie wszystko układało się w logiczny ciąg następstw. Nie rozumiał, dlaczego podczas kolacji u Foersterów, na którą obaj byli zaproszeni chwilę po otwarciu wieży widokowej, jedni siedzieli przy stole, drudzy zaś wokół nich chodzi-

li milcząco i podsuwali pod nosy coś, z czego unosiła się para i co miało nieznany zapach. Najbardziej wprawiło go w zakłopotanie zachowanie Charlotte, dzielącej miejsce między nim a Thornem.

Kiedy odłożyliśmy łyżki i jeszcze ci chodzący z tyłu nie postawili na stole półmisek, wypuściła chusteczkę z ręki tak, aby spadła na górne ogniwo mojej prawej kończyny, powiedział Askard. Przepraszam pana, czasem jestem taka nieuważna, naśladował jej dyszkantowy głos, po chwili wyciągnął wniosek, że zrobiła to nie przypadkiem.

A zanim podniosła chusteczkę, zdecydowała, że przytrzyma rękę na moim udzie dłużej niż powinna, czym ewidentnie zakłóciła kursowanie ładunków elektrycznych. To było nawet miłe, nigdy tak przyjemnego odczucia nie doznałem, dlatego chciałem, przyznaję się szczerze, aby trwało dłużej. Nawet teraz, gdy odtwarzam przebieg tamtego zdarzenia, ładunki zachowują się wbrew zasadom elektrostatyki. Czy jako inżynier potrafisz to wyjaśnić?

Impuls do tego zdarzenia Charlotte dostała od pani Foerster, powiedział Thorn, przez którego centrum odbiorcze przechodziły wszelkie fale wysyłane w jadalni kamienicy Foersterów. Dwanaście sekund później pani Foerster wysłała identyczny impuls do Corone, lecz ta odwróciła głowę, dając do zrozumienia, że jako kontrahent nie budzę jej zainteresowania.

Przecież cały wieczór z tobą dialogowała, przypomniał Askard zaskoczony tym, co do niego dotarło.

Najpierw spytała, czy akceptuję kształt wieży widokowej, ponieważ jej budowla się nie podoba. Zgadza się z tymi mieszkańcami, którzy twierdzą, że wieża jej się kojarzy z rondlem i patelnią. Potem chciała wiedzieć, czy

w Grünbergu zobaczyłem coś, co mnie zaskoczyło i co to było. Odpowiedziałem, że położone na wzgórzach miasto prezentuje się schludnie. Mimo niekorzystnej dla przyrody pory roku, jaką jest przedwiośnie, wygląda jak ogromny ogród, w którym lada dzień zaczną się rozwijać krzewy winorośli. Potem była ciekawa, czy już wiem, gdzie zalegają największe pokłady węgla i że jego wydobywanie wiąże się z dużymi nakładami na budowę kopalni. Papa jest poważnie zainteresowany inwestycją na szeroką skalę. Gdyby więc pan chciał podzielić się ze mną tą sekretną wiadomością, papa byłby ze mnie dumny. Jeszcze coś perorowała na temat stosownego wynagrodzenia za tę informację, ale nie wszystko zrozumiałem.

Zaraz po kolacji, gdy Foerster zaprosił gości do saloniku, Askard starał się jak najwięcej zaobserwować i przenieść do pamięci, aby ci Terminusjanie, którzy w przyszłości znajdą się w identycznej sytuacji, wiedzieli, jak się zachowywać pośród Ziemian. Owszem, w pozasłonecznym ośrodku rozwoju biegli bardzo dużo informowali o dobowym funkcjonowaniu istot ziemskich, szczególnie o biochemii, fizjologii i sposobach dostarczania energii organizmom, lecz nie było ani za wiele o alkoholu, tytoniu i sposobach prowadzenia konwersacji. Spytał Thorna, czy jego też nikt nie uprzedził, że Ziemianie co innego myślą i co innego przekazują słuchaczom. Mało tego, z dużą zręcznością stosują metody nacisku psychologicznego, wykorzystując przy tym swoją pozycję hierarchiczną. Dlaczego każdy z nich dla zdobycia talarów jest gotów uczestniczyć w najbardziej obrzydliwej akcji? Przecież gdyby nas uprzedzono, jakie znaczenie mają środki płatnicze na Ziemi, wszystkie schowki w Almie wypchalibyśmy zadrukowanymi papierkami, które grünber-

czycy nazywają talarami. Zauważyłeś, że gdy opowiadają o pieniądzach, to z takimi żądzami, jakby od ich posiadania zależało wszystko, co się wokół nich dzieje.

Pozwoli pan zaprosić się na cygaro i kieliszek koniaku, powiedział Foerster, dając znak służącemu, żeby natychmiast podszedł do niego.

Czujnik zachowania spokoju polecił Askardowi odpowiedzieć, że z ogromną przyjemnością przyjmuje zaproszenie, chociaż nie zdawał sobie sprawy, na czym to polega i jak się zakończy. Wprawdzie ekspert w ośrodku rozwoju w jednym zdaniu wspomniał, że po sutych posiłkach Ziemianie odurzają się dymem suchych, skręconych liści *Nikocotiana tabacum*, ale nie uprzedził, jak się wtedy zachować i czy przewody wewnętrzne Terminusjan są odporne na działanie nikotyny. Askard wziął cygaro z pudełka, za przykładem Foerстера obrócił je kilka razy w palcach lewej dłoni, podniósł do nosa, również zrobił minę wyrażającą zachwyt, za pomocą nożyka obciął kapturek i gdy służący podał mu płonącą zapalną, wciągnął dym identycznie jak gospodarz domu. Gdy czujnik bezpieczeństwa przekazał sygnał, że dym rozchodzi się po wszystkich przewodach i za chwilę wydostanie się na zewnątrz przez kanały uszne, uruchomił zastawki. Przez lekko rozchylone kleszcze warg Askarda wentylator wypompuwał najpierw niewielki obłok, a potem resztę wyziewów w regularnych odstępach. Foerster też wypuścił dym przez usta, tyle że z ledwie słyszalnym sykiem. Cadete prosto z Sevilli, gospodarz pokazał na banderolę i dodał, że tej marki cygara lubi najbardziej. Niemcy nie potrafią takich robić. Francuzi też. Co innego Hiszpanie i Portugalczycy. Za to w niemieckich wytwórniach powstają niezłe brandy. I niezbyt im daleko do mar-

kowych koniaków francuskich. Po wygłoszeniu tej opinii Foerster podał Askardowi kieliszek z bursztynowym płynem. Made in Grünberg, rzucił z dumą, wskazując na siebie. Extra fein. Zakręciwszy kilka razy kieliszkiem, wciągnął nosem aromat. Zachwycający, powiedział po chwili. Askard zrobił to samo. Mimo że czujnik euforii nie przekazał żadnego sygnału do jego centralki, też powiedział: Zachwycający.

Foerster zatrzymał się przy oknie wychodzącym na Berlinerstrasse akurat wtedy, kiedy ulicą z łoskotem przejeżdżał dyliżans z Breslau do Berlina. Póki droga żelazna nie połączy naszych miast, codziennie o tej porze będzie się rozlegał hałas nie do zniesienia. Muszę z tym skończyć... Piękne przedwiośnie. Czy pan wie, że Grünberg jest najdalej na północ wysuniętym miastem, gdzie się uprawia winne krzewy? O tym nie było mowy na kursie przygotowawczym do podróży na Ziemię, toteż Askard zrobił zaskoczoną minę. Jeszcze jedna uwaga do eksperta z terminusjańskiego ośrodka rozwoju, którą muszę im przekazać, zanotował w pamięci. Czasem w nocy na początku maja spada temperatura i wymarzają zawiązki winorośli, kontynuował Foerster, nie zwracając uwagi na zakłopotanie w oczach swego gościa. Oby w tym roku Najwyższy Pan uchronił nasze winnice przed nagłymi przymrozkami. Dla kilku setek tutejszych winogrodników i winiarzy wymarzenie krzewów *Vitis vinifera* oznacza katastrofę. Oni utrzymują swoje rodziny ze sprzedaży tego, co urośnie na winnicach. Nie ma winogron, nie ma wina, nie ma winiaku, to i nie ma talarów, powiedział Foerster, unosząc wzrok ku zaokiennemu niebu.

Znowu talary? Ale Askard już nie myślał o pieniądzach, tylko zastanawiał się, czy Foerster słyszał o heksaedrycie zagubionym nad łąkami koło Züllichau. Dotychczasowe śledztwo nie dało żadnego rezultatu. Dopiero kiedy znajdą heksaedryt, dostaną zgodę ośrodka na uruchomienie procedury odszukania chondrytów Grünberg. Askard był pewny, że z tym szybko się uporają.

O meteorytach mógłby pan porozmawiać z moim synem Wilhelmem. Pracuje w królewskim obserwatorium w Berlinie pod okiem profesora Eckego. Niedawno obrobił dysertację doktorską, a to pierwszy stopień do kariery naukowej. Jestem przekonany, że jako ojciec będę dumny z osiągnięć badawczych syna. Dumny też będzie Grünberg, wszak Wilhelm tu się urodził. Za kilka lat, gdy znowu się spotkamy, na przykład podczas inauguracyjnego przejazdu pociągu drogą żelazną z Glogau do Küstrin, potwierdzi pan, że w każdej rozprawie naukowej z zakresu astronomii występuje Wilhelm Julius Foerster. Mój syn bada planetoidy, komety i zaćmienia gwiazd, powiedział przyciszonym głosem Foerster, jakby zdradzał tajemnicę wagi państwowej. Po chwili, biorąc Askarda pod ramię, spytał niemal szeptem: A te nowe pokłady węgla...? Dobrze zapłacę, ponieważ wiem, że informacja kosztuje. Jestem solidnym przemysłowcem... Możemy nawet założyć spółkę wydobywczą. Foerster & Askard. Talary z zysku będziemy dzielili sprawiedliwie: połowa dla pana, połowa dla mnie.

Askard już chciał się przyznać, że nie jest Ziemianinem i nie szuka pokładów węgla brunatnego, gdy Thor wysłał mu sygnał, żeby w tej sprawie nie posunął się o krok dalej. Spytaj, czy coś wie o meteorycie, który piętnaście lat temu spadł na łąkę przy drodze z Grünberga do Züllichau, zaraz za wsią Sawade.

A, coś mi się obilo o uszy. Ale czy chodziło o meteoryt z okolic Sawade? Nie, to chyba spadło gdzieś koło Heinrichau, po zachodniej stronie Grünberga. Najlepiej pan zrobi, panie Askard, jeżeli wybierze się do apteki Weinmanna. Jest jedynym w naszym mieście dyplomowanym farmaceutą, gorliwie zajmuje się przyrodą i wszystkim, co spada z nieba, odrzekł z powagą Foerster. Mimo winiarskiego nazwiska, Weinmann prowadzi aptekę Adler na wprost wejścia do ratusza. Jednak najprędzej spotka go pan w nowej winiarni Dehmela przy Topfmarkt. To bardzo blisko hotelu Zur Golden Krone.

Jestem panu wdzięczny za tę niezwykle cenną informację. Wzorem burmistrza Gühlera, Askard skłonił się przed Foersterem, aby odbyć rozmowę z Charlotte, gdy Thor przesłał mu sygnał, że wedle ziemskich zwyczajów wizyta kolacyjna nie powinna przekroczyć dwóch godzin.

Niech pan rozważy moją propozycję w sprawie węgla. Talary podzielimy sprawiedliwie, a w Grünbergu jest w co inwestować. I zawsze się to opłaca, rzekł Foerster, mając nadzieję, że wszystko pójdzie po jego myśli.

*

Rzeczywiście z hotelu Zur Golden Krone na Topfmarkt było bardzo blisko. Gdyby nawet Askard i Thorn nie wiedzieli, jak trafić do nowej winiarni Dehmela, niskie dźwięki dochodzące zza drzwi odległych od hotelu zaledwie o trzydzieści osiem metrów, jak obliczył Thorn, doprowadziłyby ich do celu.

Ledwie przekroczyli próg, a już pojawił się przy nich zarządca winiarni i spytał, czy są z kimś umówieni na spotkanie przy szklaneczce wyśmienitego trunku z miejsco-

wych winnic, czy może życzą sobie osobny stół w zacisznym miejscu.

– Osobny stół – zdecydował Askard za Thorna.

– Podać dzbanek wina czerwonego czy białego? Przypuszczam, że czerwone będzie odpowiednie. Ma się rozumieć, że miejscowe. A może panowie będą mieli ochotę na wino deserowe. Mamy znakomite landwein. Chociaż nie, panom polecam coś, co podajemy wyłącznie...

– To samo, co podajecie panu Foersterowi – rzucił oschle Askard.

– Niestety pan poseł Foerster jeszcze nie zaszczycił naszego lokalu – odparł zarządca i szybko dodał: – Ze względu na nawal obowiązków wagi państwowej, jakie na siebie przyjął. Bywają tu inni, również znakomici obywatele...

– A pan Weinmann? – przerwał mu Askard.

– Od czasu, jak chłop z Sawade sprzedał mu jakąś bryłę, która podobno spadła z nieba na łąkę, jest częstym bywalcem... – urwał, jakby się zastanawiał, czy może tak określić aptekarza. Ale skoro hrabina Radziwiłłowa przyjeżdża aż z Klenitz i już po przekroczeniu progu winiarni przypomina, że jest stałą bywalczynią, to z pewnością aptekarz Weinmann bardziej zasługuje na wyróżnienie. – Od tamtego dnia nie może się opędzić od żurnalistów. Przyjeżdżają z całych Niemiec. Nawet z Ameryki, Anglii... Ostatnio jego podobiznę pokazał wychodzący w Warschau polski tygodnik „Bluszcz”.

– Czy aktualnie jest obecny w winiarni? – spytał Thorn, wciągając w nozdrza zapach podobny do tego, którym upajał się wczoraj u Foersterów.

– Panowie też żurnaliści?

– Tak... jakby... – Askard nie wiedział, czym się zajmują żurnaliści, ale to pewnie nie jest szkodliwa profesja, sko-

ro często oblegają Weinmanna, przytaknął więc zdecydowanie i dorzucił już mniej pewnie: – Owszem, żurnaliści.

– Aha. I byli panowie umówieni z panem Weinmannem – bardziej stwierdził niż spytał zarządca. – Zatem wskażę panom stolik, który on ma w zwyczaju zajmować.

Thorn wysłał do Askarda prośbę tej treści: Powiedz, żeby podano nam wino, które pije pan burmistrz Gühler. Ledwie zarządca odszedł od ich stolika, już kelner stawiał przed jednym i drugim wysmukłe kieliszki i napełnił je zamówionym trunkiem. Thorn wyciągnął rękę, czujnik bezpieczeństwa włączył śpiewogrę Karla von Holtei *Dreiunddreissig Minuten in Grünberg oder der halbe Weg*. Na podstawie tego utworu biegły w ośrodku rozwoju ostrzegł go, aby nie pił grünberskiego trunku. „Produkują tam coś, co prości ludzie nazywają winem stróża. Stróż, po jego wypiciu, co pół godziny musi być budzony, bo grozi mu, że kwasota wyżre dziurę w trzewiach”.

Nie waż się brać tego do ust, ostrzegł go również Askard. Nasze trzewia są zbudowane z bardziej delikatnego materiału niż trzewia Ziemian.

Mimo ostrzeżenia Thorn upił troszkę wina, wcale nie było kwaśne, ale nie chcąc popadać w konflikt z Askardem, zawartość kieliszka również wylał do doniczki stojącej obok ich stolika. Roślina była bujna, a z wyraźnie rozwiniętych ni to liści, ni kwiatów amarantowa czerwień aż kapiała. Thorn nie miał wątpliwości, że wino grünberskie dobrze służy poisencji. Dlaczego więc Karl von Holtei napisał tę śpiewogrę i z kogo kpił?

Na Weinmanna czekali do późnego popołudnia, lecz aptekarz nie przyszedł do winiarni, co bardziej zaskoczyło

zarządcę niż Askarda i Thorna, dlatego podpowiedział im, żeby zajrzeli do apteki Adler.

– To nie więcej niż sto metrów od winiarni. Na wprost wejścia do ratusza panowie zobaczą kamienicę ozdobioną wizerunkiem orła z rozpostartymi skrzydłami. Wyższe kondygnacje zajmuje pan Weinmann z rodziną, na parterze jest laboratorium i apteka – powiedział zarządca, wyprowadziwszy gości na Topfmarkt i wskazawszy im drogę, uprzedzając, że przy uliczce między Topfmarktem a Ringiem także jest apteka. – Pierwsza, mniej widoczna, to Zum Löwen, należąca do starszego pana Königa. Pan Weinmann prowadzi najbardziej znaną w księstwie aptekę Adler. Takiego składu medykamentów i laboratorium nie ma nawet w Glogau, a to miasto z tradycjami książęcymi.

Ledwie wspięli się po schodach i rozwarli drzwi, subiekt spytał, czym może służyć. Askard pokazał na Thorna, przedstawiając go jako wysłannika amerykańskiej agencji poszukiwawczej minerałów i kopalin, siebie zaś nazwał jego europejskim współpracownikiem.

– Chcielibyśmy rozmawiać z panem Christianem Joducusem Weinmannem – rzucił sucho, z akcentem, który mógł przypominać mowę angielską.

Subiekt powiedział, że magister Weinmann wyjechał do Breslau, aby na tamtejszym uniwersytecie wysłuchać wykładu na temat sporządzania mikstur zapobiegających skutkom ukąszenia muchówek z rodziny Culicidae, przez miejscowych winoogrodników nazywanych komarami.

– Zmorą ludzi pracujących na winnicach są wszelkie owady, a komary przede wszystkim. Na szczęście ich ukąszenia rzadko bywają groźne dla życia osób dorosłych, za to wywołują nieprzyjemne swędzenie skóry twarzy i rąk.

Na winnicy, szczególnie w porze dojrzewania i zbierania owoców, nie takie swędzenie ludzie znoszą – ze śmiechem orzekł subiekt, czego ani Askard, ani Thorn nie zrozumieli. – Najlepszym lekarstwem na wszelkie dolegliwości ciała są spirytualia. Zresztą na dolegliwości ducha także.

– A kiedy pan Weinmann wróci? – spytał Askard, pamiętając o tym, że z każdym dniem pobytu na Ziemi ubywa ładunków energetycznych, którymi zostały naładowane ich ustroje i narządy. Wprawdzie za Piastenhöhe Thorn ukrył pojazd z zespołem awaryjnych akumulatorów, z tym że ich pojemność nie jest duża. Energii zapasowej wystarczy tylko na uzupełnienie ładunków niezbędnych na dokończenie podróży powrotnej do ośrodka pozasłonecznego.

– Magister miał też odbyć rozmowę z zarządcą muzeum minerałów w Breslau. Przypuszczam, że najwcześniej szefa można się spodziewać jutrzejszej nocy.

Identycznie jak przed Foersterem Askard skłonił się przed subiektem, obiecując powrót pojutrze rano.

– Uprzedzę mojego pracodawcę o szanownych panów wizycie. Poproszę, aby czekał na panów kwadrans na dziesiątą. Niech panowie nie spóźnią się, bo magister tego nie lubi – ostrzegł. – To wyjątkowy pedant. Drugiego takiego panowie nie spotkają w Grünbergu.

Przed nami cały dzień oczekiwania na Weinmanna, stwierdził Askard niezadowolony, gdy wyszli na Ring przed ratuszem. Musimy czymś się zająć, ale czym?

Minęło tyle cykli, a my niewiele zdobyliśmy informacji. Z czym wrócimy na Terminusa?

Może jednak najpierw zaczniemy szukać chondrytów Grünberg, podpowiedział Thorn również zniecierpliwiony

przedłużaniem się pobytu w mieście rozłożonym na winnych wzgórzach.

Obowiązuje nas bezwzględna zasada odwróconej kolejności casusów, przypomniał Askard.

Przestań być legalistą. Kto w centrali dowie się, że najpierw znaleźliśmy chondryty Grünberg, a później heksaedryt Züllichau? W tej sprawie ja na pewno nie wydam nawet najcichszego dźwięku, Thorn zapewnił Askarda, czym wprowadził go w zakłopotanie, bo sam kazał biegłym w pozasłonecznym ośrodku rozwoju, żeby zainstalowali mu czujnik kłamstwa, ale go nie uruchomili. Mój partner coraz bardziej upodabnia się do ludzi, orzekł Askard, wcześniej przestawivszy sondę zewnętrzną na sieć wewnętrzną, aby żaden sygnał nie dotarł do Thorna. Będę zmuszony powiadomić ośrodek o jego reakcji na bodźce biochemiczne.

Podczas poprzedniej ekspedycji na Ziemię Thorn był głównym nawigatorem i inżynierem pokładowym, ponieważ spisał się nienagannie, przed kolejną wyprawą przeszedł przeszkolenie w podośrodku dochodzeniowo-śledczym, dlatego jego dodatkowym zadaniem w Grünbergu było wspomaganie Askarda w odzyskaniu zagubionych brył przez Ziemian, nazywanych meteorytami. Niestety, badacz i główny śledczy w jednej osobie, czyli Askard, coraz mniej miał pożytku z Thorna. Nawet teraz, gdy w oczekiwaniu na powrót Weinmanna z Breslau powinni wyłączyć wszystkie sygnalizatory, żeby daremnie nie pobierały energii, on podwoił moc czujnika bezpieczeństwa, jakby się czegoś obawiał. Na kolejną wyprawę poproszę o kogoś bardziej zdyscyplinowanego, a przede wszystkim nieulegającego nastrojom i zachowującego się zgodnie z zasadami obowiązującymi w strefie beta-de, postanowił Askard.

Najbardziej zaniepokoiło go pytanie, jakie Thorn zadał zaraz po powrocie z apteki. Dlaczego szukamy jakichś brył, skoro twój ośrodek mógłby je wskazać za pomocą promieni radiowęglowych i tą samą drogą unicestwić albo rozkruszyć? Askard miał ochotę wyjaśnić, że to nie są zwyczajne bryły, lecz elementy struktury, która na razie znajduje się w fazie spoczynku. Owszem, można było odnaleźć je za pomocą promieni radiowęglowych, lecz nie wiadomo, czy w warunkach magnetyzmu ziemskiego nie nastąpiłoby przedwczesne uruchomienie uśpionych ładunków. Gdyby do rozpoczęcia ekspedycji na Ziemię zguby nie zostały znalezione przez ludzi i nieumieszczone w suchych miejscach, jakimi są muzea minerałów, oraz niepocięte na kawałki, podczas wyprawy mieliby obowiązek naprowadzić Ziemian na bryły. Askard dał impuls sygnalizatorowi, aby przekazał Thornowi, że ładunki staną się aktywne 21 grudnia 2018 roku, kiedy dojdzie do przebiegunowania Ziemi, wywołując kataklizm na planecie, zapowiedziany przez Majów jako koniec świata, gdy centrala zablokowała emisję tej informacji. Jesteśmy tylko wykonawcami decyzji ośrodka pozasłonecznego. Ja mam uprawnienia ósmego stopnia, a ty, Thorn, dopiero po powrocie dostaniesz certyfikat kwalifikacji podstawowych.

Kiedy Thorn stanął przy jego łóżku, tego Askard nie zauważył. Przez chwilę był tym przerażony, dopiero gdy czujnik bezpieczeństwa przypomniał mu, że zamknął sygnalizator odbioru, wszystko wróciło do normy.

– Za kwadrans musimy być w aptecce Adler – powiedział Thorn ludzkim głosem, czym jeszcze bardziej wprawił Askarda w zdumienie. Niepokój na jego obliczu był aż

nadto widoczny. – Chciałem sprawdzić, jak zareagujesz na moje zachowanie – usprawiedliwiał się Thorn.

Coraz częściej zaskakujesz mnie swoim zachowaniem, wytknął mu Askard.

– Ty jesteś badaczem z ośrodka rozwoju, ja twoim pomocnikiem z centrum realizacji. Oprócz wspólnego zadania każdy z nas ma jeszcze coś innego do wykonania – powiedział Thorn, czym kolejny raz zaniepokoił Askarda. Bo czym jeszcze zajmuje się Thorn, o czym on nie wie?

W chwili gdy mijali drzwi ratusza, Weinmann wyszedł z apteki jakby zza okna obserwował, kiedy pojawią się na Ringu. Rozpostarłszy szeroko ręce, jakby to były skrzydła orła, zawołał donośnie, że i burmistrz musiał to usłyszeć:

– Serdecznie witam panów poszukiwaczy w naszym pięknym i coraz bardziej sławnym Grünbergu. – Nie pytając, dlaczego chcieli się z nim widzieć, zaprowadził gości do gabinetu na zapleczu apteki, gdzie na jednej tacy stała duża karafka i szklanki, na drugiej mniejsza, o kształcie smukłego flakonika, i kryształowe kieliszki na wysokich nóżkach.

– Czy próbują panowie wina z mojej piwnicy? – spytał Weinmann. Nie słysząc protestu ani akceptacji, napełnił kieliszki czerwonym płynem. – Tak znakomitego trunku nie podają nawet u Dehmela. No, może w piwnicy pana Foerстера znalazłoby się coś zbliżonego kolorem, lecz nie smakiem i zapachem. Jako dyplomowany farmaceuta znam tajemne sposoby prowadzenia fermentacji moszczu gronowego. Miejscowi winiarze są gotowi zapłacić mi setkami talarów za ujawnienie tej tajemnicy.

Znowu talary? Askard wysłał sygnał do Thorna, kolejny raz wyciągając wniosek, że za talary można mieć wszystko na Ziemi.

– Zanim panowie wyjaśnią, co ich sprowadza do Grünberga, proszę przekonać się, czy moje wino zasługuje na opinię, jaką przed chwilą wygłosiłem. – Jeszcze podczas uroczystego otwarcia wieży na Grünbergs Höhe Levysohn wtajemniczył bez mała wszystkich członków towarzystwa upiększania miasta, czym się zajmują przybysze w cylindrach, ale aptekarz wołał, żeby sami mu to powiedzieli, bo może redaktor coś zachował dla siebie, aby podać to na stronach „Grünberger Wochenblatt”, wtedy zainteresowanie tygodnikiem jest dużo większe.

Askard przełnął połowę kieliszka do swego gardła, niewiele czując, Thorn zaś identycznie jak Weinmann przez chwilę smakował wino, pozwalając mu, aby rozeszło się między zębami i powoli wpłynęło do przełyku. Mimo iż wszystkie jego wewnętrzne przewody były z włókniny, czujnik smaku wysłał impuls do sygnalizatora akceptacji.

– Nigdy czegoś podobnego nie było w moich ustach – powiedział Thorn, a przez głowę Weinmanna przeleciało pytanie, co gość ma na myśli. – Wprost cudowny nektar... Daleko reńskim winom do trunku, jakim pan był uprzejmy nas poczęstować.

Weinmann poczuł się nie tylko doceniony, ale i szczęśliwy. Najbardziej lubił, gdy burmistrz gratulował mu pomysłów na nowe mikstury, po które przyjeżdżali klienci nawet z Glogau, potwierdzając jego sławę i zdolności farmaceutyczne. Bywało, że zamieniał się również w medyka, o co miał do niego pretensję lekarz powiatowy, doktor Wolff, autor kuracji winogronowej.

– To co panów do mnie sprowadziło?

Askard powiedział coś o poszukiwaniach węgla brunatnego, dodając, że na razie niewiele więcej może ujawnić,

bo obowiązuje go tajemnica, a potem jakoś tak umiejętnie wtrącił zdanie o bryle, która spadła koło Züllichau, że Weinmann, ponownie napełniwszy kieliszki winem, nie miał nic do ukrycia przed przybyszami.

– Region, gdzie panowie prowadzą poszukiwania, wykazuje jakieś anomalie przyrodnicze. Proszę sobie przedstawić, że trzy lata temu koło Seeläsgen, kopiąc rów na swojej łące, chłopina natrafił na bryłę ogromnej wielkości. Dwa konie musiał zaprząć, żeby wyciągnąć ją z ziemi. I ten prostak, zamiast mnie powiadomić, dobrze bym mu zapłacił, za talara sprzedał ją handlarzowi złomem. Chwała Najwyższemu Panu, że handlarz, nie potrafiąc pociąć bryły, o pomoc poprosił kotlarza, a ten, zobaczywszy monstrum z żelaza, niezwłocznie poszedł na posterunek. Gdyby nie wachmistrz, rozkawałkowana bryła znalazłaby się w piecu hutniczym, a nie w muzeum minerałów w Breslau. Tam ją pocięto na siedemdziesiąt części, które rozdzielono między najslawniejsze kolekcje na całym świecie. Zdaniem dyrektora muzeum, profesora Glockera, koło Seeläsgen chłopina natrafił na oktaedryt gruboziarnisty z wyraźnie zaznaczonymi liniami Neumanna. Coś niebywałego! Jedyne taki rarytas w dziejach naszej planety. – Weinmann sięgnął po kieliszek z winem, to samo sugerując przybyszom. Thornowi nie musiał powtarzać dwa razy, Askard zaś zajęty analizą zarejestrowanych wiadomości, nie zwrócił uwagi na wypowiedź aptekarza. Czujnik analizy uznał, że informacja byłaby pełna, gdyby Askard uzyskał odpowiedź, gdzie jeszcze poza Breslau znajdują się kawałki oktaedrytu z Seeläsgen, lecz Weinmann nabrawszy pewności siebie po drugim kieliszku wina nie dopuścił go do głosu. – Muszę panom pochwalić się, że i ja mam skromny udział w ba-

daniu ciał niebieskich. Podczas wycieczki na Oderwald, to najcudowniejsze miejsce w pobliżu Grünberga, gdzie starorzeczami i kanałami można płynąć od restauracji do restauracji, podziwiać fantazję natury, wdychać boski zapach kwiatów i mokradeł... – urwał, jakby o czymś zapomniał, ale po chwili kontynuował opowieść: – Podczas takiej wycieczki, kiedy przystanęliśmy przy kamieniu dziękczynnym, podsłuchałem rozmowę dwóch młodzieńców. Wynikało z niej, że niejaki Kuschke przechowuje w swoim domu coś, co spadło na jego łąkę za opłotkami podmiejskiej wsi Sawade. Następnego dnia odszukałem Kuschkego i spytałem go o znalezisko. Nie pamiętam godziny, bo wyrwany ze snu krzyknąłem do żony, abyśmy natychmiast uciekali do lasu. Wojna!... Leśniczy, pan Mülsch, kiedym pojechał po asygnatę na sośninę, opowiadał, że 20 stycznia 1845 roku obudził go potworny grzmot przypominający wystrzał armatni. Zerwawszy się na nogi, wybiegł przed leśniczówkę, ale nie licząc krążącego ptactwa, wokół panował spokój. Po powrocie do domu zerknął na zegar: dochodziła szósta rano... Wiosną, gdy wypędziłem krowy na pastwisko, natrafiłem na dziurę w ziemi. Jesienią na pewno jej nie było. Lis wykopałby jamę w lesie, a nie na wilgotnej łące. Dopiero jak się schyliłem, coś błysnęło w zagłębieniu. Wróciłem na podwórze po szpadel. I proszę... Kuschke wyjął ze skrzyni zawiniątko. To tkwiło w ziemi. Wiem, że nie dopełniłem obowiązku powiadomienia wachmistrza albo pastora o znalezisku, przyznał się wieśniak. Rzuciłem na stół talara i nie pytając go o zgodę, zabrałem zawiniątko. Tydzień później byłem w Breslau, poszedłem do muzeum minerałów, profesor Glocker, gdy mu opowiedziałem tę historyjkę, uśmiechnął się pod wąsem i z po-

wątpiewaniem przyjął znalezisko. A nie za często meteoryty spadają w okolicach Grünberga? Tamto działo się w połowie maja. Gdy zaraz po winobranii znowu wstąpiłem do muzeum, profesorowi Glockerowi brakowało słów. Heksaedryt, mój panie. Fragment prawdziwego meteorytu żelaznego. A gdzie jest reszta? Tego nie wiem, panie profesorze. – Weinmann chciał trzeci raz napełnić kieliszki winem, ale karafka była pusta. Zawołał na subiekta i skarcił go zuchwałym wzrokiem, czego nieco zamroczony Thorn nie zauważył, a Askard zajęty analizą przekazu nie odnotował. – Był jeszcze jeden meteoryt, niestety spadł przed moim powrotem do Grünberga, kiedy studiowałem farmację na uniwersytecie w Breslau. Wiem jedynie tyle, że stało się to 22 marca 1841 roku w pobliżu Wittgenau. Kto może udzielić panom szerszej informacji na ten temat? Tamtejszy pastor? Może właściciel majątku Heinrichau. Wiecie, panowie, tam żyją prości ludzie. Tacy, którzy za drobną nagrodę zrobią wszystko, o co ich poprosicie. Wystarczy pół talara – dodał Weinmann ze śmiechem. – Pamiętajcie, to rada doświadczonego aptekarza: żeby uzyskać satysfakcjonującą odpowiedź, trzeba właściwie sformułować pytanie. Nasz wachmistrz twierdzi, że w prowadzeniu przesłuchania ważniejsze są pytania niż odpowiedzi.

Przecież to samo słyszałem na kursie przygotowawczym w ośrodku pozasłonecznym, stwierdził Thorn.

Gdy po dwugodzinnej podróży parokonną dorożką z hotelu Zur Golden Krone Askard polecił fiakrowi, żeby zatrzymał się przy wjeździe do Wittgenau, pierwszy napotkany człowiek wskazał im drogę do dworku pod lasem, gdzie mieszka rządca folwarku Heinrichau. Askard spytał go o bryłkę, która w tej okolicy spadła z nieba, młodzieniec

najpierw parsknął śmiechem, potem popukał się w czoło. Babina za płotem też zrobiła dziwną minę, ale ich nie zbyła, tylko kazała jechać do gajowego, lecz i on prawie nic nie wiedział. Starzec wygrzewający swoje kości w wiosennym słońcu, poinformował Askarda, że dzisiejszy rządca niewiele im powie, ponieważ w Heinrichau mieszka zaledwie od roku. Najwięcej miałby do powiedzenia stary rządca, pan Hutter, który dalej mógłby prowadzić folwark, gdyby fura ze zbożem go nie przygniotła, łamiąc kręgosłup, co odebrało mu czucie w nogach i mowę.

– Do kogo by panów...? Może ojciec kantora coś pamięta, bo zdaje się był wtedy na plebanii, kiedy pan Hutter przyniósł do pastora znaleziony przez fernali kamień.

Wsparty o łaskę starzec nic nie pamiętał z tego, co się wydarzyło ani wczoraj, ani przed dwudziestu laty. Jego syn poradził przybyszom, żeby poszli na posterunek policji.

– Kto panów przysłał? – spytał wachmistrz, a usłyszawszy, że aptekarz Weinmann, wskazał im miejsca na ławce pod ścianą i zaczął odpowiadać na pytania, lecz jakoś tak oficjalnie. Dopiero kiedy Thorn wyjął z kieszeni talara i położył go na kontuarze, wachmistrz uśmiechnął się pod nosem podniósł głowę znad blatu i odchrząknął. – Z powodu tego niebywałego wydarzenia Wittgenau stało się sławne. Nie było dnia, żeby do wsi nie przyjechał ktoś z Breslau czy Dresden. Byli goście z Berlina. Po miejscu, gdzie ten kamień spadł, oprowadzałem radcę dworu pruskiego, żurnalistów z „Berliner Zeitung”, z „Schlesicher Wochenblatt”, a nawet z „Daily Telegraph” i z amerykańskiej agencji International News Service. Jednego roku z Berlina przyjechał profesor Encke z młodym panem Foersterem, który wbrew woli ojca zajął się astronomią, a nie sukiennictwem. Dla upamiętnienia tego wyda-

zenia młody Foerster przekonał seniora, żeby towarzystwo upiększania miasta postawiło wieżę na Grünbergs Höhe. Podobno w pogodną noc można z niej obserwować gwiazdy i...

– Czy pan pokaże nam miejsce, gdzie spadł ten kamień? – przerwał mu Askard.

Wachmistrza nie trzeba było dwa razy prosić. Po drodze do folwarku Heinrichau opowiedział gościom, że wczesnym popołudniem 22 marca 1841 roku fornale pracujący na polu należącym do dóbr Seiferholz usłyszeli świst, a po chwili jakby grzmot. Niepomierne ich to zdziwiło, ponieważ niebo było bezchmurne i w marcu nigdy nie grzmi, co innego w maju. Potem ludzie w Grünbergu, w Sagan, w Naumburgu, nawet w Crossen, a to przecież pół dnia jazdy dyliżansem, opowiadali, że słyszeli coś, co przypominało wystrzał armatni. Nasz kantor potruchtał do kościoła, bo wydawało mu się, że ktoś niepowołany uruchomił organy. Przecież poza kantorem nikt w Wittgenau nie umiał grać na takim instrumencie. On też mógłby panom dużo opowiedzieć, gdyby nie choroba, która go dotknęła po tym, jak poślizgnął się na kościelnych schodach i zleciał głową do dołu. Teraz to nie, ale dawniej kantor tyle samo czasu spędzał w karczmie, co w kościele. Lubił sobie, jak to mówią fornale...

– Daleko jeszcze do miejsca, gdzie spadł kamień? – znowu przerwał mu Askard, nie interesując się opowieścią o kantorze.

– Nie kamień, lecz prawdziwy meteoryt, czyli skalna część ciała niebieskiego – powtórzył wachmistrz to, co usłyszał od młodego Foerstera, gdy astronom razem z profesorem Eckem wizytował Grünberg i przy okazji Wittgenau. – Z tej przyczyny, proszę panów, członkowie towarzystwa upiększania miasta za własne talary postavili wieżę obserwacyjną na Grünbergs Höhe. Kilka dni temu została uroczyste...

– Daleko jeszcze? – niecierpliwił się Thorn, odpowiedzialny za bezawaryjne funkcjonowanie narządów Askarda i swoich. Najpóźniej za cztery godziny muszą być za wzgórzem Piastenhöhe, gdzie stoi ich pojazd. Jeśli do tego czasu nie podłączą kondensatorów do ładowarki, najpierw zmaleje aktywność głównych czujników i zanim uruchomią się urządzenia zapasowe, neutralizatory rozpoczną degenerację narządów, aby nie został po nich najmniejszy ślad na Ziemi.

– Już jesteśmy na miejscu. Fornale byli tam – wachmistrz pokazał na skraj pola – a tu upadł meteoryt. To znaczy większy, bo fornale znaleźli jeszcze jeden, dużo mniejszy. Ten większy ważył coś kilo, mniejszy był najwyżej tyci – podniósł z ziemi kamyk i położył go na wyciągniętej dłoni. – W miejscu, gdzie spadł większy meteoryt, fornale zobaczyli dziurę, ale żaden nie chciał włożyć tam ręki. Stali i medytowali, w końcu jeden się odważył. On jest zimny! krzyknął i za pomocą kija wyjął z ziemi tajemniczą grudę.

– Co się z nią stało? – Askard ponaglił wachmistrza.

– Pan Hutter, który nadzorował robotę fornali, przypomniał, że wszystko, co jest w ziemi pruskiej i na jej powierzchni wedle prawa należy do królestwa. Fornal najlepiej zrobi, jeśli zanieśie znalezisko na plebanię. Pastor będzie wiedział, kogo powiadomić. Tak też było – zakończył swoją opowieść wachmistrz.

Askard natychmiast wcisnął czujnik docieklivości.

– Czy były to szare chondryty, złożone głównie z oliwину i piroksenów?

– Co takiego? – Skrzywił się wachmistrz.

– Pytam, jak wyglądały te meteoryty. To znaczy owe grudy.

– Zwyczajnie. Jak kamienie. No, może były trochę inne.

– Czy na wierzchu miały żyłki?

Wachmistrz nie odpowiedział. Dopiero teraz Askard zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie za dużo ujawnił. Rozżębiawszy się więc, spytał:

– Kto ma te grudy?

– Zgodnie z procedurą, pastor przekazał je superintendentowi w Grünbergu. Jaką drogą dostały się do muzeum minerałów w Breslau, niestety, tego nie wiem. Tam zostały pocięte na części. Kawalki przekazano do placówek badawczych, między innymi w Watykanie, Gregory, Tübingen, Tartu, Chicago... Największy kawałek pozostał w Breslau. Pan Foerster za pośrednictwem swego syna czyni starania, żeby chociaż fragment kamienia znalezionego w Wittgenau, który jest przechowywany w Breslau, znalazł się w wieży na Grünbergs Höhe.

– A jak ludzie odebrali to, co się wydarzyło na polu koło Heinrichau?

– Rozmaicie. Najczęściej nic sobie z tego nie robili. Byli tacy, którzy potraktowali zdarzenie jako zapowiedź końca świata. Gdy podczas niedzielnego nabożeństwa pastor przeczytał z Biblii, że „Zaraz też po ucisku owych dni Słońce się zaćmi i Księżyc nie da swego blasku, gwiazdy zaczną padać z nieba i moce nieba zostaną wstrząśnięte”, karczma na jeden wieczór opustoszała. Ludzie może by nie uwierzyli pastrowi, ale on przypomniał, że to nie jest przypadek, aby na niewielkim obszarze wokół Grünberga, aż w trzech miejscach kamienie spadły z nieba. To musi być zapowiedź czegoś ważnego, co może nastąpić.

21 grudnia 2018 roku z powodu okresowej zamiany biegunów wewnętrzne pole magnetyczne Ziemi powinno zostać przeciążone i zniszczone. Uwolnione cząstki tego

poła, uderzając o siebie, doprowadzą do takiego rozgrzania atmosfery, że powstanie obfity żar, niszczący wszystko. Ochładzanie się zdeformowanej Ziemi będzie trwało około ośmiu tysięcy lat. Tyle czasu wystarczy naszym badaczom, żeby przygotowali się na zajęcie kolejnej planety w Układzie Słonecznym, przypomniał sobie Askard.

Thorn podziękował wachmistrzowi za informacje i dał znak fiakrowi, żeby podjechał dorożką na pełną drogę. Do Askarda wysłał informację: Natychmiast musimy stąd wyruszyć. Jeśli nie uzupełnimy poziomu ładunków, za cztery godziny neutralizatory rozpoczną degenerację naszych narządów.

Właśnie odebrałem twój ostatni meldunek i przesałem go do pozasłonecznego ośrodka rozwoju.

Zadanie zostało wykonane, stwierdził Askard. Nie oznacza to, że mam ochotę przestać istnieć. W Grünbergu jest tyle atrakcyjnych miejsc, że chętnie bym je poznał.

Ja też, przyznał się Thorn, przypominając sobie smak i zapach wina, którym Weinmann poczęstował jego i Askarda.

*

Wiadomość o tym, że na śródleśnej drodze między Wittgenau a Grünbergiem przewróciła się dorożka, którą wracali Askard i Thorn, najpierw dotarła do ratusza. O wypadku burmistrz Gühler kazał woźnemu natychmiast powiadomić redaktora Levysohna i przekazać, że po powrocie do miasta niezwłocznie musi mu złożyć dokładną relację.

– Konie spłoszyły się, gdy dzika locha z warchlakami wybiegła z lasu na drogę – referował Levysohn burmistrzowi. – Konie poniosły dorożkę między drzewa, łamiąc koło i dyszel. Jak długo fiakr leżał nieprzytomny, tego i on sam nie wie. Pewnie więcej niż dwie godziny,

bo kiedy ze mną rozmawiał, krew na jego czole była już zaschnięta i poczerniała.

– A ci dwaj pasażerowie...? – spytał burmistrz zniecierpliwiony i pokazał na stół, przy którym podejmował dziwnych gości.

Redaktor rozciągnął ręce.

– Mówże, człowieku!

– Co mam powiedzieć?

– Opowiedz o tym, co widziałeś. Specjalnie posłałem pana, żeby mi wszystko dokładnie zrelacjonował, a pan... Jak czują się goście?

– Nie wiem.

– Co to znaczy: nie wiem, Levysohn?... Udzieliłżeś pan im pomocy? Rozmawiałeś...?

– Goście, panie burmistrzu, zniknęli. Fiakr twierdzi, że kiedy odzyskał przytomność i wygramolił się spod połamanej dorożki, konie stały między drzewami, a pasażerów nie było. Chodził po lesie, wołał ich, szukał...

– Wyparowali?... A może aniołowie zabrali ich prosto do nieba?

– Co panu odrzec? – pierwszy raz Levysohn poczuł się bezradny. – Jeszcze gorzej, bo nie wiem, co napisać w „Grünberger Wochenblatt”. Przecież żaden czytelnik nie uwierzy, że goście przepadli bez śladu.

Siła wyższa

Poprzednik burmistrza von Gayla w grünberskim ratuszu podróżował dyliżansem do prezydium rejencji w Liegnitz raz w roku, z reguły zaraz po Bożym Narodzeniu lub wyjątkowo na początku stycznia, co zajmowało mu cały dzień. Dlatego gdy ledwie zawiązała się spółka kolejowa, burmistrz podarował jej część miejskich pól i lasów, żeby jak najszybciej rozwlekła tory i postawiła stację podobną do tej, którą widział w Glogau, a gdy to się dokonało, kazał wytyczyć ulicę prowadzącą wprost spod ratusza na plac przeddworcowy. Teraz Wilhelm von Gayl nie musi telepać się w dyliżansie i odpowiadać na pytania przypadkowych towarzyszy podróży albo słuchać tego, co im ślina przyniesie na język. Kwadrans na siódmą dorożkarz wiezie go na stację, gdzie wsiada do wagonu pierwszej klasy, po dwóch godzinach usypiającej podróży zadowolony i wypoczęty stawia nogi na peronie w Liegnitz. Tą drogą może jeździć do prezydium rejencji nawet co miesiąc. Jeszcze bardziej lubi wracać do Grünberga, szczególnie jeśli prezydent nie tylko uściśnie mu dłoń lub powie coś miłego, lecz i pochwali albo da go za wzór innym burmistrzom, a ostatnio von Gayl nasłuchiwał się komplementów. Usadowiwszy się w wagonie, lubi przymknąć oczy i w rytm stukotu kół pociągu przypominać sobie słowo po słowie. Dziś również usłyszał kilka miłych zdań, lecz nie one zaprzatają mu głowę.

– Panowie w Berlinie i Breslau uważają *de publicis*, że burmistrzowie większych miast naszego królestwa powin-

ni utworzyć stanowiska architektów zajmujących się wyłącznie problemami miejskimi. Pan, doktorze von Gayl, jest *primus inter pares* pośród gospodarzy śląskich miast – zawsze, gdy chciał podkreślić wagę swego stanowiska, prezydent rejencji zaczynał rozmowę od łacińskiej sentencji. Mimo że nie studiował prawa na uniwersytecie, lubił popisywać się zwrotami prawniczymi.

– Sprawy budowlane w Grünbergu zupełnie dobrze rozwiązuje wspólny dla miasta i powiatu inspektor nadzoru architektonicznego. Utworzenie nowego urzędu to przecież dodatkowy wydatek z kasy magistratu – powiedział burmistrz von Gayl.

– Tak, tak – zgodził się z nim książę Nicolaus von Handjery i dodał, że doskonale go rozumie, ale zaraz przypomniał: – Powiat ziemski Grünberg jest największy w rejencji. Ostatnio miasto rośnie jak na drożdżach, prawda?

– Do fabryki sukna Anglicy sprowadzili maszyny, jakich jeszcze nie ma nawet we Flandrii, a Brugia czy Gandawa to przecież europejskie centra włókiennictwa. Po tym, jak piwo z browaru pana Brandta zostało wyróżnione złotym medalem na wystawie w Chicago, można je kupić na trzech kontynentach. Inżynier Beuchelt przerzuca już nie tylko proste mosty nad rzekami, lecz i buduje wagony kolejowe systemu pulmanowskiego. Pan Grau uruchomił dom handlowy z modnymi towarami. Nasz wspaniały urbanista Gideon Weinert specjalnie pojechał do Falkenberga, żeby zobaczyć, jak powinno wyglądać nowoczesne miasto. Po powrocie do Grünberga wytyczył aleję, która zamieni centrum w wielki park z willami i przylegającymi do nich ogrodami. Będzie jak w biblijnym raju.

– Gratuluję z całego serca i podziwiam. Jeśli w takim tempie miasto będzie się rozwijało, to zostanę zmuszony do przeniesienia prezydium rejencji z Liegnitz do Grünberga – roześmiał się prezydent von Handjery i zaraz przybrał poważną minę. – Gdyby ode mnie zależało, gospodarzu Winnego Grodu, utrzymałbym *status quo* w sprawie architekta. Jeden dla miasta i powiatu wystarczy. Niestety, ja, panie burmistrzu, jestem tylko królewskim urzędnikiem, odpowiedzialnym pośrednikiem w sprawnym zarządzaniu naszym państwem.

Ma rację, w myślach doktor von Gayl zgodził się z prezydentem rejencji. Pracujemy nie dla osobistych korzyści, lecz przede wszystkim ku chwale Jego Królewskiej Mości i satysfakcji mieszkańców wielkich Prus, których władca czyni wszystko, żeby na powrót zjednoczyć prowincje Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. A skoro panowie w Berlinie postanowili, że w każdym większym mieście pruskim musi być samodzielny urząd architekta, to polecenie trzeba wykonać bez dyskusji.

– *In medias res* – odezwał się książę von Handjery, przypominając burmistrzowi, że prawo nakazuje, aby stanowisko architekta miejskiego sprawował nie majster budowlany, lecz specjalista z wykształceniem akademickim i uprawnieniami do korygowania projektów. – Wybrany, *primo*, w drodze postępowania konkursowego do końca roku, *secundo*, na co najmniej dwunastoletnią kadencję. *Tertio*, z dużym wynagrodzeniem, żeby nie kusiła go prywatna – dodał prezydent rejencji.

Czy znajdzie się chociaż jeden architekt dyplomowany, który zechce osiąść w Grünbergu, skoro dobrze płatnymi posadami kusi Breslau, Liegnitz, pewnie i Frankfurt, skąd

do Berlina zaledwie pół godziny koleją? Już burmistrz otworzył usta, ale wbrew sobie powiedział co innego:

– Zrobię, ile potrafię, aby w zarządzanym przeze mnie Grünbergu wszystko odbyło się zgodnie z prawem i wolą panów w Berlinie. – Było to ostatnie zdanie, jakie padło z ust doktora von Gayla w gabinecie prezydenta rejencji.

Łatwo powiedzieć, ale jak przekonać rajców, żeby z kasy miejskiej wydali dodatkowe marki? Na razie burmistrz nie umiał znaleźć rozsądnej odpowiedzi na to pytanie. Gdyby żył Friedrich Foerster, doktor von Gayl miałby kogo się poradzić, niestety najślawniejszy grünberski przemysłowiec z wielkimi honorami został pochowany na cmentarzu Grüner Kreuz, a o tym, jakim cieszył się poważaniem, świadczy okazałe dzieło sztuki rzeźbiarskiej na jego grobie.

Termin obsady urzędu architekta miejskiego nagiął, tym bardziej że po śmierci Carla Mühlego nadzór nad sprawami budownictwa sprawował radca wydziału finansowego, co było niezgodne z przepisami. Toteż już następnego dnia po powrocie z Liegnitz burmistrz kazał notariuszowi zwołać radę miejską. Bez zbędnych zdań powtórzył to, co mu powiedział książę von Handjery, a przewidując, że gdy skończy swoją przemowę, aptekarz Weinmann natychmiast zechce popisać się oracją pełną banałów, dlatego wzorem prezydenta rejencji, nie tłumacząc na niemiecki, dodał po łacinie:

– *Dura lex, sed lex.*

Cisza w sali sesyjnej rady trwała może i pół minuty. Akurat tyle czasu potrzebował sędzia Hilscher, żeby szepnąć do ucha pastora Lonicera, że skoro doktor von Gayl podpira się łacińską sentencją, to sprawa jest bardzo poważna. Pierwszy poderwał rękę Christian Weinmann i jak

się spodziewał burmistrz, zamiast zadać sensowne pytanie, aptekarz wygłosił opinię przeciwną jego koncepcji. Po nim doktor Langer powtórzył, że z przykrością opuszcza miasto, w którym spędził najlepsze lata gorliwej służby. Nim ostatni raz zatrzyma swój wzrok na wieży ratusza, którą codziennie ogląda z okna mieszkania przy Niederthorgasse, prosi o wyjaśnienie, czy to konieczne, żeby w Grünbergu był osobny urząd architekta miejskiego.

– Breslau, Liegnitz, Glogau... rozumiem. Przecież specjalista z dyplomem akademickim i uprawnieniami budowlanymi nie przystanie na wynagrodzenie urzędnicze. Lepiej te pieniądze wydać na utrzymanie lecznicy dla ubogich, tym bardziej że gruźlica rozszerza się i w ostatnich latach zbiera coraz większe żniwo. – Doktor Langer miał ochotę opowiedzieć, jakimi metodami ten, który zostanie jego następcą powinien walczyć z tą chorobą i na koniec chciał spytać, kiedy powstanie druga linia kolejowa do Sprottau, gdy odezwał się pastor Lonicer, sprawujący jednocześnie urząd superintendenta.

Cieszący się dużym autorytetem duchowny każdą swoją mowę zaczynał od przypomnienia, dlaczego został zwierzchnikiem prowincji kościelnej i skąd przyjechał do Grünberga.

– Wierście mi, że w Bunzlau, a tam jako pastor spędziłem pierwsze lata po ukończeniu uniwersytetu, długo nie tworzono samodzielnego urzędu architekta. Miasto było stać na taki wydatek, bo z dwiema gminami ewangelickimi i parafią katolicką, z okazałym ratuszem, kamienicami, w dodatku malowniczo położone i przy tym bogate. Dopiero kiedy opuszczałem Bunzlau, wzorem piękniejącego z dnia na dzień Sprottau, powołało ten, moim zdaniem,

zbyteczny urząd. To samo stało się w Sorau i Sagan, niewiele większych od naszego Winnego Grodu.

– O, Sagan... – zaczął doktor Langer, lecz nie skończył myśli zgaszony spojrzeniem burmistrza, który miał mu za złe, że wyjeżdża z Grünberga akurat wtedy, kiedy przy Rohrbuschweg powstaje lazaret. Berlinerstrasse wygląda nie jak piaszczysta uliczka wymykająca się z miasta przez otwartą bramę, a jak Königsallee albo Nikolaistrasse w Liegnitz.

– Prawo kościelne mówi, że kadencja czcigodnego pastora Lonicera na urzędzie superintendenta nie może być dłuższa niż osiem lat. Dlaczego kadencja architekta miejskiego ma ciągnąć się przez dwanaście lat? – spytał stary aptekarz Weinmann zadziornie.

– Nie podoba mi się to, że miasto musi urządzić mu biuro, wyposażyć je w niezbędne sprzęty i utrzymywać. To są dodatkowe i zbędne koszty – stwierdził mistrz budowlany Johann Bothe. – Ja, gdyby panowie rajcy mnie wybrali na inspektora do spraw urbanistycznych, mógłbym ten ciężar wziąć na swoje barki.

– O ile dobrze mnie poinformowano, pan nie ma wykształcenia akademickiego – powiedział Wichmann z wydziału finansowego, nadzorujący pracę doradcy do spraw budowlanych.

– Pan również – odgryzł się Bothe.

– Dlatego nie zgłoszę swojej kandydatury na ten jednak zaszczytny urząd.

– A ja przeciwnie. I wygram.

Zniecierpliwiony tym burmistrz von Gayl uciął dyskusję.

– Panów rajców proszę o zgodę na ogłoszenie konkursu i wyznaczenie swoich przedstawicieli do komisji, która

rozpatrzy zgłoszenia. Decyzję w sprawie obsady urzędu architekta miejskiego podejmę wspólnie z radą. Przypominam, że w tej, jak i w każdej sprawie natury państwowej ostatnie zdanie należy do prezydenta rejencji.

– Po co zaraz ogłaszać konkurs? Czy u nas nie ma majstrów znających się na budownictwie? – spytał aptekarz, mrugnawszy do Johanna Bothego. – Jeśli zgłosi się ktoś spoza naszego miasta i, nie дай Bóg, wygra, trzeba będzie zapewnić mu mieszkanie, wyznaczyć miejsce na biuro...

– *Ad rem*, panowie. Kto jest za tym, abym z upoważnienia rady miejskiej ogłosił konkurs na stanowisko architekta, niech podniesie rękę – przerwał Weinmannowi burmistrz.

– Skoro tak musi być... – zaczął piekarz Heineberger i napotkawszy srogie spojrzenie aptekarza zaraz umilkł.

Wyłączając Bothego i aptekarza, wszyscy podnieśli ręce.

– Choćbyście wybrali architekta z tytułem profesora, nie będzie lepszy od pana Bothego – nie ustępował Weinmann, który, co od dawna powtarzały przekupki na Glasserplatz, miał wielką ochotę zająć gabinet burmistrza von Gayla.

*

Burmistrz spodziewał się, że na konkurs wpłynie najwyżej pięć, może osiem, a nie aż ponad osiemdziesiąt zgłoszeń. Wśród nich były kandydatury z Breslau, co go nie zdziwiło, lecz i z Berlina, Pomorza Przedniego, Prus Wschodnich, Dolnej Saksonii, a nawet z dalekiej Frankonii. Najpierw doktor von Gayl się ucieszył, bo komisja miała spośród kogo wybierać, a potem posmutniał.

– Przy tak dużej liczbie kandydatów można nie zauważyć najlepszego – powiedział do pastora, gdy Lonicer zasugerował, żeby komisja dała pierwszeństwo asystentowi architekta w Bambergu, pochodzącemu z Züllichau, ponieważ taki musi znać miejscowe tradycje.

Burmistrz dobrze wiedział, kogo superintendent ma na myśli, ale zamiast wytknąć mu, że popiera siostrzeńca swojej żony, udanie zmarszczył czoło i przechylił głowę, po czym rzekł beznamiętnie:

– A ja, panie pastorze, wolałbym, żeby wygrał kandydat z odległej miejscowości, który nikogo nie zna w Grünbergu. Na decyzje takiego nie będą mieli wpływu właściciele tutejszych firm budowlanych, nauczyciele, bankierzy. Słowem: nasi notable. Nie ukrywam, że marzy mi się berlińczyk.

– Berlińczyk? – roześmiał się Lonicer z dezaprobatą. – Utalentowany architekt nie wyjedzie z Berlina nawet za cenę dużo większego wynagrodzenia i darmowego mieszkania w kamienicy.

Doktor von Gayl przyznał rację pastorowi, zresztą nie pierwszy raz, ale nie powiedział tego głośno. Był przeciwnikiem wtrącania się duchownych do spraw świeckich, mimo iż przestrzegał zasady szczególnie surowej w państwie pruskim: *Cuius regio, eius religio*.

Członkowie komisji konkursowej długo nie mogli uzgodnić stanowiska. Kandydatów, którzy spełniali wymagania formalne i proponowali rozwiązania urbanistyczne takie, jakie burmistrz widział w Liegnitz i Breslau, nie akceptowała grupka jego oponentów wspierana przez aptekarza. Zdaniem jednych, znużony przeciągającą się procedurą konkursową Lonicer wybrał się do apteki Zum Adler.

Zdaniem drugich, pastor zaprosił Weinmanna na plebanię. Jak było naprawdę, wiedzą jedynie oni obaj oraz subiekt i notariusz kościelny, w każdym razie tuż przed rozpoczęciem adwentu komisja wyłoniła dwie osoby. Zaledwie siedmiu rajców podniosło ręce, gdy burmistrz skończył opowiadać, jakie ma osiągnięcia i co zaproponował Johann Krüger z Peine koło Hanoweru.

– Przyznam się panom, że z niedowierzaniem zapoznałem się ze spisem dokonań Alberta Severina, drugiego spośród kandydatów, wybranego przez szacowną komisję.

– Ja również – wtrącił piekarz Heineberger.

– Dlatego napisałem list do burmistrza Insterburga...

– Gdzie leży ta miejscina? – przerwał mu Bothe i...

– Ta miejscina, jak pan nazwał Insterburg, jest centrum powiatowym w Prusach Wschodnich. Leży w pobliżu Königsberga – odpowiedział doktor von Gayl z powagą i już nie miał wątpliwości, dlaczego majster budowlany nie powinien być architektem miejskim. – Administratorem Insterburga jest mój kolega ze studiów prawniczych na uniwersytecie w Greifswaldzie. Nie będę panom zabierał czasu czytaniem całego listu. – Burmistrz wyjął z kieszeni surduta złożony w cztery arkusz, na nos założył cwikiery. – „Z dyplomem berlińskiej Bauakademie pan Severin zatrudnił się w biurze architekta miejskiego w Insterburgu. Nie mając za wiele praktyki, na początku robił to, co mu zlecał przełożony, szybko jednak okazało się, że to zdolny człowiek i wejdzie w konflikt ze zwierzchnikiem. Tedy powierzyłem mu stanowisko dyrektora średniej szkoły rzemiosł budowlanych, która w Prusach Wschodnich ma wysokie notowanie. Mieszkańcy Insterburga podziwiają rozwiązania architektoniczne pana Se-

verina. Według jego projektu powstał kościół garnizonowy i kompleks zabudowań szpitalnych, a także zielone promenady otaczające miasto. Niedługo w pobliżu starego, wysłużonego budynku stanie nowoczesny gmach szkoły rzemiosł”. – Poprawiwszy zsuwające się z nosa cwikiery, burmistrz von Gayl przez chwilę wpatrywał się w list, nie odczytując na głos jego treści. – Jeszcze to, panowie. „Tobie, przyjacielu ze studenckiej ławy, powiem o czymś, co mnie niepokoi w zachowaniu pana Severina. To nie jego fantazyjne projekty, a opinie na temat architektury wygłaszane na zebraniach Heimatschutzu. Ma odwagę proponować coś dziwnego i z niespożytą energią bronić swojego pomysłu, choćby musiał stanąć oko w oko z profesorem uniwersytetu. Ale wolę pracować z dziwnymi inżynierami niż z takimi, którzy najpierw pytają, ile pieniędzy dostaną za swoją pracę”. – Burmistrz zdjął cwikiery z nosa i wetknął list do kieszeni surduta, ale nie usiadł. W sali panowała cisza. – Czy panowie mają pytania lub oczekują, żebym przeczytał jeszcze kilka fragmentów listu?

– Ten Krüger z Peine byłby lepszy – odezwał się piekarz, który siedział koło majstra Bothego. Chciał coś dodać, ale skarcony spojrzeniem pastora wcisnął głowę w kołnierzyk koszuli, że wyglądał jakby nie miał szyi.

– Przynajmniej wiadomo, czego można po nim się spodziewać – powiedział Robert Piltz, starszy z braci fotografów.

– Kto spośród radnych jest za tym, żeby Albert Severin został architektem miejskim w Grünbergu? – spytał burmistrz i natychmiast podniósł rękę. Bał się, że jego kandydat przegra. Siedem rąk było w górze. – Aż tylu zwolenników ma pan Severin? – Zauważył zmieszanie na twarzach

tych, którzy opowiedzieli się za Krügerem. – W takim razie pozostało nam tylko wysłanie wniosku do Liegnitz i oczekiwanie na akceptację wybranego kandydata przez prezydium rejencji.

*

Gdy tydzień później nadeszła zgoda z Liegnitz, burmistrz wezwał Severina do Grünberga. Rajcy byli bardzo ciekawi, jak się zaprezentuje człowiek, który postanowił objąć urząd architekta miejskiego i czy wyjaśni, co nim kierowało w podjęciu tej decyzji. Aptekarz przyznał się pastelowi, że gdyby był dyrektorem szkoły średniej w Insterburgu, czyli osobą dobrze opłacaną i na pewno szanowaną, nigdy nie zamieniłby miasta większego na mniejsze.

– Gdzie co drugi mieszkaniec choruje z powodu niedoboru jodu. Zdrowy człowiek tak by postąpił?

– Niech pan zada mu to pytanie podczas prezentacji – podpowiedział Lonicer. Pastor cenił Weinmanna jako farmaceutę, ale nie lubił, gdy aptekarz wtrącał się do spraw, na których się nie znał.

Z dwóch stron stołu ustawionego wzdłuż okien w największej sali ratusza siedzieli rajcy. Miejsca przy drugim stole zajęli zaproszeni właściciele fabryczek i manufaktur, kupcy i restauratorzy, duchowni ewangeliccy i ksiądz katolicki, kantorzy i nauczyciele.

– Spytał mnie pan, jakie były powody tego, że postanowiłem zamienić większy Insterburg na mniejszy Grünberg. Zdrowy, myślący mężczyzna, ojciec rodziny tak by postąpił? – Albert Severin powtórzył pytanie, które zadał mu aptekarz i zamilkł, jakby dopiero teraz się zastanawiał, dlaczego podjął tę decyzję. – Wyjaśnię, tylko proszę się nie

śmiać – zwrócił głowę w stronę Weinmanna i milczał, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co zrobił, ale już nie może się wycofać. – To była siła wyższa.

Aptekarz zrobił wielkie oczy i otworzył usta, a potem wybuchnął tak zaraźliwym śmiechem, że śmiali się nawet duchowni. Burmistrz von Gayl chciał poprosić Severina, żeby wyjaśnił to, co przed chwilą powiedział, bo może się przesłyszał albo opacznie zrozumiał odpowiedź.

– Tak, panowie, siła wyższa. – Severin spojrzał na radnych po swojej prawej stronie, wzrok przeniósł na osoby siedzące po stronie lewej i pochylił głowę przed burmistrzem. – Panowie rozumieją siłę wyższą jako, na przykład, pożogę, oberwanie chmury, gradobicie, śnieżycę, powódź, suszę czy przymrozek niszczący winnice, wiatr zrywający kapelusze z głów. Czyli coś, na co człowiek nie ma najmniejszego wpływu. Ja również znam taką siłę wyższą. Lecz siła wyższa może mieć i inny wymiar.

– Inny, czyli jaki? – odezwał się aptekarz, zezując na pastora, który siedział z rękoma splecionymi na piersi i wzrokiem przyklejonym do sufitu. – A może pan ma coś z głową nie tak?

Nikt się nie roześmiał, na co liczył Weinmann. Severin spokojnym głosem kontynuował:

– Siła wyższa, o której chcę panom opowiedzieć, przyszła do mnie we śnie pod postacią mego świetlanej pamięci ojca. Powinieneś, synu, wrócić tam, skąd pochodzisz, powiedział. I tym, czego nauczyli cię profesorowie w Bauakademie, całym swoim talentem, a przecież talentem dobry Pan obdarował cię sownie, podziel się z mieszkańcami miasta, w którym się urodziłeś. Albercie, jedyny synu, moja żona Catharina wydała cię na świat w Grünbergu. Tak, pa-

nowie, urodziłem się tu, co dziś mógłby poświadczyć doktor Langer, gdyby nie wyjechał z Grünberga. Urodziłem się dziewięć lat przed postawieniem wieży na Halbmeilmühle, zwanej od niedawna Grünberg Höhe. Chciałbym analogicznie jak doktor Gersdorf zaprojektować budowlę, którą ludzie nazwą rondlem z maczugą. To nie jest obraźliwe dla architekta. Przeciwnie, w ten sposób dzieło projektanta pozostaje na wieki w pamięci dzisiejszych mieszkańców i przyszłych pokoleń.

– Jakiś dziwny ten nowy architekt – powiedział szeptem doktor Wolff do sędziego, a Hilscher przytaknął skwapliwie.

W przeciwieństwie do burmistrza, pastor pomyślał tak samo. Po chwili Lonicer zmienił zdanie, o czym zawiadomił sędziego i lekarza miejskiego.

– Nie chcę odejść z tego świata jak większość grüńberczyków. Chcę, żeby po mnie coś zostało. Coś trwałego. Jak po panu Foersterze ten podziwiany rondel z maczugą, a po panu Gremplerze ta znakomita wytwórnia win musujących... – Severin spojrzał na doktora Wolffa, o którym wiedział tylko tyle, że ma zamiar utworzyć zakład leczniczy, jakiego jeszcze nie ma w Niemczech.

Adolf Hacker wysunął głowę, jakby chciał, żeby Severin dostrzegł go i powiedział coś, na co wszyscy zwrócą uwagę. To będzie najlepszy budowniczy w całej rejencji, pomyślał.

– Muszę panom powiedzieć, że dobry architekt, dbając o oryginalność swoich dzieł, pamięta, aby współgrały one z istniejącą zabudową miast i posiadały cechy narodowe. Jakże się cieszę, że generalny konserwator zabytków w Prusach, doktor Quast, nie pozwolił rozebrać wieży przez jednych zwanej Głodową, przez drugich Łaziebną. To najcenniejszy zabytek w Grünbergu, przemawiający do nas z dawnych wieków.

Burmistrz zwiesił głowę. Jeśli Severin przypomni, kto kazał rozebrać basteję przy Am Graben albo kto polecił przykryć kłodami potok Goldene Lunze, bo woda nie nadawała się do picia, to przerwę jego przemowę. On został wybrany na urząd architekta po to, żeby miał kto korygować projekty budowlane, a nie po to, żeby cenzurować moje decyzje. Zresztą czy ja chcę źle dla miasta? Ale i zmartwił się doktor von Gayl, bo może wyborem Severina na urząd architekta miejskiego napisał sobie biedy. Przez dwanaście lat nikt go nie zwolni.

– Jest jeszcze coś, na co projektant z dyplomem akademickim zwraca uwagę, to uwidocznienie cech lokalnego charakteru budownictwa. O tym staram się pamiętać i do tego będę przekonywał tak architektów, jak i majstrów budowlanych.

Lonicer miał ochotę publicznie pochwalić Severina za prezentację poglądów na urbanistykę, gdyby nie to, z jakim przekonaniem mówi o sile wyższej. Pewnie trzeba mu wybaczyć, wszak architekt trochę musi być artystą, że w jego głowie leżały się nawet i cudaczne pomysły. Pastor przypominał sobie braci Grimmów, którzy pewnie nie wierzyli w istnienie duchów, krasnoludków, złotego ptaka, Czerwonego Kapturka, Baby Jagi, a ile dobrego zrobili, spisując ludowe mity i baśnie. Jeśli Severinowi uda się wcielić w życie to, o czym z takim zapałem opowiadał, grünberczycy wyniosą go na cokół lub jego imieniem nazwą na przykład park.

– Czekam, kiedy burmistrz powtórzy za Seneką: *Ars longa, vita brevis* – szepnął sędzia Hilscher do ucha pastora, a on ledwie się roześmiał.

*

Upłynęły zaledwie dwa tygodnie urzędowania Severina, a już drzwi do gabinetu burmistrza w ratuszu się nie zamykały. Niemal wszyscy mistrzowie budowlani zaczęli rozmowę z włodarzem miasta od wychwalania poprzedniego architekta i narzekania na nowego, bo drobiazgowo sprawdza projekty nawet już zatwierdzone. Stawianie zabudowań folwarcznych w należącym do Grünberga majątku ziemskim Woitscheke jest na ukończeniu, a Severin kazał opalać ściany spichlerza, ponieważ zostały postawione na podmokłym terenie.

- Zrobiłem to, co zaplanował projektant folwarku - tłumaczył właściciel firmy budowlanej, Carl Lorenz. - Kto mi zapłaci za dodatkową robotę?

- Jeżeli Severin nie ma racji, niech pan dostarczy mi dowodów - powiedział burmistrz, mający dość wysłuchiwanie skarg na architekta. - Wtedy miasto wniesie sprawę do sądu. To jedyny sposób, aby uwolnić się od Severina.

- A nie da się z nim... tak... jak było dotąd? Pan burmistrz każe...

- ...i spichlerz zawali się jak piekarnia przy Breiterstrasse. I jeszcze kogoś przydusi - dokończył doktor von Gayl. - Kto będzie odpowiadał?

Zbity z tropu Lorenz przyznał, że wedle sztuki budowlanej podmokły teren najpierw trzeba wzmocnić zastrzykami z cementu, a dopiero potem wznosić ściany.

- W tym miejscu nie należało stawiać spichlerza - dodał, ale się nie przyznał, że namówił zarządcę majątku, żeby zamówił tani projekt u swego znajomego.

Najgorsze stało się tydzień później, kiedy do ratusza wpadł rozwścieczony Heinrich Abers. Jeszcze poprzedni

burmistrz namawiał go do budowy nowoczesnej rzeźni z wędliniarnią. Dał się przekonać doktorowi von Gaylowi, gdy miasto niemal za bezcen sprzedawało mu parcelę przy Rothenburger Strasse. Projekt wytwórni wykonał nie młody architekt bez doświadczenia, lecz uważany za mistrza Gideon Weinert, a mimo to Severin go zakwestionował.

– Dotąd nie zdarzyło się, żeby ktokolwiek odważył się zdyskredytować nawet najdrobniejszy pomysł pana Weinerta – grzmiał podniesionym głosem Abers. – Czy znajdzie pan chociaż jedną osobę, której nie podobają się kamieniczki przy Kleine Bahnhofstrasse? Wszystko, co powstało w pracowni Weinerta, stoi i cieszy oczy... Tyle pieniędzy wydałem na sporządzenie dokumentacji i Severin... Tak nie może być, żeby przybłęda z Insterburga przekreślał osiągnięcia szanowanych grünberczyków. Weinmann przestrzegał, ale pan posłuchał pastora.

– Panie Abers, nie ja wybrałem Severina, lecz rada miejska. Wybrała go spośród ponad osiemdziesięciu kandydatów. Podobało mi się to, co mówił o roli architekta w naszym mieście – przyznał się burmistrz. Wątpliwości zaczęły go dopiero nękać, gdy usłyszał, że siła wyższa kazała Severinowi wrócić do Grünberga.

– Jeśli pan nie wpłynie na niego, to rzeźnię postawię w Wartenbergu albo w Züllichau. Albo nigdzie! Wyjadę jak doktor Langer.

Ostatnim zdaniem Abers bardziej wystraszył burmistrza niż go zdenerwował. Gdyby chodziło o rymarza czy powroźnika, doktor von Gayl pokazałby mu drzwi, lecz rzeźnik jest tak samo ważny jak bankier. Kazał więc woźnemu natychmiast iść do biura Severina i wezwać go do ratusza. Gdy architekt przyszedł bez ociągania, naburmu-

szony doktor von Gayl nawet nie odpowiedział na pozdrowienie, tylko pokazał zydel przed stołem, przy którym siedział. Rozmowę zaczął pytaniem o samopoczucie Severina w rodzinnym mieście. Interesowało go też, czy kogoś się radzi, gdy wyrokuje, który projekt trzeba poprawić, a który zatwierdza bez zastrzeżeń. Miał na końcu języka pytanie o siłę wyższą, lecz bał się ośmieszenia, bo architekt powie coś, czego on nie zrozumie.

- Do rzeczy, panie burmistrzu - przerwał mu Severin.

- Nie po to pan mnie tu wezwał, żeby zaspokoić swoją ciekawość w kwestii mego samopoczucia.

- Słusznie - przytaknął von Gayl zaskoczony bezpośredniością podwładnego. - Gdy poskarżył mi się Lorenz, że poniesie dodatkowe koszty, związane ze wzmocnieniem ścian spichlerza w majątku Woitscheke, nie stanąłem w jego obronie. On zawsze na swoje wyjdzie. Nie prosiłem o wyjaśnienia, gdy skarżyli się majstrowie, że pana podwładni zaczęli domagać się rygorystycznego przestrzegania przepisów na placach budów. *Dura lex, sed lex*, a pan ma stać na straży prawa, choćby naruszało ono interesy grünberczyków. Ale dłużej nie mogłem zwlekać po wizycie w tym gabinecie Heinricha Abersa. Proszę mi wyjaśnić, dlaczego odrzucił pan projekt rzeźni przygotowany przez Gideona Weinerta.

- Dotarłem do planów rozwoju miasta. Jest w nich mowa, że za dziesięć lat Grünberg będzie jednym z większych skupisk ludności na Śląsku.

- Słusznie - natychmiast wtrącił dumny von Gayl. - Pod względem liczby mieszkańców Grünberg zrówna się z Glogau.

– A projekt rzeźni wykonany przez Weinerta tego nie uwzględnia.

Burmistrz otworzył usta i umknął wzrokiem za okno wyraźnie zawstydzony. Nie chcąc z miejsca przyznać racji Severinowi, spytał:

– Czy to jedyny powód, dla którego pan odrzucił ten projekt?

– Zaproponowane przez Weinerta rozwiązania są przestarzałe. Na przykład, w chłodni powinna być izolacja korkowa. Weinert nie rozwiązał problemu ścieków. Nie sądzę, żeby doktor Wolff jako lekarz miejski zgodził się na ich powierzchniowe odprowadzanie wzdłuż ulicy do rzeki.

Burmistrz podniósł się zza stołu, założywszy ręce do tyłu, stanął przy oknie, po czym podszedł do architekta i pochyliwszy się nad nim odezwał się cicho:

– *Nulla poena sine lege*. – Ponieważ Severin nie znał łaciny, zrobił pytające oczy. Doktor von Gayl położył mu rękę na barku. – Niech pan dalej tak pracuje.

*

Pastor spytał Severina, czy już się zadowił w Grünbergu, bo on, gdy został przeniesiony z Liegnitz, długo nie mógł się przyzwyczaić do chodzenia po uliczkach to powoli wspinających się ku winnicom, to raptownie opadających ze wzgórz. Mimo że architekt przytaknął i z naturalnym uśmiechem kiwnął głową, Lonicer chciał wiedzieć, czy nie żałuje, że porzucił większy Insterburg, gdzie przecież był szanowanym dyrektorem szkoły, na rzecz prowincjonalnego Grünberga.

– Nie będzie pan miał łatwego życia. Mistrzowie budowlani już wieszają na panu psy. Mówią, że jest pan gorszy niż policjant.

- Za to miasto mi płaci - odpowiedział Severin bez urazy. - Panie pastarze, w Insterburgu tylko mieszkalem, w Grünbergu zaś... naprawdę żyję. To jest moje miejsce na ziemi. Tu się urodziłem, tu pracuję i pewnie tu umrę.

Przywykły do tego, że parafianie nie sprzeciwiają się, Lonicer otworzył usta i chciał coś powiedzieć, lecz nie wiedział co, żeby być górą.

- Wczoraj wieczorem pierwszy raz wybraliśmy się na Grünbergs Höhe. Mnie mniej, za to żonie bardzo spodobał się ten rondel z maczugą. Szczególnie wyśmienita kuchnia. Radzę sprawdzić.

Pastor słyszał o wieży, ale nigdy nie był nawet w pobliżu Grünbergs Höhe, toteż postanowił, że jutro tam pojedzie.

- Mówię o restauracji w wieży widokowej. Na wystawienie takiej budowli nie pozwolił sobie Insterburg. Czegoś podobnego nie było nawet w Königsbergu, a to przecież miasto uniwersyteckie. Po kolacji, kiedy się ściemniło, oglądaliśmy sklepienie niebieskie przez teleskop. Wspaniały widok. Nigdy nie przypuszczałem, że wokół naszej Ziemi jest aż tyle planet. Gdybym nie wrócił do Grünberga, chodziłbym uliczkami Insterburga w nieświadomości istnienia kosmosu.

- Tak, tak - zgodził się duchowny. Wziąwszy architekta pod ramię, rzekł: - Słyszałem, że członkowie towarzystwa upiększania miasta poprosili pana o wykład. I pan się zgodził. O czym będzie?

- Mam zamiar przedstawić im swoje przemyślenia na temat urbanistyki. Na przykład takie. Publiczne place powinny oferować widoki zatykające dech w piersiach, a przed domami koniecznie muszą być ogródki, oczywiście jeśli jest to możliwe. Stary drzewostan powinien podlegać ochronie...

– Z całą pewnością – przerwał mu pastor. – Również przyjdę i posłucham. Tylko niech pan już nie wspomina o sile wyższej. Może to zostać odebrane jako... – Lonicer zastanawiał się, jakiego użyć określenia, żeby w oczach Severina nie wyjść na zacofanego klechę. – Grünberg jest małym miastem. Ludzie nie lubią... Już na pana patrzą... o! – wykrzyknął pastor uradowany, że znalazł właściwe określenie – jak na raroga.

– Pan również?

Zamiast odpowiedzieć, Lonicer dodał:

– Może to zostać odebrane jako negatywny wpływ istot pozaziemskich, w co ja oczywiście nie wierzę. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że w tym mieście jeszcze sto lat temu odbywały się polowania na czarownice. Wiele kobiet posądzano o kontakty z istotami pozaziemskimi, a ponieważ zaprzeczały temu, poddawano je okrutnym torturom.

– Panie pastorze, na każdego artystę ma wpływ coś trudnego do wyjaśnienia. Może właśnie istoty pozaziemskie. Jako dyplomowany architekt trochę czuję się artystą.

*

To, o czym Severin opowiedział najpierw w towarzystwie upiększania miasta, a potem członkom loży masonskiej, szczególnie nie spodobało się Carlowi Lorenzowi i osobom, które kupiły parcele przy niedawno wytyczonej Grosse Bahnhofstrasse, łączącej rynek wokół ratusza z placem przy dworcu kolejowym. Wprawdzie Gideon Weinert przewidział tam aleję willową ocienioną szpalerem lip i wiązów, ale nikomu nie wspomniał, że przed każdą budynkiem musi powstać ogródek okolony niskim płotem. Prawdę mówiąc, na pierwszy rzut oka takie rozwiązanie

większości fabrykantów, kupców, bankierów przypadło do gustu, dopiero gdy zaczynała się dyskusja z Lorenzem na temat kosztów budowy, inwestorzy byli przeciwni papierowemu projektowi Weinerta i nakazowi wydanemu przez Severina.

– Pan z pewnością najpierw stara się sprzedać parcele. Potem robi pan wszystko, żeby nie kto inny, tylko pana firma postawiła tam ekskluzywne domy nabywców owych parceli. Złoty interes, Lorenz. A jeśli kiedyś wnuk zainteresuje się, kto zbudował willę Brandów, Heiderów, Fischera, Kurtziga, pan wskaże siebie. Twój dziadek miał najlepszą firmę budowlaną, podkreśli pan z dumą, co będzie prawdą – powiedział zaraz po wykładzie doktora Sophusa Trombolta, astronoma z uniwersytetu w norweskim Bergen, którego do Grünberga przywiózł z Berlina profesor Wilhelm Foerster, syn tego Foerstera, który zbudował wieżę widokową na Grünberg Höhe. – Ja mam identyczne marzenie.

– To znaczy? – Lorenz nie zrozumiał.

– Mam zamiar zostawić miasto ukwiecone. Ten, kogo po mnie rada miejska zatrudni w biurze architekta, będzie żył w otoczeniu kwietników, klombów, rabat, gazonów. Zgodnie z nazwą, Grünberg musi być zielonym miastem, dlatego tam, gdzie się da, proponuję zakładanie ogrodów. A reprezentacyjne skupisko zieleni powstanie na wprost willi kupcowej Salmy Heider.

Lorenz chciał powiedzieć, że szkoda przestrzeni na kwiaty i drzewa w środku miasta. Jest na nie miejsce za ogrodami, ale między winnicami, na wzgórzach i zboczach wzniesień. Przy Bahnhofstrasse, Neustadtstrasse, Breslauer Strasse, Nieder Gasse powinny stać kamienice takie jak w Liegnitz. Po chwili, gdy przypomniał sobie, że Grün-

berg się rozrasta i zdaniem burmistrza niewielki Neumarkt przestaje spełniać funkcję forum, pochwalił Severina. Jak większość bogatszych mieszkańców nawet wpłacił składkę do kasy komitetu budowy pomnika cesarza Wilhelma, który stanie na nowej agorze.

– Niech pan zajrzy do mego biura, to pokażę projekt urządzenia placu cesarskiego. Będzie pan pierwszym grünerczykiem, który zobaczy mój zamysł.

– Kiedy mogę przyjść?

– Choćby zaraz – odpowiedział Severin i dostrzegł zaskoczenie na twarzy Lorenza. Pomimo tego iż był ciekawy opinii cenionego mistrza budowlanego, zrozumiał swój błąd. A co mi tam, pomyślał po chwili, niech rozniesie się po mieście, że jestem dziwakiem. W ten sposób przejdę do historii Winnego Grodu. – Idziemy?

Lorenz był ciekawy, co Severin wymyślił, ale i obawiał się, że mimo wieczoru ktoś go podejrzy i doniesie burmistrzowi. Uznany za sprzymierzeńca tego dziwnego architekta może stracić w oczach włodarza miasta i rajców. A jeśli jest to najlepsza okazja, żeby zdobyć kolejne, w dodatku intratne zamówienie na roboty?

Dużego formatu barwny projekt placu cesarskiego zdołał pracownię. Rzuciwszy cylinder na biurko, nie podpowiadając Lorenzowi, żeby zdjął jesionkę i usiadł wygodnie na krześle, Severin wyciągnął przed siebie łaskę, którą nosił jak większość mężczyzn od parady. Jego gość wolał oglądać rysunki ze szczegółami, mimo to kiwał głową, gdy architekt pokazał, gdzie wytyczył miejsce na pomnik. Najpierw zdziwiło go, że cokolwiek zostanie ogrodzony łańcuchami rozpiętymi na kamiennych pachółkach, ale potem zrozumiał ideę. Przecież jak za życia, tak i po śmierci dostęp do ce-

sarza powinien być utrudniony. A mimo to kilka razy znaleźli się śmiałkowie, którzy próbowali zabić Wilhelma II. Wykuty w kamieniu przez Roberta Bärwalda, cesarz z wysokiego cokołu będzie oglądał plac pełen pergoli i gazonów oraz podsluchiwał, co o nim mówią grünberczycy, siedzący wokół na ławkach. A gdy Lorenz usłyszał, że w przyszłości po południowej stronie powstanie wodotrysk, żeby było to miejsce tak refleksji patriotycznej, jak i wypoczynku, aż zatarł ręce z uciechy i zadowolony uśmiechnął się pod wąsem. W niedzielę nie będzie musiał zaprzęgać koni do bryczki i wieźć żony do Oderwaldu. A może i tam na miejscu smażalni ryb stanie wykwintna restauracja według pomysłu Severina. I koniecznie trzeba będzie utwardzić drogę. Musi o tym porozmawiać z leśniczym Mülschem.

– Jeżeli pan Mülsch czy pan Hacker, który jest właścicielem niewielkiego wyszynku zechcą, abym zaprojektował gospodę czy może nawet restaurację i hotelik, zrobię to z wielką ochotą.

– Człowieka z takimi pomysłami powinni mieć w Liegnitz – powtórzył Lorenz to, co Severin kilka razy słyszał w gabinecie burmistrza. – Jak już Najwyższy zabierze pana do siebie na wieczną służbę, trzeba będzie oddać którąś nową ulicę pod pański patronat. Nie wyobrażam sobie, żeby Severin Strasse była gdzieś przy wyjeździe do Züllichau czy w stronę Neusalz. Ona powinna być w centrum, tam, gdzie najwięcej ogródków przy domach.

– Mam inny pomysł. Nazwisko każdego, kto zasłużył się miastu, mogłoby zostać wyryte w kamieniu. To trwalszy dowód pamięci, niewiele kosztuje i zabiera mało miejsca.

– Kamień można przywieźć z pola.

Severin nachylił się i jakby się bał, że ktoś usłyszy, powiedział szeptem:

– Ułagił mi się w głowie pomysł zamiany lasu na Piasten Höhe na miejsce wypoczynku grünberczyków. Jedni niech jeżdżą na Oderwald, drudzy do Luisenthal, a pozostali wędrują po parku. Zanim Najwyższy zabierze mnie do siebie na wieczną służbę, jak pan powiedział, wytyczę tam alejki i ścieżki, wskażę najlepsze miejsca na letnie restauracyjki i kawiarenki. Wszystkie dróżki z Piasten Strasse będą prowadziły do ogrodu botanicznego.

– Do ogrodu botanicznego – powtórzył Lorenz, jakby chciał się upewnić, że się nie przesłyszał. – Park tak, ale po co komu ogród botaniczny?

– W mieście nie ma ani jednego astronoma, mimo to pan Foerster zbudował wieżę widokową, jakiej zazdroszczą badacze nieba w Breslau. Nie ma też nawet jednego botanika.

– O, przepraszam, aptekarz Weinmann...

Nie pozwalając mu dokończyć zdania, Severin powiedział:

– Przy drodze do Ocheln mam zamiar wytyczyć miejsce na ogród botaniczny. W tej sprawie już kontaktowałem się z panem Rickhebenem, inspektorem ogrodów w Breslau.

– Ludzie mówią, że jest pan dziwnym architektem. Wedle mnie jest pan zwariowanym człowiekiem – powiedział Lorenz z szacunkiem, jakiego nie okazywał nawet burmistrzowi von Gaylowi czy pastorowi Lonicerowi.

*

Co kilka dni, zawsze w porze poobiedniej, doktor von Gayl w towarzystwie Johanna Wichmanna, rajcy odpowiadającego za finanse w kasie miejskiej, przechadzał się po Grosse Bahnhofstrasse. Nie mógł się nadziwić, w jakim tempie na pofolwarcznym polu wyrasta elitarna dzielnica. Lorenz, którego firma budowała większość domów, ledwie nadążał z wykonywaniem zamówień. Jeszcze robotnicy nie skończyli układania dachówek na kamienicy Piltzów, a już pieklił się właściciel fabryki tekstyliów Alexander Gruschwitz. Wdowa Koch też nie chciała za długo czekać, tym bardziej iż od niemal roku inżynier Beuchelt urządzał spotkania najważniejszych grünberczyków w swojej willi ocienionej starymi kasztanowcami. Doszło do jej uszu, że Beuchelt nie tylko odstąpi działkę parafii ewangelickiej, ale i przekaże fundusze na budowę świątyni, która będzie najbardziej okazała w mieście.

– To tempo zawdzięczamy Severinowi – powiedział Wichmann. Doktor von Gayl miał ochotę przypomnieć mu, że gdyby nie przechytrzył rajców listem, na który szybko odpowiedział burmistrz Insterburga, architektem miejskim zostałby jakiś czaruś z Peine koło Hanoweru. – Johann Krüger. Tyle o nim wiadomo.

– Dziwak.

– Pan zna Krügera?

– Mówię o Severinie. Czy to normalne, żeby absolwent berlińskiej Bauakademie zaglądał na strychy i jak biedak prosił o starocie? Wdowa po rymarzu pozwoiliła mu zabrać szydła, szpilardy, igły, kopyta i coś jeszcze z warsztatu jej zmarłego męża. Aptekarz mówił, że dał mu rondle, makutry, miski, czerpaki, które subiekt miał wyrzucić na

śmieci. Im garnek starszy, bardziej poobijany, tym Severin więcej płaci. W cechu rzeźników cieszą się, bo wziął księgę przywilejów nadanych dwa wieki temu przez wiedeńskiego Leopolda, z którą nie wiedzieli co zrobić. W zeszłym tygodniu był w ratuszu i zabrał zbyteczne pieczęcie, co tylko miejsce w skrzyni zajmowały. Nawet odpisy protokołów sądowych, sporządzone jeszcze w czasie procesów czarownic, kazał woźnemu zataszczyć do swego biura. Nie pozwolił wyrzucić przestarzałych planów Grünberga. Woźny opowiadał, że do piwnicy pod kamienicą, gdzie mieszka Severin, nie można wejść, bo jest pełna rupieci. Jeszcze szczury się tam zalęgły. Dziwak nad dziwakami ten nasz architekt.

– Prawda, z jednej strony dziwak, z drugiej nie potrafi długo usiedzieć na miejscu. Wszędzie go pełno. Weinert też miał mądry pomysł, żeby przez folwarczne pole wytyczyć Grosse Bahnhofstrasse. Severin, mało że uznał to za dobre rozwiązanie, jeszcze każe zakładać ogrody. I już nawet Weinmann przeciw niemu się nie buntuje, a na początku... Lorenz nie może się nachwalić Severina.

– Dla mnie, panie burmistrzu, Severin zawsze będzie dziwakiem nad dziwakami.

Opowieści o dziwactwach Severina jeszcze bardziej się nasiliły po tym, jak podczas niedzielnego nabożeństwa w kościele Zum Garten Christi pastor Lonicer ogłosił, że w drodze powrotnej z Petersburga do Wiednia sławna orkiestra Straussów da koncert w Grünbergu. Burmistrz sądził, że się przesłyszał, dlatego zaraz po nabożeństwie wsunął się do zakrystii, lecz pastor tylko potwierdził to, co powiedział z kazalnicy.

Pierwszą osobą, która ucieszyła się z koncertu, był kantor Suckel, założyciel towarzystwa muzycznego. I chociaż do uszu pastora wcześniej coś dotarło na temat geniuszu Straussów, nie miał ochoty słuchać muzyki rodem z Wiednia. Dopiero gdy burmistrz zapowiedział przyjazd prezydenta rejencji na koncert, Lonicer zmienił zdanie, tym bardziej że konsystorz wybrał go na superintendenta prowincji kościelnej.

– Koszty występu orkiestry pokryje się ze sprzedaży kart wstępu. Będą one mniejsze, jeżeli restauratorzy i hotelarze obniżą ceny. Rozmawiałem z panem Seidlerem. Jest gotów przyjąć pod dach swego hotelu czterech muzyków za darmo. W Zum Golden Krone znajdzie się tanie miejsce dla wszystkich skrzypków – powiedział Severin do kantora, dając mu do zrozumienia, że gdyby pastor przekonał właściciela hotelu na Piasten Höhe i gospody Zum Stein do obniżenia opłat, karty wstępu byłyby na przeciętną kieszeń.

– Słusznie... A gdzie odbędzie się ten koncert?

– W sali pana Miethkego.

– Ten nie spuści ceny – zmartwił się kantor. – Dwa lata temu nasze stowarzyszenie organizowało tam konkurs pieśni religijnej z udziałem zespołów z całego Śląska. Gdyby nie wsparcie prezydium rejencji, nie byłoby nas stać na opłaty za salę. Miethke nikogo nie oszczędza.

– Pilnuje swego interesu – rzekł Severin. – Dlatego nikogo nie prosi o chleb.

Kantor taktownie przytaknął. Nie miał ochoty wdawać się w dyskusję z człowiekiem, którego ludzie mają za dziwaka.

Od wczesnego popołudnia przed drzwiami sali przy Berlinerstrasse gromadzili się gimnazjaliści. Chłopcy od rzeźników, piekarzy, kowali, pomocnicy murarzy i cieśli stali po przeciwnej stronie ruchliwej ulicy. Odważniejsze służące kryły się za kwitnącymi kasztanowcami. Wszyscy byli ciekawi, do kogo są podobni ci, którzy koncertują w pałacach i dworach całej Europy, a cesarze i królowie biją im brawo.

Wieczorem na górnej galerii w sali nie było ani jednego wolnego miejsca. W pierwszym rzędzie siedział doktor Fluthgraf z żoną, obok niego prezydent rejencji z synem, starosta i urzędnicy, byli goście z Glogau, Neusalz, Rothenburga. Z Carolath przyjechał książę Carl von Schönaich, a z Klenitz księżna Maria Radziwiłł w towarzystwie obu synowych. Kto chciał zobaczyć, jak wyglądają grünberscy fabrykanci, bankierzy, kupcy, bardziej obrotni kramarze, pastorzy, rabin, ksiądz katolicki, nauczyciele, miał wszystkich w jednym miejscu. Na takim koncercie trzeba było się pokazać choćby dlatego, żeby nic nie stracić z szacunku.

Punktualnie o ósmej na podium dyrygenckim stanął wnuk słynnego Straussa, jak jego ojciec również Johann, nazywany juniorem. Gdy się uklonił, rozległy się nieśmiałe brawa, wszak publiczność spodziewała się zobaczyć szpakowatego mężczyznę. Dyrygent dał znak pałeczką i rozległy się akordy uwertury z *Zemsty nietoperza*. Najpierw muzycy grali wyłącznie utwory Straussów, przyjmowane przez publiczność przyjaźnie bardziej z gościnności niż z zainteresowania. Po przerwie muzycy wykonali dzieła Sarasatiego i Mascaniego. Mogły to być utwory innych kompozytorów, bo poza kantorem, książętami i Severinem nikt nie słyszał tych obco brzmiących nazwisk.

Koncert trwał trzy godziny. Po jego zakończeniu najważniejsze osoby spotkały się w restauracji przy zastawionych stołach.

– Panie i panowie, wcale nie trzeba jechać do Breslau, Posen czy Berlina, aby usłyszeć najświetniejszą orkiestrę świata i przekonać się, z jaką gracją maestro Strauss junior ją prowadzi. To był prawdziwy *nutrimentum spiritus*, panie doktorze von Gayl. – Prezydent rejencji z wystudiowaną wdzięcznością skinął głową w stronę burmistrza.

– Mości książę, razem z mieszkańcami naszego miasta cieszę się, że mimo licznych obowiązków państwowych, znalazł pan czas, aby uczestniczyć w tym bardzo rzadkim w naszym mieście wydarzeniu muzycznym. – Przymrużywszy oczy, burmistrz pochylił głowę w stronę swego gościa z Liegnitz. – Jako gospodarz Grünberga z woli Jego Królewskiej Mości wyrażam głęboką wdzięczność panu Straussowi juniorowi i jego znakomitej orkiestrze za to, że zaprosił nas na wspólną ucztę duchową. Panie i panowie, niech mi będzie wolno wznieść toast grünberskim winem za zdrowie i sukcesy miłościwie nam panującego Wilhelma II oraz wielkie Cesarstwo Niemieckie. – Wszyscy natychmiast poderwali się z krzeseł, rozległ się przytłumiony dźwięk kieliszków, jakby to był hymn pochwalny, a gdy usiedli, burmistrz szepnął do ucha prezydenta rejencji: – *À propos* dzisiejszego koncertu. Nie byłoby go, gdyby nie jeden człowiek. Nie byłoby i tej alei z trotuarem, która tak się panu spodobała. Nie byłoby placu z pomnikiem cesarza Wilhelma, który pan podziwiał. Nie byłoby i innych rozwiązań urbanistycznych, gdyby nie Severin. Ludzie mówią, że to dziwny architekt, lecz ja wolę pracować z dziwnym niż z takim, który nie ma własnego zdania.

– *Per aspera ad astra* – odpowiedział prezydent rejencji, czego burmistrz nie rozumiał, ale nie miał odwagi prosić o przetłumaczenie.

*

Do willi i kamienic wzdłuż głównych ulic przylegały ogródki, a tam, gdzie było więcej miejsca, powstały promenady przecinające i okalające miasto. Burmistrz von Gayl, identycznie jak pastor Lonicer, najchętniej jeździł do Ode-rwaldu po to, aby najpierw popływać łodzią po kanałach, a potem w małej sali klubowej porozmawiać z najważniejszymi osobami w mieście, tyle że była to wyprawa na cały dzień. Gdy miał mniej czasu na odpoczynek, kazał dorożkarzowi zawieźć się do parku powstającego na wzgórzach, gdzie przy Ocheldorferstrasse Severin zaplanował budowę ogrodu botanicznego.

– To przedsięwzięcie na wiele lat, ponieważ drzewa rosną wolno. Mniemam, że tego dzieła i za sto lat nikt nie skończy – powiedział Severin, z czym burmistrz się zgodził. – Może kiedyś będzie tu coś bardziej znaczącego, na przykład ogród uniwersytecki?

Burmistrz chciał go spytać, czy to prawda, co plecie stary Weinmann, że w biurze urzęduje Antychryst albo prze-mądrzałe stwory z innej planety. Nawet najpracowitszy architekt nie jest w stanie aż tyle zaprojektować w ciągu całego życia, co Severin przez kilka lat pobytu w Grünbergu. Na jego desce kreślarskiej powstały plany budynków szpitalnych Bethesdy, domu zakonnego i seminarium dla przedszkolańek przy Rohrbuschweg, domu opieki przy Grüner Weg, szkół na Lindenberg, przy Lange Gasse, Hospitalstrasse i Maulbeergasse, ochronki ze żłobkiem na

Am Schneiderberg, remizy straży pożarnej przy Glasserstrasse, siedziby urzędu celnego i podatkowego przy Hatzfeldstrasse. Według jego projektu na Glasserplatz wyrósł ogromny dom parafialny z salą widowiskową niewiele mniejszą od tej, którą ma Miethke przy Berlinerstrasse. Odbudował po pożarze strzelnicę bractwa kurkowego przy Schutzenstrasse. Wymarzony przed doktora Langera ośrodek rehabilitacji dla chorych na gruźlicę stanął niedaleko leśniczówki w Crampau.

– A to pewnie nie wszystko – bardziej stwierdził niż spytał burmistrz.

– Jeśli będzie pan w Schwiebus, proszę zobaczyć szkołę realną. W Kontopp jest dom leśniczego również wedle mojego pomysłu.

– Zapomniałbym! Sieć wodociągowa i kanalizacyjna. Przecież bez niej nie byłoby możliwe zbudowanie willi wzdłuż Grosse Bahnhofstrasse i Maulbeerallee. Pan prezydent rejencji uważa zagospodarowanie tej części miasta za fenomenalne osiągnięcie. Czegoś podobnego nie ma w Liegnitz.

– Wszystko budowle świeckie. Świątynia Christuskirche stanęła na podstawie planu Schulzego. Zlecenie na ten nowy kościół obok willi inżyniera Beuchelta dostali berlińczycy, Wagner i Hosfeld.

– Gdyby pan nie powiedział, że wrócił do Grünberga na polecenie siły wyższej... – urwał burmistrz, robiąc taką minę, że Severin wszystko zrozumiał. – Duchowni pana szanują, cenią, ale ze względu na opinie wiernych i dla świętego spokoju wolą zlecać projekty architektom, o których parafianie niewiele wiedzą.

Severin machnął ręką, jakby nie obchodziło go zdanie grünberczyków na temat jego projektów, co nie było prawdą. Bardzo pragnął, żeby w mieście pozostało jak najwięcej śladów jego obecności.

– To, co pan burmistrz z aptekarską wręcz dokładnością przed chwilą przypomniał, cieszy mnie tak, jak ojca cieszą mądre i przy tym rezolutne dzieci. Kiedyś, gdy nie będzie mnie wśród żywych, ludzie powiedzą, że nie zmarnowałem życia. Ale najbardziej cieszy mnie to, że nigdzie na świecie nie spotka się takich budowli jak w Grünbergu. Udało mi się przekonać rajców i pana – podniósł wzrok na doktora von Gayla – aby nasze miasto zachowało malowniczość, uwzględniającą położenie i osiągnięcia urbanistyki. Idąc którąkolwiek ulicą Grünberga, przechodzień domyśla się, co spotka za zakrętem. Starałem się, aby szerokość naszych dróg była dostosowana do ich długości. I jeszcze jedno, na co przyjezdni zwracają uwagę, place w naszym mieście ułatwiają komunikację i oferują piękne widoki.

Burmistrz zastanawiał się, czy mu powiedzieć, że w połowie roku wyjedzie z Grünberga do Berlina, gdzie obejmie posadę nadradcy w ministerstwie spraw wewnętrznych. Jego miejsce w ratuszu zajmie doktor Ernst Ouvrier z Küstrin, również znawca prawa cywilnego. Czy nowy władarz miasta również będzie stawał w obronie prekursorskich pomysłów Severina, tego nie mógł wiedzieć. Najczęściej atakował architekta stary Weinmann, ale nim nie powinien się przejmować. Zresztą, czy w Grünbergu jest ktoś, komu zramolały aptekarz nie zalażł za skórę?

– Panowie ze związku rzemiosła i ogrodnictwa wyszli z propozycją ufundowania wieży ku czci naszego wielkiego rodaka, jeszcze za życia nazwanego żelaznym kanclerzem.

– To i do nich dotarł apel studentów, jaki po śmierci Bismarcka rozesłali do narodu? Gdybym był Saksończykiem, miałbym wątpliwości, czy to najlepszy pomysł. Jako Prusak zgadzam się, że w ten sposób każdy, komu są drogie Niemcy może przyczynić się do zachowania w pamięci tego, który doprowadził do zjednoczenia państwa. Skoro cesarz Wilhelm spogląda na miasta z cokołów pomników, niech kanclerz obserwuje kraj z wież. Znowu Otto von Bismarck będzie górą – wymusnęło Severinowi to, co od dawna tkwiło w jego głowie. Przypomniiał, że pierwsza wieża ku czci Bismarcka powstała w Ober Johnsdorf koło Breslau. W rejencji Liegnitz na razie tylko rajcy z Glogau odpowiedzieli na apel studentów.

– A pan? Gdyby związek rzemiosła...?

– Czy popieram pomysł?

– Czy pan by nakreślił projekt takiej wieży? Chodzi o to, żeby była okazała i widoczna z daleka, i nowoczesna, i funkcjonalna, i... – burmistrz urwał, jakby bał się, że po słowie, którego nie wypowiedział, a które musi paść z jego ust, architekt każe szukać innego projektanta. Po chwili dodał: – Nie za droga.

Od dnia, kiedy Severin wybrał się z żoną do restauracji w wieży na Grünberg Höhe, pomysł postawienia podobnej budowli nie dawał mu spokoju. Toteż natychmiast odpowiedział:

– Oczywiście.

– A ile projekt będzie kosztował, bo wieża stanie za składkowe fundusze?

– Jako członkowi izby architektów nie wolno mi zrobić niczego za darmo. – Doktor von Gayl już chciał go prosić, aby nie zdzierał ze związku rzemiosła, gdy Severin dodał,

że wykona projekt za symboliczną opłatą. – A gdzie ma stanąć wieża Bismarcka? Gdybym mógł mieć wpływ na jej lokalizację, w pierwszej kolejności wskazałbym Ziegelberg.

Burmistrz pokręcił głową i jednocześnie pomyślał, że jednak jest to najlepsze miejsce, bo niedaleko ratusza, ale skoro związek rzemiosła wybrał wzgórze w lesie za miastem, nie może się sprzeciwić.

– Niech pan dalej zgaduje.

– Schillershöhe albo Hirschberg? – Widząc, że burmistrz znowu pokręcił głową, powiedział z dezaprobatą: – Chyba nie Meiseberge.

– Właśnie Meiseberge. Wzgórza, które poprzednio pan wymienił za granicą miasta, zajmują winnice. Meiseberge wprawdzie leży poza, to jest pod zarządem administracji leśnej. Zajęcie tego wzniesienia na tak szlachetny cel, jak wieża ku czci Ottona von Bismarcka, nie powinno spotkać się z odmową leśników.

– Wstępny projekt budowli z czerwonych cegieł będzie gotowy w ciągu dwóch tygodni. Miesiąc później oddam gotową dokumentację budowlaną. Koszt: jedna marka do mojej kieszeni. Albo inne rozwiązanie. To, co rzeczywiście miałbym dostać za wykonanie projektu, niech związek przekaze ośrodkowi rehabilitacyjnemu w Crampau – rzucił Severin. – Szkoda, że nie pan, doktorze von Gayl, będzie przecinał wstęgę.

– To i pan już wie o moim wyjeździe do Berlina?

Severin kiwnął głową i uśmiechnął się przyjaźnie, czym zdobył jeszcze większe uznanie Wilhelma von Gayla.

– Chyba jednak zmienię zdanie i przyznam rację tym, którzy uważają pana nie tylko za dziwnego architekta, lecz i sprytnego.

*

Również uważany za dziwaka Hugo Schmidt zanotował, że 23 lutego 1909 roku zapisał się w dziejach Grünberga złotymi literami dosłownie i w przenośni. Tego dnia w magistrackiej sali posiedzeń przy Breiterstrasse nowy burmistrz otworzył wystawę pamiątek historycznych.

– Wszystko, co leży na stołach, co jest w szafach i gablotach, co panowie z takim zainteresowaniem oglądają i czym się zachwycają, a i zadają pytania o pochodzenie przedmiotów, zebrał jeden człowiek – powiedział doktor Ouvrier i po chwili pauzy wskazał ręką Severina. – W sprawie wiedzy o chlubnej przeszłości naszego miasta ten jeden człowiek zrobił więcej niż my wszyscy razem.

– Wypraszam sobie – przerwał mu stary Weinmann. – Czyż to, że z narażeniem życia odzyskałem meteoryty, nie ma znaczenia? A udzielanie się w towarzystwie upiększania miasta? Dlaczego nie wspomniał pan o zasługach znakomitego inżyniera Beuchelta?

Georg Beuchelt nigdy nie pchał się do pierwszego rzędu, chociaż powinien, bo był posłem do Reichstagu, mosty z jego fabryki spinały brzegi rzek w Berlinie, Landsbergu, Breslau, Posen, teraz się roześmiał. Chwilę później zrobiło mu się żal Severina, podszedł do niego i powiedział, żeby nie zwracał uwagi na Weinmanna.

– Gdy tylko podarowałem parafii grunt przy Grosse Bahnhofstrasse pod budowę kościoła, Weinmann spytał, czy na pewno za darmo – dodał bez urazy do starego aptekarza. – Dobry farmaceuta, tyle że zalał wszystkim za skórę.

– Czy to prawda, że meteoryty znalezione przez robotników na polu w Heinrichau, jak słyszałem, Weinmann sprzedał muzeum w Breslau?

Beuchelt też o tym słyszał, ale ponieważ nie stało się to w jego obecności, rozłożył ręce, dając Severinowi do zrozumienia, że nie powtarza informacji niesprawdzonych.

Nikt, kogo burmistrz zaprosił na otwarcie wystawy, nie spodziewał się, że Severin zebrał aż tyle starych przedmiotów. Pochodzenia i przeznaczenia niektórych nie potrafił określić nawet doktor Schmidt, ceniony nauczyciel i archiwista.

– Wspiął się pan na najwyższe wzniesienia Grünberga. Trudno będzie pana dogonić – Beuchelt pochwalił Severina, co on przyjął jako rzecz niecodzienną. – Co pan zamierza dalej?

Severin zrozumiał, że pośła interesują projekty architektoniczne, zaczął więc opowiadać o planie budowy promenad wzdłuż Löbtenz i Breslauerstrasse, gdzie gmina żydowska kupiła plac z przeznaczeniem na kirkut.

– Miałem na myśli te wyjątkowej wartości pamiątki przeszłości naszego miasta. – Nie pozwalając natychmiast odpowiedzieć, Beuchelt wyjaśnił, że posłowie Partii Konserwatywnej, którą reprezentuje w Reichstagu, przygotowują ustawę muzealną. – W myśl na razie projektu każde miasto będzie zobowiązane do utworzenia, oprócz archiwum, placówki gromadzącej dokumenty i przedmioty historyczne. W projekcie została ona określona jako muzeum regionalne. Po mojemu będzie to, na przykład, Heimatmuseum Grünberg.

– Znakomity pomysł.

– Ja, gdybym zgromadził tyle przedmiotów co pan, Severin, cały zbiór przekazałbym zarządowi miejskiemu. Niech burmistrz się martwi. Tym bardziej że są to rzeczy dotyczące wspólnej przeszłości.

– Przyznam się, panie pośle, że już nie mam gdzie ich składać. Dlatego z ochotą oddam je zarządowi miejskiemu, ale pod jednym warunkiem.

– Za pieniądze?

– Że nie będą butwiały w jakiejś szopie, a zostaną wystawione na widok publiczny.

– Słusznie. Jeśli doktor Ouvrier nie wskaże takiego miejsca, może pan na mnie liczyć. Chociaż sędzę, że będzie to zbędne, ponieważ temu burmistrzowi, identycznie jak jego poprzednikowi, jak mnie, jak pastorowi, nawet jak staremu Weinmannowi bardzo zależy na tym, żeby Grünberg się rozwijał, kwitł i mienił wszystkimi barwami tęczy. Im więcej takich dziwaków jak pan, jak doktor Schmidt, jak – Beuchelt pokazał palcem na siebie – tym wyżej burmistrz będzie nosił głowę.

*

Każdego dnia przed obiadem stary Weinmann wymykał się z domu. Najpierw dreptał na Glasserplatz, gdzie lubił przysłuchiwać się przekupkom zachęcającym grünberczyków do kupowania warzyw, potem stukając laską spacerował prawą stroną ocienionej Grosse Bahnhofstrasse, na Wilhelmplatz, siadał na ławce i nabierał sił na drogę powrotną. Na placu czasem spotykał tak samo starego jak on piekarza Heinebergera albo młodszego z braci Bohrów. Dziś, ku jego zdziwieniu, na plac przyczłapał sędzia Hilscher. Nie czekając, aż sędzia spyta go o samopoczucie, powiedział, że Severin powinien stanąć przed sądem i odpowiedzieć na pytanie, kto mu pomógł zaprojektować Wilhelmplatz. Niemożliwe, aby coś tak okazałe i przepiękne zrodziło się w ludzkiej głowie. A ogrody przed willami, skwery, prome-

nady, park przy Ocheldorferstrasse? Jego zdaniem Severin ma kontakty z Belzebubem albo z kimś jeszcze ważniejszym w jego diabelskiej świcie. Gdy dla świętego spokoju sędzia przyznał mu rację, stary aptekarz aż zatarł sękatę dłoń z radości.

– Trzeba go postawić przed sądem i wziąć w krzyżowy ogień pytań. Przyznajesz się, że działałeś w porozumieniu z siłami nieczystymi, im zaprzedałeś duszę i ciało?

– A jeżeli zaprzeczy?

– Torturami trzeba wymusić przyznanie się do winy. Torturami.

– Tak było dwa wieki temu.

– I źle było?

– Panie Weinmann, dziś nie wystarczy oskarżyć człowieka i domagać się ukarania. Żyjemy w państwie prawa. *Dura lex, sed lex*, jak lubił przypominać nasz poprzedni burmistrz doktor von Gayl. Dziś są potrzebne dowody, świadkowie...

– W jego biurze woźny widział postać ze spiczastymi uszami na głowie. Mówi, że zapytał go, kto to taki i jak się dostał do biura. Mój najlepszy pomocnik. Hony.

– Hony?

– Identycznie zapytał woźny. Severin odpowiedział, że Hony jest przy nim od czasu ukończenia studiów. Wszystkie projekty w Insterburgu powstały przy jego udziale. To samo w Grünbergu.

– Panie Weinmann, słyszałem, że Hony to postać przybyła na naszą Ziemię z innej planety.

– Tak samo Severin odpowiedział woźnemu.

– Czarownice, wiedźmy, magowie... tak jak duchowni, gdy sprawa dotyczy tajemnicy wiary, nie podlegają jurys-

dykcji sądu świeckiego. Przepis ten również dotyczy postaci z innych planet – zrobiwszy poważną minę, wyjaśniał sędzia, lecz stary aptekarz tego nie słyszał, bo zasnął zmęczony zbyt długim spacerem.

2012, 2016

Sąd Ostateczny nad księdzem Michalskim

Grzechy dusz z parafii w miastach na literę „Z” były przeciętne, toteż zajmowały one ławy w małej sali rozpraw Sądu Ostatecznego w co drugi czwartek każdego miesiąca po południu. Zmęczony codziennym orzekaniem winy i wyznaczaniem kary Bóg Ojciec robił sobie wtedy wolne, a centralne miejsce na ławie sędowniczej zajmował święty Piotr. Najtrudniejsze sprawy zawsze były z rana w piątek, kiedy wielka sala Sądu Ostatecznego zappełniała się duszami z parafii z miast na literę „G” i w środę przed wieczorem.

– Od kogo zaczynamy dzisiejsze rozprawy? – spytał święty Piotr anioła-protokolanta, spoglądając na słońce wychodzące z Doliny Jozafata.

– Najwięcej czasu może zająć Wysokiemu Sądowi dusza księdza Michalskiego z Zielonej Góry. Pozostałe...

– Czyżby ów ksiądz był jeszcze jednym spośród tych duchownych, którzy zachowywali się niegodnie sutanny? – przerwał mu święty Piotr, mrużąc pytające oczy.

– Właśnie to oceni Wysoki Sąd. Poza protokołem chciałem zwrócić uwagę, że w naszym archiwum jest nadzwyczaj dużo materiałów sporządzonych na niekorzyść księdza Michalskiego przez tak zwane służby bezpieczeństwa. To rodzaj policji politycznej...

– Jestem zorientowany w tym, czym się zajmują takie instytucje jak ABW, FBI, Szinbet, BfV, DCRI, MI6. Gdy

wbrew oczekiwaniom zostałem namiestnikiem Jezusa z Nazaretu w Rzymie, niemal codziennie miałem do czynienia z agentami Nerona... Co więc z tym księdzem?

Anioł-protokolant rozłożył na stole połówkę papiery i pochyliwszy się nad nimi powiedział:

– W dokumentach polskiej Służby Bezpieczeństwa jest czarno na białym, że obywatel proboszcz Michalski Kazimierz...

– Obywatel proboszcz? – przerwał mu święty Piotr i zrobił tak zdziwioną minę, że anioł-woźny aż się skulił.

– Rządzący w Polsce jednych nazywali towarzyszami, w rozumieniu: członkowie partii, czyli swoi, drudzy, czyli reszta społeczeństwa, to byli obywatele – wyjaśnił anioł-protokolant. Święty Piotr kiwnął głową na znak, że zrozumiał, więc anioł kontynuował: – Obywatel proboszcz Michalski podburzył mieszkańców Zielonej Góry do wystąpienia przeciw władzom państwowym. 30 maja 1960 roku w tym mieście doszło do destrukcyjnych zajęć, które przeszły do historii jako wydarzenia zielonogórskie. Niestety, agentom kościelnym – anioł ściszył głos – związanym z wywiadem watykańskim nie udało się ustalić zakresu winy tego księdza. Ale, jak często powtarza nasz Pan Niebieski, nawet w bajce pozornie bez skazy jest dużo pouczającej prawdy.

– Tak, tak – potwierdził święty Piotr i, uniósłszy wzrok, zaczął palcami przeczesywać brodę.

Anioł-protokolant domyślał się, że główny klucznik Królestwa Bożego nie wszystko zrozumiał, dlatego podpowiedział:

– Może lepiej sprawę księdza z Zielonej Góry przesunąć na jutrzejsze przedpołudnie, kiedy Bóg Ojciec będzie osobiście podejmował trudne decyzje? On ma najlepsze

doświadczenie w wydawaniu wyroków, gdy materiały są jednostronne.

– To ostateczność – zdecydował święty Piotr i kazał aniołowi-woźnemu wezwać duszę księdza Michalskiego. Zająrzył do wokandy i po chwili oznajmił spokojnym głosem, że z upoważnienia Najwyższego Sędziego otwiera popołudniowe posiedzenie Sądu Ostatecznego. – Od tego momentu wszystko, co powie wezwany przed nasze oblicze, będzie z całą powagą wysłuchane i skrzętnie zanotowane. Imię? – zwrócił się do księdza.

– Kazimierz Antoni.

– Data i miejsce urodzenia?

– 18 sierpnia roku Pańskiego 1899. Gniezno.

– Data i miejsce śmierci?

– 11 lutego 1975, Poznań – odpowiedział ksiądz Michalski i chciał jeszcze coś dodać, lecz święty Piotr podniósł rękę, co oznaczało, że każdy, kto został wezwany do małej sali, ma odpowiadać tylko na jego pytania.

– Co łączy księdza – zerknął do raptularza – kanonika z Zieloną Górą?

– Niedługo po powrocie z obozu koncentracyjnego w Dachau objąłem parafię świętej Jadwigi w mieście ogrodów i winnic, jak mówiono o Zielonej Górze. Byłem rządcą parafii przez piętnaście lat z trzyletnią przerwą, gdy władze państwowe usunęły mnie z probostwa.

– A dlaczego usunęły księdza z probostwa? – Po odpowiedzi na podobnie zadane pytanie święty Piotr zawsze kończył rozprawę. Jeśli i teraz usłyszę, że proboszcz nie zawinił, tylko inni go nie rozumieli, z wydaniem sprawiedliwego wyroku nie będę miał problemu. – Proszę odpowiedzieć na pytanie – ponaglił księdza.

– Bez zgody polskiego episkopatu władze wydały dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych. Zmuszał on księży do ślubowania wierności ludowemu państwu. Wielu duchownych, między innymi Stefan kardynał Wyszyński i arcybiskup poznański Walenty Dymek, odmówiło podpisania owej deklaracji lojalności. Ponieważ ja również nie złożyłem ślubowania i nie podpisałem deklaracji, jak powiedziałem, lojalności, z urzędu zostałem wymeldowany z mieszkania, co było równoznaczne z wypędzeniem mnie z Zielonej Góry.

– Jeżeli ksiądz uznał tę decyzję za niesprawiedliwą, trzeba było od niej się odwołać.

– Próbowałem, lecz nie było nikogo w urzędzie miejskim, kto by chciał ze mną rozmawiać. To napisałem list do przewodniczącego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, Wacława Maciejewicza. Nawet nie dostałem odpowiedzi odmownej.

– Po 1956 roku zaczęło się odchodzenie od dogmatów stalinowskich w Polsce i Kościół uzyskał więcej swobody. Niestety, nie trwało to długo – przypomniał anioł-protokolant, przerzucając dokumenty przyniesione do sali rozpraw przez archiwistę. – Niebawem zaczęło wracać stare, przeciw czemu występowali nie tylko duchowni. Władze ignorowały prośby katolików dotyczące religii. 30 maja 1960 roku na placu Powstańców Wielkopolskich w Zielonej Górze doszło do protestu mieszkańców miasta. Polała się krew.

– Kto ponosi winę za to, co się tam wydarzyło? Może ksiądz czuje się odpowiedzialny?

– W żadnym wypadku ani nie jestem odpowiedzialny, ani winny, Wasza Świątobliwość.

– Proszę zwracać się do Wysokiego Sądu – pouczył święty Piotr, wyciągnawszy szyję, jakby chciał przyjrzeć się księdzu dokładniej i zgasić jego hardość, ale ten nie spuszczał z niego wzroku. Gdyby był winny, nie czułby się tak pewnie, pomyślał główny klucznik. – W dokumentach znajdujących się w naszej dyspozycji jest stwierdzenie władz świeckich, że odpowiedzialność za wybuch rozruchów w Zielonej Górze 30 maja 1960 roku ponosi miejscowy proboszcz.

– Czuję jedynie ogromny smutek z powodu tego, że setki niewinnych ludzi, stojących w obronie własności wspólnoty parafialnej, dotknęły gorzkie nieprzyjemności. Najmłodszy zostali ukarani wyrzuceniem ze szkół, starsi z zakładów pracy. Ponad stu sąd skazał na karę więzienia, na jeszcze więcej zielonogórczan kolegium orzekające nałożyło obowiązek zapłacenia wysokiej grzywny. Obrażenia ciała odnieśli milicjanci, którzy musieli wykonywać rozkazy swoich zwierzchników.

– Otóż właśnie, otóż... Czy do tego musiało dojść?

– Odpowiadam ze wstydem: nie musiało. I zdaję sobie sprawę z tego, że to nie jest odpowiedź, która zadowoli Wysoki Sąd wgłębiający się w historię Kościoła w Polsce drugiej połowy dwudziestego wieku po Chrystusie.

– A jak powinna brzmieć odpowiedź, księżę kanoniku, która zadowoli sąd? – Święty Piotr wyraźnie złagodniał, co zaskoczyło anioła-protokolanta. Jako pełniący obowiązki sędziego w co drugi czwartek i tylko po południu, zawsze był surowy i przy tym dociekliwy.

– To się musiało stać. Do tego musiało dojść. Za wszelką cenę władze państwowe chciały doprowadzić do kon-

frontacji. Z jednej strony chodziło im o budynek parafialny i zmniejszenie roli Kościoła w życiu mieszkańców, z drugiej – o mnie. Byłem im solą w oku. Władze zielonogórskie postanowiły usunąć mnie z miasta.

– Dlaczego chciały usunąć księdza z miasta? Proszę o jaśniejsze wytłumaczenie. Powinien ksiądz wszystko dokładnie opowiedzieć. Na razie sąd zna wersję bezpieczki, przepraszam, Urzędu i Służby Bezpieczeństwa, a chce poznać prawdę widzianą oczyma duszpasterza. Co zastanawia, nawet w publikacjach naukowych dotyczących wydarzeń zielonogórskich, jakie pojawiły się pod koniec drugiego tysiąclecia, jest wyłącznie odniesienie do dokumentów władz państwowych. Czyżby jedynie one miały rację?

– Władze państwowe dlatego chciały mnie usunąć z Zielonej Góry, Wysoki Sądzie, że sumiennie czyniłem to, co jako absolwent seminarium duchownego w Gnieźnie przysięgałem podczas przyjmowania sakramentu kapłaństwa. Zawsze byłem z wierzącymi w Królestwo Boże, gdy przeżywali radości i gdy się martwili. Uspokajałem niecierpliwych. Niosłem nadzieję chorym i modliłem się za umierających. Byłem ze skrzywdzonymi i ubogimi. Z niezaradnymi i słabymi. Zamiast godzić się z antykościelnymi decyzjami władz państwowych, gromadziłem mieszkańców Zielonej Góry przy Chrystusie. Tam mówiłem, że o swoich codziennych sprawach powinni sami decydować. Jako kapłan starałem się służyć sumiennie Bogu i ludziom zjednoczonym w Kościele.

– Czy ksiądz wtrącał się w życie świeckie parafian?

– Wspierałem wiernych i nawoływałem, aby pomagali sobie wzajemnie, żyli w zgodzie z sumieniem i wiarą w Chrystusa.

– Takie było, jest i pozostanie zadanie każdego pasterza.

– Po zakończeniu drugiej wojny światowej rozpoczęły się największe w dziejach Rzeczypospolitej przesiedlenia ludności. Do Zielonej Góry, Wysoki Sądzie, przyjechali ludzie z Kresów Wschodnich, z Polski Centralnej, z Poznańskiego, z Lubelszczyzny. Różniły ich nie tylko zwyczaje czy doświadczenia historyczne, lecz i nawet język. Poleszuck z trudem rozumiał mowę Ślązaka. Ludzie spod Krzemieńca stawiali kutię na stole wigilijnym, a ci z Wielkopolski podawali makielki. To, co dla jednych było białym serem lub twarogiem, drudzy nazywali gzikiem. Kresowianie jedli kartofle, czyli ziemniaki, a poznaniacy – pyry. Pragnąłem, aby mowa nie dzieliła Polaków, którzy chodzili ulicami Zielonej Góry. Miałem nadzieję, że nikt tak szybko nie zbliży zielonogórczan do siebie jak Kościół. Przybyłych do Zielonej Góry z różnych stron przedwojennej Polski przede wszystkim łączyła wiara chrześcijańska. Zresztą nie pierwszy raz. W trudnych dla Polaków czasach Kościół katolicki zawsze był ostoją narodowej tożsamości.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, ksiądz został pierwszym polskim proboszczem i dziekanem w Zielonej Górze. Jak Kościół lat powojennych był zorganizowany w mieście i najbliższej okolicy?

– Już w grudniu 1945 roku powstała Sodaliczka Mariańska Pań. Niebawem założyliśmy pierwsze przedszkole i Katolicki Dom Społeczny, który po piętnastu latach nam odebrano. Udało się uruchomić kuchnię ludową, karmiącą ubogich i chorych. Zbieraliśmy odzież i sprzęt po to, aby wspomóc najbiedniejszych. Do 1947 roku władze miejskie wspierały nasze działania a to finansowo, a to zwalniając z podatków, a to gestem i dobrym słowem. Dopiero po

tak zwanym referendum „3 razy tak” sytuacja zaczęła się zmieniać na naszą niekorzyść.

– Jak ksiądz to odczuwał?

– Gdy i w Zielonej Górze powstało Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, zaczęto usuwać religię ze szkół, mimo iż rodzice sobie tego nie życzyli. Wielokrotnie stawałem po ich stronie, lecz nie odnosiło to widocznego skutku. We wrześniu 1947 roku aresztowano starostę zielonogórskiego, Jana Klementowskiego.

– Za co? – zaciekawił się święty Piotr.

– Między innymi za to, że, jak określono w oskarżeniu, „pod gorliwym kierownictwem miejscowego proboszcza konsoliduje katolickie życie organizacyjne przede wszystkim w działaniu charytatywnym”. Po Klementowskim starostą został major Zenon Tomaszewski, który ogłosił, że „działalność księdza dziekana jest antyspołeczna i szkodliwa dla narodu polskiego”.

– Poczuł się ksiądz dotknięty tą, przypuszczam, niesprawiedliwą oceną?

– Jako człowiek i mieszkaniec Zielonej Góry – tak. Jako duchowny – nie. Nie czyniłem przecież niczego przeciw władzom państwowym ani parafianom. Wtedy nic nie wskazywało, że będzie jeszcze gorzej. W listopadzie 1949 roku władze wydały okólnik w sprawie ponownej rejestracji stowarzyszeń. Do rejestru mogły zostać wpisane jedynie te organizacje, które uzyskały pozytywną opinię Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa. Oznaczało to, że Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, Krucjata Eucharystyczna Dzieci czy wymieniona już Sodaliczka Mariańska Pań nie uzyskały takiej opinii i stały się organizacjami nielegalnymi. To był cios w naszą działalność, ponieważ nie mogliśmy

prowadzić przedszkoli, stołówek, kółek, pomagać ubogim, być z chorymi, niedołączonymi, ułomnymi.

Anioł-protokolant przesunął w stronę świętego Piotra pożąłkły dokument i pokazał na wyraźnie podkreśloną datę.

– 13 lutego 1949 roku ksiądz został aresztowany pierwszy raz – przeczytał Święty Piotr. – Dlaczego?

– To nie był pierwszy raz, Wysoki Sądzie. Po klęsce wrześniowej 1939 roku gestapo osadziło mnie na sześć lat w obozie koncentracyjnym w Dachau. Dzięki Bogu przeżyłem. Drugi raz aresztowali mnie Polacy w 1949 roku za list Episkopatu Polski w sprawie odebrania Kościołowi organizacji Caritas. Ten krok władz Polski Ludowej uważałem za zamach na kościelną własność, powstałą i utrzymywaną przecież ze składek wiernych. Mimo że prezydent Zielonej Góry, Józef Ziarnkowski, przestrzegał mnie przed następstwami, w niedzielę 12 lutego 1949 roku odczytałem list episkopatu z ambony. A w poniedziałek Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa kazał mnie aresztować z powodu, jak to określono, „wykroczenia przeciwko wolności sumienia, za rzekome odmówienie posług religijnych niejakej Tasińskiej dla jej przekonań politycznych”. Z aresztu zwolniono mnie dopiero w kwietniu 1950 roku.

– W lutym 1953 roku władze państwowe wydały dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych – przypomniał przewodniczący sądu, zaglądając do dokumentów. – Ksiądz już wspomniał, że zmuszał on duchownych do ślubowania wierności państwu i podpisania deklaracji lojalności.

– Byli kapłani bojaźliwi. Ci złożyli ślubowanie, większość jednak odmówiło podpisania takiej deklaracji, tym bardziej że ów dekret ignorował kompetencje biskupa die-

cejalnego. O tym, kto będzie proboszczem chciały decydować władze państwowe. Nie podpisałem deklaracji lojalności, dlatego w sierpniu 1953 roku administracja miasta wymeldowała mnie z mieszkania, co było równoznaczne z wypędzeniem z Zielonej Góry. Wtedy znalazłem schronienie przy kościele farnym w Poznaniu.

– Z dokumentów wynika, że trzy lata później, zaraz po wydarzeniach październikowych 1956 roku, niosących nadzieję na zmiany społeczne, ksiądz wrócił do zielonogórskiej parafii świętej Jadwigi.

– Cieszyłem się bardzo z tego powodu. Liczyłem, że po tym, co się wydarzyło w Polsce, teraz będzie inaczej. Z ogromnym zapałem przystąpiłem do pracy duszpasterskiej. Podczas przymusowego pobytu w Poznaniu przekonałem się, jak ważny dla człowieka jest częsty kontakt z teatrem, muzyką, literaturą. Postanowiłem więc przedstawiać przedstawienia teatralne i sztuki religijne mieszkańcom Zielonej Góry, którą nadal uważałem za swoje miasto. Najlepiej się do tego nadawał dom katolicki na placu Powstańców Wielkopolskich.

– Co na to władze państwowe?

– Po październiku 1956 roku wiele się zmieniło w Polsce. Przede wszystkim funkcje w administracji państwowej przejęli nowi ludzie. Z początku ci nowi nie wykazywali większego zainteresowania naszą działalnością. Jednak z upływem miesięcy zaczęły wracać stare metody i dawne sposoby rozwiązywania problemów. Nakazano, opierając się na niepublikowanych przepisach, abyśmy występowali do urzędu cenzury o zgodę na organizowanie przedstawień w naszym domu parafialnym.

– Czyżby chcieli cenzurować Ewangelię? – roześmiał się święty Piotr i zaraz przybrał poważną minę, a anioł-protokolant jeszcze długo chichotał.

– Proszę się nie śmiać, ale właśnie tak było. W czerwcu 1958 roku zaprosiłem do Zielonej Góry zespół teatralny z Poznania, aby wystawił *Mękę Pańską*. Nie wystąpiłem do urzędu cenzury o zgodę, co ona uznała za złamanie prawa. Kilkanaście dni później na naszej scenie teatr z Gorzowa wystawił *Rozdroże miłości* Jerzego Zawieyskiego, pisarza katolickiego, co do którego istniał tajny zakaz publikacji, o czym ani parafianie, ani ja nie wiedziałem. Urząd cenzury uznał to za złamanie prawa i postawił mnie przed kolegiumm orzekającym, które stwierdziło znikomą szkodliwość społeczną mojego zachowania i ukarało jakąś niewielką kwotą do zapłacenia.

– W znajdujących się w naszym archiwum kserokopiach pism urzędowych z tamtych lat jest i taka, w której władze zarzucają księdzu wtrącanie się do organizacji szkolnictwa. – Święty Piotr wyjął z teczki kartkę, jakby chciał potwierdzić, że wszystko, co się wydarzyło w powojennej Zielonej Górze, zostało udokumentowane.

– Zapewne chodzi Wysokiemu Sądowi o Szkołę Podstawową numer 5, jedyną w mieście bez nauczania religii. Taka była decyzja władz, ja zaś uważałem, że w każdej publicznej i powszechnej szkole powinna się odbywać katecheza. W kraju, gdzie prawie całe społeczeństwo zapewnia, że wyznaje wiarę chrześcijańską, nauczanie religii powinno być zasadą. Z punktu widzenia organizacji pracy ucznia byłoby najlepiej, aby lekcje odbywały się w szkole, a nie w salce katechetycznej. Dlatego przypominałem władzom miejskim, że jeśli większość rodziców życzy sobie religii

w ramach zajęć szkolnych, to nie wolno im tego odmawiać. O tym mówiło rozporządzenie ministra oświaty z grudnia 1956 roku. A ponieważ władze nie tylko nie chciały wprowadzić religii do „piątki”, ale nawet nie godziły się na zebranie rodziców w szkolnej sali w tej sprawie, udośćpniłem im pomieszczenie w domu katolickim. Wtedy usłyszałem, że budynek parafialny jest wykorzystywany do innych celów niż został przeznaczony.

– Czy o wyprowadzaniu religii ze szkół mówił ksiądz z ambony?

– Obwinałem władze o brak poszanowania prawa i zasad demokracji. Mówiłem, że skoro Polska należy do rodziny Krajów Demokracji Ludowej, powinna przestrzegać obowiązujących w tej mierze standardów.

– I wtedy władze świeckie wpadły na pomysł, który stał się zarzewiem konfliktu zwanego wydarzeniami zielonogórskimi – powiedział święty Piotr, gotów szybko zakończyć rozprawę, tym bardziej że czekało go jeszcze wysłuchanie szesnastowiecznego księdza Pawła Lemberga, który habit żagańskiego augustianina zamienił na togę pastora luterńskiego w Grünbergu, gdy Zielona Góra miała niemiecką nazwę, chociaż była pod władzą wiedeńskich Habsburgów.

– Wasza Świątobliwość...

– Proszę zwracać się do sądu – przypomniał święty Piotr.

– Przepraszam. Kiedy myślę o tamtym... – próbował się usprawiedliwić ksiądz Michalski. Po chwili uspokojonym głosem kontynuował: – Wysoki Sądzie, przy placu Powstańców Wielkopolskich nasza parafia prowadziła Katolicki Dom Społeczny. Odbýwały się tam lekcje religii, dzieci przygotowywały się do pierwszej komunii, organi-

zowaliśmy zebrania i spotkania z okazji świąt kościelnych. Mieściła się tam stołówka i magazyn Caritas. Byliśmy gospodarzami tego budynku od grudnia 1945 roku, kiedy to wydział nieruchomości Tymczasowego Zarządu Państwowego w Poznaniu przekazał go społeczności parafialnej w użytkowanie. Do czasu zakończenia wojny należał on do niemieckiej gminy ewangelickiej.

– Aha, władze świeckie zarzuciły parafii, że budynek jest niewykorzystywany – ni to spytał, ni stwierdził święty Piotr, przeglądając kopie dokumentów.

– To też, chociaż szczegółów nikt nigdy nam nie przedstawił. Przede wszystkim po krótkim okresie odwilży politycznej, jaki nastał po październiku 1956 roku, rozpoczęła się walka z Kościołem. Do tego celu w każdym województwie powołano tak zwane trójki partyjne. Zielonogórska trójka postanowiła odebrać naszej parafii wspomniany budynek przy placu Powstańców Wielkopolskich.

Święty Piotr rozmasował nieco zdrętwiałe ramię i przemówił bardziej stanowczym tonem niż sytuacja tego wymagała:

– Zielona Góra od dziesięciu lat była stolicą województwa, powstawały nowe urzędy i instytucje, potrzebowały pomieszczeń... Na całym Bożym świecie Kościół służy ludziom.

– W Zielonej Górze chodziło o salę dla orkiestry symfonicznej – wtrącił anioł-protokolant.

– Gdyby tak ze mną rozmawiano, pewnie przekonałbym parafian, że powinniśmy przyjąć pod nasz dach orkiestrę, biuro Polskiego Związku Głuchych, oddział Związku Zawodowego Pracowników Gospodarki Komunalnej i inne, ważne dla ludzi organizacje. Ale ze mną nie rozma-

wiano. Mnie kazano. Najpierw więc kazano przedstawić dokument własności budynku. Potem nakazano miejskiej komisji lokalowej, aby odebrała nam prawo użytkowania tego domu. A jeśli parafia nie dostosuje się do tej decyzji, polecono usunięcie nas, czyli eksmisję.

– Czy o tym wszystkim wiedzieli parafianie? Czy ksiądz informował ich z ambony albo w inny sposób?

– Kiedy w środę popielcową 1960 roku młody ksiądz Jan Szuścik przekazał parafianom tę wiadomość, władze natychmiast wezwały go na przesłuchanie i zastraszyły. Mnie natomiast postanowiły kolejny raz usunąć z parafii, lecz kuria biskupia w Gorzowie nie wyraziła na to zgody. Zdawałem sobie sprawę, że długo nie będę kapłanem w Zielonej Górze, że przegram, mimo to postanowiłem wykorzystać wszystkie możliwości, jakie daje prawo.

– I wtedy chwycił się ksiądz ostatniej deski ratunku: wysłania petycji do Warszawy? – spytał święty Piotr, zerkając na zegar uczipiony ścianą nad wejściem do sali sprawiedliwości.

Anioł-protokolant uważał, że ta sprawa jest bardziej skomplikowana niż wydawało się na początku. Pomimo tego że święty Piotr ma doświadczenie w przewodzeniu wspólnotom wiernych, teraz nie odważy się podjąć decyzji. Wyrok będzie musiał wydać osobiście Bóg Ojciec.

– Uradziłem z parafiami, że prośbę o zaniechanie eksmisji z podpisami wiernych wyślemy do Rady Państwa. Zebraliśmy ich ponad tysiąc. Rządca diecezji ksiądz biskup Wilhelm Pluta poparł naszą prośbę.

– Jakie stanowisko zajęła Rada Państwa? – spytał święty Piotr, chociaż kopia odmowy leżała przed nim na stole.

– Na początku czerwca przyszła odpowiedź podtrzymująca decyzję zielonogórskich władz. A te wyznały eksmi-

się na sobotę 28 maja 1960 roku. Jednak tego dnia nie wy-
rzucono nas z budynku. Dlaczego, tego się nie dowiedziałem.
Później dotarły do mnie informacje, że obawiano się, iż pod-
czas niedzielnego kazania poświęcę temu problemowi dużo
czasu, czym mogłem wywołać wzburzenie zielonogórzan.

– Czy eksmisja z Katolickiego Domu Społecznego roz-
poczęła się w poniedziałek rano 30 maja 1960 roku?

– O ile wiem, milicja przygotowywała się do tego długo
i profesjonalnie. Nie spodziewała się jednak, że będzie mu-
siała użyć siły. Kiedy w poniedziałek pracownicy Miejskiej
Rady Narodowej w towarzystwie milicjantów chcieli wejść
do naszego budynku, nie zostali wpuszczeni przez znajdu-
jące się tam parafianki, w większości należące do Trzeciego
Zakonu Świętego Franciszka. Niebawem na placu zebrało
się, jak mi później przekazano, około dwustu osób. Wtedy
przełożony milicjantów wydał im rozkaz usunięcia zebra-
nych i kobiet tarasujących wejście do budynku.

– Ponieważ ludzie nie chcieli się rozejść, milicja pró-
bowwała rozpedzić ich pałkami – powiedział święty Piotr,
jakby był wtedy w Zielonej Górze.

– To okazało się najtrudniejsze do zniesienia. Nie wol-
no głosić haseł o równości, sprawiedliwości i przewodniej
roli mas pracujących, a potem w taki sposób rozprawiać
się z ludźmi. Władze powinny mieć w pamięci wydarze-
nia z czerwca 1956 roku w Poznaniu. Ci, którzy wydali
rozkaz o użyciu siły wobec mieszkańców, przede wszyst-
kim powinni zdawać sobie sprawę z konsekwencji, jakie
on wywoła. Z własnym narodem jeszcze żadna władza nie
wygrała.

– Ile prawdy zawiera informacja, że na początku zajęć
zielonogórzscy milicjanci zachowywali się nadzwyczaj

spokojnie? Zdaniem uczestnika wydarzeń – święty Piotr patrzył na kopię dokumentu, ale nie odczytał nazwiska świadka – milicjanci nie atakowali mieszkańców. Burza rozpuściła się dopiero po południu, gdy przybyły posiłki z Gorzowa i Poznania.

– Tak było. Doszły mnie słuchy, że gdy z tłumu leciały kamienie na milicjantów, ci je odrzucali pod nogi. Że jeden z wozów milicyjnych wyprowadzili za miasto sami ormowcy, za co zostali srodze ukarani przez sąd świecki.

– Czy ksiądz zwywał parafian do atakowania bojowo zachowujących się milicjantów z Poznania i Gorzowa?

– Kiedy na plebanię dotarła wiadomość o zajściach, natychmiast poszedłem na plac Powstańców Wielkopolskich i starałem się przemówić do protestujących. Za późno. Rozwścieczony tłum już mnie nie słuchał. Milicja wyrządziła mu za dużo krzywdy. Wśród zielonogórzan byli pobici, zatrzymani, zakuci w kajdanki, wycierający oczy z powodu gazu łzawiącego. Z placu i sąsiednich uliczek ludzie wyrwali kostki brukowe, obrzucali nimi milicjantów i ich samochody, wybijali szyby w komendzie miejskiej i okolicznych budynkach administracyjnych. Śródmieście Zielonej Góry wyglądało jak pobojozwisko.

– Głównym sprawcą zajść chuligańskich, jak nazwały je władze państwowe, był jednak niepokorny ksiądz. To też określenie władz – powiedział święty Piotr, zaglądając do kopii dokumentów, jakby zmierzał do sprecyzowania wniosków pozwalających zamknąć posiedzenie sądu.

– Najbardziej żał mi ludzi, którzy stanęli w obronie budynku parafialnego. Tych, którzy zostali srodze ukarani za walkę o prawo do wyznawania swojej religii. Ja?.. Byłem tylko księdzem postępującym zgodnie z tym, co ślubowa-

łem biskupowi po zakończeniu studiów w seminarium. Staralem się być dobrym duszpasterzem, pokornym sługą Boga, Pana naszego.

– Uważa ksiądz, że przegrał?

– Zostałem zdjęty z parafii, jak tego zażądały władze od biskupa diecezjalnego. Wróciłem do Poznania... Czy przegrałem? Chyba nie. Przekonałem ludzi, że jeśli racja jest po ich stronie, to powinni walczyć o swoje. Ten zryw w obronie domu katolickiego nie zostanie im zapomniany. To będzie zawsze ważne wydarzenie w dziejach Kościoła i Zielonej Góry – podkreślił ksiądz Michalski.

Święty Piotr zastanawiał się, jaką podjąć decyzję. Rozpatrywał kilka podobnych spraw, choćby księdza Słonki z Żywca czy księdza Niedzielaka z Warszawy. Nie miał wątpliwości, że proboszcz Kazimierz Michalski sumiennie służył Bogu i ludziom. Trzeba mu wynagrodzić krzywdy, jakich doznał w Zielonej Górze, ale jak? Sprawić, aby Duch Święty natchnął radę miejską, a ta jego imieniem nazwała ulicę, plac, szkołę? Postawić mu pomnik? Podpowiedzieć, aby parafianie wnioskowali o wyniesienie go na ołtarze?

Anioł-protokolant dostrzegł zamyślenie na twarzy świętego Piotra.

– A jakby prochy księdza Michalskiego przenieść z Poznania do Zielonej Góry? Uroczystie je złożyć w grobowcu przy konkatedrze świętej Jadwigi, żeby na zawsze pozostał ze swoimi parafianami? Aby marmurowa tablica na jego grobie przypominała, kim był i jak służył Bogu i ludziom – podpowiedział szeptem anioł-woźny.

– Słuszna myśl – pochwalił go święty Piotr.

Każda mogła być czarownicą

– Jaka jesteś stara, Helgo? – spytał pająk Joachim, wreszcie syty i zadowolony, bo po całodziennym poście wieczorem trafiła mu się kolacja nie tylko obfita, ale i smaczna. Poprzedniej nocy zaplątała się w sieci niewielka, w dodatku wymizowana mucha, a potem ta pani, która każdego ranka ściera kurz z mebli w gabinecie biskupa, zerwała pajęczyny. Całe popołudnie Joachim wyplatał sieć w rogu za firanką, do której przed wieczorem przez otwarte okno wpadła utuczona ćma.

– Po pierwsze, staraj się poprawnie mówić po polsku. Po drugie, masz szczęście, że nie jestem tą damą, która nie wybacza zuchwalstwa. Gdybym nią była, chwyciłabym któryś przycisk do papieru z biurka biskupa i zdzieliła cię w ten wielki, pewnie pusty łeb – udając oburzoną, niemal wykrzyknęła mysz. – Ale nie myśl sobie, że jestem aż tak wybuchowa i reaguję na każdą gafę. Zapewne zrobiłeś to nieumyślnie, dlatego odpowiem na twoje pytanie. Odpowiem również i dlatego, mój drogi Joachimie, bo cię lubię.

Gdy kornik Matthias usłyszał ich rozmowę, mimo że był głuchy na jedno ucho i zniedołężniały, wysunął głowę z chodnika w nadszarpniętej zębem czasu nodze stołu, przy którym biskup pije herbatę i rozmawia z ważniejszymi gośćmi.

– Wiosną skończyłam siedemdziesiąt – przyznała się Helga i zaraz dodała: – Ale zdrowie mam lepsze niż Matthias.

– Czego siedemdziesiąt? – spytał pająk z niedowierzaniem, po czym przewrócił się na drugi bok.

– Wiosną skończyłam siedemdziesiąt lat – powtórzyła mysz, starannie akcentując dwa ostatnie słowa.

– To samo słyszałeś, Matthiasie, co ja? – odezwał się Joachim z niedowierzaniem. A ponieważ kornik chciał być Mateuszem, nie odpowiedział na jego pytanie. – Twierdzisz, Helgo, że skończyłaś siedemdziesiąt lat. Przecież myszy kościelne tak długo nie żyją.

Pająk usiłował sobie przypomnieć, gdzie i kiedy pierwszy raz spotkał Helgę. Chyba to było zimą w zakrystii tego wielkiego kościoła, który teraz jest pod wezwaniem Świętej Jadwigi, gdy postanowił sprawdzić, dokąd prowadzi Grosse Kirchstrasse. Ale czyżby już minęło siedemdziesiąt lat? A kto był wtedy proboszczem tej jedynej w Grünbergu parafii katolickiej? Joachim na chwilę znieruchomiał, naprężył mięśnie i myśli. Ksiądz Georg. Jak się on nazywał? Go... Go... O, mam, Gottwald! Po nim parafię objął ksiądz Michalski. Pająk ucieszył się, że mimo poważnego wieku jeszcze tyle pamięta.

– Powinieneś, mój drogi, zrozumieć, że jednak są wyjątki od zasad uważanych za nienaruszalne – mysz zaczęła swój wykład. Robiła to permanentnie, za słuchaczy zawsze mając pająka Joachima i kornika Matthiasa, który woli być Mateuszem, rzadziej młodsze myszki, a zimą prusaki oraz kołatki, skórniki, karaluchy, rybiki z archiwum diecezjalnego. Helga nie tylko barwnie opowiada o tym, co się działo w dawnej Zielonej Górze, lecz i wyjaśnia, jak sobie radzić, aby w dobrym zdrowiu i niezłym humorze doczekać jej wieku. Po każdej prelekcji mieszkańcy domu przy placu Powstańców Wielkopolskich 1 pytają Helgę, gdzie tego wszystkiego się dowiedziała, lecz ona tylko uśmiecha się tajemniczo. – Cma, jeśli wcześniej nie wpadnie w twoją sieć, drogi Joachimie,

żyje najwyżej kilka tygodni. Niedawno słyszałam, jak kruk z klonu na placu, gdzie kiedyś stała gazownia, odbierał życzenia z okazji... nie zgadniesz... dwusetnych urodzin. Czy wyobrażasz sobie trzystuletniego żółwia, który ma przed sobą jeszcze co najmniej pół wieku życia?

Pająk podniósł głowę, żeby poprosić mysz o powtórzenie, bo wydawało mu się, że się przesłyszał. To ileż sędziwych żółwi musi dreptać po świecie, skoro tak długo żyją? A kornik Matthias znieruchomiał, naprężył mięśnie i myśli. Jak wygląda żółw? Czy też ma ryjek z ostrym zębem i drąży tunele w starych meblach sosnowych? Jeśli nie, to czym się żywi, że tak długo żyje?

– Wyjaśnię ci to, mój drogi Joachimie, na przykładzie kobiet i mężczyzn, czyli naszych większych braci i siostr. Uważających się za najmądrzejsze istoty na ziemi. Na ogół ludzie dożywają do osiemdziesięciu kilku lat. Kobiety żyją dłużej od mężczyzn o mniej więcej siedem lat, chociaż nie wiadomo dlaczego nie jest odwrotnie – kontynuowała swój wykład mysz Helga. – A na przykład biblijny Adam żył dziewięćset trzydzieści lat, jego syn Set – dziewięćset dwanaście, Enosz, wnuk Adama – dziewięćset pięć, Kenan, wnuk Seta – dziewięćset dziesięć, Mahalaleel – osiemset dziewięćdziesiąt pięć. Jered przeżył pradziadka Adama, ponieważ stąpał po ziemi przez dziewięćset sześćdziesiąt dwa lata. Gdy Noe miał pięćset lat, urodzili mu się synowie: Sem, Cham i Jafet. Uważany za ojca narodu żydowskiego Abraham dożył stu siedemdziesięciu pięciu lat.

– Skąd to wszystko wiesz? – przerwał jej pająk Joachim, a kornik Matthias jeszcze bardziej wysunął się z chodnika i nadstawił nawet to niesłyszające ucho.

- Co dziś znajduje się w naszym budynku? - spytała Helga jakby sprawdzała, czy Joachim zdaje sobie sprawę z tego, gdzie mieszka.

- Kuria biskupia - odpowiedział pająk bez zająknięcia.

- Kuria diecezjalna - poprawił go kornik.

- Gdy nie ma biskupa w swoim gabinecie, to wskazuję na jego biurko i czytam Pismo Święte, zwane Biblią, czyli Stary Testament i Nowy Testament. W soboty i niedziele, a czasem i w środku tygodnia wypadają święta kościelne, wtedy biskupa nigdy tu nie ma. Bardzo lubię te dni, bo mam dużo czasu, żeby wnikliwie analizować, co jest w tej świętej księdze. Niektóre zdania czytam po kilka razy, od przodu, od tyłu, od środka, i mimo to nie wszystko rozumiem - przyznała się mysz. - Ten pęd do ogarnięcia umysłem treści książki sprawia, że brakuje mi czasu na zajmowanie się kwestiami drugorzędnymi.

Kornik pomyślał, że i on powinien zajrzeć do Pisma Świętego. Nie o treść mu chodziło, lecz o papier. Kuzyn Matthiasa ze strony matki, który urodził się i mieszka w bibliotece na plebani konkatedralnej, twierdził, że kartki starego papieru są nie tylko smaczniejsze, ale i bardziej strawne. Matthias dostaje bóleści, gdy zbyt płytko wgryzie się w nogę biskupiego stołu. Stryj Horst uważa, że to z powodu detergentów, którymi ta pani, która każdego ranka sprząta w kurii, ściera kurz z mebli w gabinecie biskupa.

- Od wielu lat słucham cię, Helgo, a jeszcze nie wiem, gdzie się urodziłaś i w jaki sposób tu się dostałaś - wytknął jej pająk po namyśle.

- Po co ci to wiedzieć?

- Z ciekawości.

Powie mu to, co mnie powiedziała? – spytał w myślach kornik Matthias i wystawił z chodnika nawet to niesłyszające ucho.

– Ciekawość, mój drogi Joachimie, to pierwszy stopień do piekła – roześmiała się Helga, ale nie przyznała się, że nie pamiętała, gdzie to usłyszała i co znaczy.

– Jesteś bardziej przemądrzała niż rzecznik biskupa – obruszył się pająk, który lubił podsłuchiwać, z jaką pewnością siebie ksiądz Andrzej odpowiadał na pytania młodych dziennikarzy.

Ponieważ Joachim zamilkł, mysz postanowiła szybko naprawić swój błąd.

– Mamusia mówiła, że przyszłam na świat w zakrystii konkatedry pod wezwaniem Świętej Jadwigi, która zawsze była bardzo ważną świątynią w mieście – wyjaśniła pełnym zdaniem. – Wyobraź sobie, mój drogi, że nawet gdy wyznawanie wiary ewangelickiej było dobrze widziane, ten kościół należał do katolików. A ty, Joachimie?

– Co ja? – spytał pająk po dłuższym milczeniu. – Aha, mysz chce wiedzieć, gdzie się urodziłem – powiedział bardziej do siebie niż do Helgi.

– Należy mi się.

– Mógłbym powiedzieć, że z urodzenia jestem ewangelikiem.

– Ty... ewangelikiem? Co ewangelik robi w biurze biskupa katolickiego?

– Przyszedłem na świat na balkonie kościoła Zum Garten Christi, który w dziewiętnastym stuleciu postawili ewangelicy. Mógłbym też powiedzieć, że jestem katolikiem, bo następnego dnia po moim urodzeniu ten kościół był pod wezwaniem Matki Bożej Częstochowskiej

i od wtedy należy do parafii katolickiej. Podobnie stało się z kościołem przy dzisiejszej alei Niepodległości, dawnej Bahnhofstrasse, który teraz jest pod wezwaniem Najświętszego Zbawiciela.

– To dlaczego, drogi Joachimie, nie mieszkasz tam, gdzie się urodziłeś?

– Dlatego, i wyłącznie dlatego, Helgo, że tu, w murach kurii biskupiej, po pierwsze, latem jest chłodniej i zimą cieplej, po drugie, nie brakuje owadów, a jak wiesz, pająki najbardziej lubią tłuste muchy domowe. Lepiej smakują samiczki, ponieważ są większe i bardziej mięsiste. Czasem ćma albo jeszcze bardziej pulchny robal wpadnie w moją sieć. A ty?

– Dlaczego nie mieszkam w zakrystii? – spytała mysz, mimo iż domyślała się, co interesuje pająka.

– Właśnie to miałem na myśli – potwierdził Joachim.

– Z tego samego powodu, co ty. Ponadto mamusia mówiła, że to miejsce od stuleci należało do naszej rodziny. Tu urodziła się większość moich przodków i kuzynów. Po 1945 roku prawie wszyscy ludzie, którzy mówili po niemiecku, uciekli z miasta albo zostali wypędzeni. Razem z nimi poszli moi bliscy.

– Byłem za mały, żeby wyruszyć w daleką drogę, dlatego mamusia ukryła mnie pod ławką – pająk usiadł i pokazał prawą nogą na podłogę. – Mamusia obiecała, że kiedy urządzi się w nowym miejscu, to wróci i mnie stamtąd zabierze. Niestety... Gdy byłem dorosły, Amelia namówiła mnie, abyśmy tu się przeprowadzili. Mieliśmy zamiar... niestety, sprzątaczką wypatrzyła moją wybrankę i... stało się... Nawet nie wiem, czy jestem daleko od mojego miejsca urodzenia. Bywa, że mam ochotę tam wrócić. Nie na

zawsze, wyłącznie z ciekawości. Chociaż niekiedy myślę, że byłbym szczęśliwszy, gdybym żył tam, gdzie się urodziłem.

Helga najpierw się roześmiała, potem zaczęła kaszleć dwuznacznie.

– Drogę z kurii biskupiej...

– Diecezjalnej – wtrącił kornik.

– ...gdzie mieszkasz wygodnie, drogi Joachimie – kontynuowała mysz, nic sobie z tego nie robiąc – do miejsca twojego urodzenia, ja, stara mysz, jestem w stanie pokonać w minutę. Ty poruszasz się wolniej, zatem będziesz potrzebował troszkę więcej czasu. Z kurii do zakrystii kościoła Matki Bożej Częstochowskiej jest najwyżej trzydzieści metrów.

Pająk natychmiast zsunął się z parapetu na podłogę. Najszybciej jak potrafił podbiegł do drzwi, ale były zamknięte, a szparka przy podłodze za ciasna, żeby się przecisnąć na korytarz.

– W poniedziałek rano, kiedy przyjdzie sprzątaczką i zanim pojawi się biskup, przeprowadzę cię bezpiecznie do kościoła – zapewniła go mysz.

– Dziękuję, Helgo. Nie znam nikogo innego, kto ma tak dobre serce jak ty, przyjaciółko. – Wróciwszy na pajęczynę, poprosił, aby opowiedziała, jak się dostała do kurii. Joachim lubił jej trochę piskliwy i przy tym uwodzicielski głos. – Urodziłaś się w zakrystii konkatedry – powiedział, jakby sprawdzał, czy dobrze zapamiętał to, co usłyszał. – Dlaczego mieszkasz w kurii, a nie tam, w zakrystii?

– Już ci mówiłam, że budynek, w którym sobie gawędzimy, można tak powiedzieć, od stuleci należy do mojej rodziny. Tu się urodziło większość moich przodków. Dlaczego ja wyjątkowo przyszłam na świat w zakrystii

konkatedry, wybacz, drogi Joachimie, ale nie potrafię wyjaśnić. Domyślałam się, że w mojej rodzinie co kilka pokoleń odzywają się popędy wędrownicze. Pewnie dlatego kiedyś wczesnym rankiem wyszłam z zakrystii konkatedralnej, zjrzałam na pobliską plebanię, nawet obeszłam ratusz i kiedy dotarłam do drzwi tego miejsca, gdzie teraz żyję, jakiś wcześniej nieznany głos kazał mi tu się dostać. To polecenie było tak zdecydowane, Matthiasie, że...

– Przestań! – krzyknął kornik i przypomniał, że woli, aby mysz nazywała go Mateuszem, lecz nie wyjaśnił, dlaczego nie chce słuchać tego, o czym opowiada Helga.

– Mów dalej, droga przyjaciółko – przymilnym głosem zwrócił się do myszy pająk. – Tak barwnie i interesująco opowiadasz, że gdybym w nocy nie musiał pleść sieci, rano ukrywać się przed sprzątaczką, a w dzień umykać przed wzrokiem sekretarza biskupa, mógłbym cię słuchać na okrągło.

Helgi nie trzeba było dwa razy prosić.

– A czy wiesz, mój drogi – zwróciła się tylko do pająka – co było w budynku przy ulicy Młyńskiej? To znaczy teraz przy placu Powstańców Wielkopolskich 1, zanim tu wprowadził się biskup ordynariusz ze swoimi kurialistami.

– Pewnie najpierw pastorówka Zum Garten Christi, a potem plebania kościoła Matki Bożej Częstochowskiej – bez namysłu odpowiedział Joachim.

– O ile dobrze zapamiętałem, to księża z parafii Matki Bożej Częstochowskiej mieszkają przy ulicy Kasprowicz 1 – wtrącił kornik.

– W takim razie... – próbował zgadnąć pająk, ale nie dorzecznego nie przychodziło mu do głowy.

– Identyczna rudera jak ta przy Ciesielskiej, na wprost restauracji Stary Młyn – roześmiała się mysz. – To znaczy zrujnowany budynek długo stał bez gospodarnego zarządcy, potem przez pięć lat gruntownie go remontowano, bo tu miało się znajdować Muzeum Historii Miasta. Miejsce na taką instytucję chyba najlepsze, ponieważ jedną ścianą budynek jest oparty o mur obronny starej daty, w pobliżu stoi konkatedra, przy niej dawna szkoła katolicka, a historyczne kamieniczki wianuszkami oplatają ratusz pamiętający minione czasy. Wyobraź sobie, że przygotowane do ekspozycji przedmioty czekały w gmachu przy alei Niepodległości 15 na przeprowadzkę. Kiedy remont szczęśliwie zakończono, a stało się to w 1992 roku, i była wyznaczona data uroczystego otwarcia muzeum, do budynku wprowadziła się kuria diecezjalna.

– Skoro budynek wyremontowało muzeum za swoje pieniądze, to pewnie było jego prawnym właścicielem. Przecież dyrektor musiał sobie zdawać sprawę z tego, że jeśli wyda choćby jedną złotówkę na inny niż muzealny cel, nie tylko zwróci ją do kasy państwa, ale i stanie przed sądem. A może muzeum jeszcze nie było właścicielem budynku?

– Było.

– Żadne prawo nie pozwala na odebranie własności – przerwał jej pająk.

– Słusznie twierdzisz, że nie ma takiego prawa, które sankcjonuje pozbawienie kogoś własności – pochwaliła go Helga i zaraz wyjaśniła. – Wśród ludzi jest tak, że ci, którzy przejęli władzę, nie przestrzegają prawa ustanowionego przez poprzedników. Nawet jeśli dotyczy ono własności prywatnej.

– I pokrzywdzeni z tym się zgadzają?

– Wyobraź sobie, mój drogi Joachimie, że w urzędzie miejskim nie znalazł się nikt odważny, kto by zadzwonił do dyrektora z informacją, że muzeum przestało być właścicielem budynku przy placu Powstańców Wielkopolskich 1. O tym przeczytał rano w gazecie.

– Bezprawie – rzucił oburzony pająk.

– A po jesieni narodów w 1989 roku miało być inaczej, to znaczy otwarcie, uczciwie, szczerze, jednym słowem de-mo-kra-tycz-nie – powiedział jakby tylko do siebie kornik.

– Nie będę się rozwodziła na powyższy temat. Wypada, abyście jako lokatorzy międzysłownego budynku wiedzieli, że w 1960 roku, kiedy proboszczem był ksiądz Michalski, władze miejskie odebrały parafii tak zwany dom katolicki. Dziś mieści się w nim stara część filharmonii. W 1992 roku, kiedy Zielona Góra została stolicą biskupią, nowe władze miejskie potępiły decyzję swoich poprzedników i w ramach odkupienia winy przekazały biskupstwu wyremontowany budynek przeznaczony na muzeum.

– Mówiłaś, że w Zielonej Górze było to najlepsze miejsce na muzeum historyczne – przypominał kornik. – Dobrze też i na kurię biskupią, ponieważ położone blisko konkatedry i najważniejszych kościołów w mieście, w centrum, gdzie są duże parkingi i dokąd nie jest trudno dojechać.

– Zresztą nie tylko ten budynek w centrum dostało biskupstwo, bo i pałacyk na obrzeżach miasta, w parku Piastowskim – dodała Helga i czekała, co powie kornik, który w gabinecie ordynariusza znalazł się ani z własnej woli, ani z ciekawości. Poprzednio również mieszkał w nodze stolika, tyle że mebel od niepamiętnych czasów stał w pałacyku

biskupim przy ulicy 30 Stycznia 1 w Gorzowie. Tam urodziły się jego dzieci i wnuki, a pewnie i jego rodzice tam przyszliz na świat, może dziadkowie i pradziadkowie.

Matthias, czyli Mateusz pomyślał, że Helga powinna oprowadzać wycieczki po centrum. Kornik jeszcze nie poznał nikogo, kto potrafi tak fantastycznie opowiadać o dawnych dziejach miasta. Gdy nie z własnej woli zamieszkał w Zielonej Górze, wydawało mu się, że to najgorsze miejsce na świecie. Ani dudnienia tramwajów, ani woni rzeki wiosną wylewającej się na bulwar, nawet ludzie jakby mniej rozdyktowani i bardziej zamknięci w sobie. Za cicho, spokojnie i zbyt nudno, a on lubił słuchać tych, którzy zrzędzą nawet bez powodu. Gdy postanowił, że się wyprowadzi z nogi biskupiego stołu, lecz jeszcze nie zdecydował dokąd, do kurii dostała się Helga. Przez pierwsze dni wszystko ją interesowało, wtykała swój kosmaty łepiek nawet tam, gdzie nie było nic ciekawego, toteż grała mu na nerwach. Teraz codziennie wieczorem Matthias wysuwa głowę z chodnika w nodze biskupiego stołu i nadstawia zdrowe ucho, żeby jak najwięcej dowiedzieć się o przeszłości miasta. Kornik byłby jeszcze bardziej zadowolony, gdyby mysz mizdrzyła się również i do niego, a nie tylko do pajaka.

– Pewnie, mój drogi Joachimie, nie zdajesz sobie sprawy z tego, co się działo w naszym mieście trzysta lat temu. Ile niewinnych kobiet zginęło w okropnych męczarniach.

– Nie czekając na odpowiedź pajaka, kontynuowała Helga:

– W Grünbergu, jak się wtedy nazywała Zielona Góra, dochodziło do piekielnych scen. Przeszły one do historii jako procesy czarownic. Wyobraź sobie starszą mieszczkę, w dodatku owdowiałą, która została oskarżona o konszachty

z diablem. I która wiedziała, że za coś takiego czeka ją spalenie żywcem na stosie. Łagodniejszą karą było najpierw ścięcie głowy i potem na oczach mieszczan spalenie ciała.

– Trzysta lat temu, czyli w siedemnastym wieku – obliczył szybko pajak. – Skąd możesz wiedzieć, co się wtedy działo w mieście, skoro jeszcze nie było cię na świecie?

– Mamusia mi opowiadała?

– A twoja mamusia skąd to wiedziała?

– Od babci.

– A babcia skąd?

– Babcia od swojej babci. Tamta babcia od jeszcze starszej babci. W naszej rodzinie tradycja jest przekazywana z pokolenia na pokolenie. Ja też nie miałam żadnych tajemnic przed swoimi dziećmi. .

Jak i ja, pomyślał kornik. Nawet nie ukrywałem, że zanim stół znalazł się w pałacyku biskupim, długo mieszkalem w nodze biurka, przy którym siedział Max Bahr, najbardziej znany przemysłowiec w Landsbergu, jak dawniej nazywał się Gorzów.

– Kto kogo oskarżał za konszachty z diablem? – zaciekawiał się Joachim. Pajak nigdy nie słyszał o diable i wstyd mu było się przyznać, że nic o nim nie wie. Może to tylko wymysł jednych ludzi, którzy straszili nim innych?

– Wyobraź sobie, że dwaj niemieccy dominikanie...

– Dominikanie? – przerwał jej pajak.

– Czyli zakonnicy, zwani również mnichami, braciszkami z Zakonu Kaznodziejskiego założonego przez świętego Dominika Guzmána. Oni to pod koniec piętnastego stulecia obwieścili, że na świecie rozprzestrzenia się diabelski spisek. Można go pokonać jedynie silną wiarą i stosowaniem represji wobec spiskowców. Był to okres walk reli-

gijnych wśród chrześcijan, które przeszły do historii jako reformacja i kontrreformacja.

– A ten diabelski spisek to kto...?

– Interesuje cię, drogi Joachimie, kim, wedle dominikanów, byli spiskowcy – domyśliła się mysz. – Też zastanawiałam się, czy było możliwe, aby wtedy, kiedy jeszcze nie znano radia, telewizji, komputera, internetu i tych wszystkich dóbr cywilizacyjnych, z których korzysta biskup, mógł się zawiązać spisek ogarniający cały świat. Dopiero gdy zajrzałam do książki *Szaleństwa wiary albo procesy czarownic w Zielonej Górze*, oczy mi się szeroko otworzyły. Wedle jej autora, Jerzego Piotra Majchrzaka, za spiskowca mógł zostać uznany każdy człowiek, ale bardzo rzadko mężczyzna, najczęściej zamożniejsza wdowa. Chciwi sąsiedzi oskarżali taką o to, że po śmierci męża wyparła się Pana Boga, zawarła pakt z diabłem, przypieczętowany aktem seksualnym, w celu szkodenia przykładowym chrześcijanom. Prawdę mówiąc, to chodziło o coś zupełnie innego niż opętanie przez diabła – powiedziała Helga i urwała, ponieważ spodziewała się, że pająk poprosi ją o rozwinięcie wątku. A Joachim skulił się w kąciку i milczał, to znaczy zastanawiał się, dlaczego sąsiedzi oskarżali o uprawianie czarów nie młode i urokliwe kobiety, lecz starsze i zamożniejsze wdowy. – Pod płaszczykiem walki z opętaniem najczęściej chodziło o zemstę lub zagarnięcie wdowiego majątku. W tamtym czasie wystarczyło wskazać podejrzaną kobietę, żeby proboszcz na wsi albo sąd w mieście wziął sprawę w swoje ręce. Rzadko się zdarzało, a właściwie nigdy, aby nieszcześnica nie została uznana za winną i nie skazano jej na śmierć przez spalenie na stosie.

– Nie mogła odwołać się do wyższego trybunału? – spytał pająk, a kornik dodał, że również wielokrotny prze-

stępcą stara się przedstawić okoliczności usprawiedliwiające jego haniebny czyn. – Zgoda, nie ma ludzi absolutnie winnych i absolutnie niewinnych, ale są okoliczności łagodzące. Dzisiejsze sądy nawet morderców skazują na długoletnie więzienie, a nie na śmierć, chociaż powinno być wedle biblijnej zasady: oko za oko, ząb za ząb. Czy jakoś tak.

– A wtedy wystarczyło oskarżenie i kobietę stawiano przed sądem. Niemal zawsze kończyło się wydaniem niekorzystnego dla niej wyroku: spalenie żywcem na stosie – stwierdziła mysz. – Wyobraź sobie, mój drogi Joachimie, że pisarz na ratuszu Johann Schwulke smałał cholewki do urodziny córki Christiana i Elisabeth Grassów. Ojciec, radny miejski, nawet był dumny, że tak wysoko postawiony urzędnik dostrzegł jego najmłodszą córkę. Matka, przykładna ewangeliczka, tłumaczyła dziewczynie, że Schwulke z nią się nie ożeni, tylko uwiedzie i wykorzysta, a potem zostawi. To podły człowiek. Milcz, kobieto. Jeśli będziesz wytykała Schwulkemu niegodziwość, oskarży cię o czary, ostrzegł żonę Christian. Przecież to prawda, stanęła na wprost męża Elisabeth, a ponieważ nie zaprzeczył, przypomniała mu, jak postąpił z najstarszą córką sukiennika Hubera. Gdyby chociaż pochodził z bogatego domu, a to syn bakałarza z Glogau. Co z tego, że katolik, skoro często bywa w karczmie i zagląda do kieliszka? Masz swoje lata, córeczko, powinnaś wyjść za mąż, ale nie za takiego, który łypie do ciebie oczami. To i Schwulke obiecał dwom kobietom oskarżonym o uprawianie czarów, że je uwolni od winy, jeżeli wskażą Elisabeth Grasse jako tą, która ma konszachty z diabłem. Najpierw kazał strażnikom miejskim uwięzić ją w lochu, pewnie licząc na to, że kobieta zmęknie albo się przestraszy. A ponieważ, mimo głodzenia i zastraszania, Grassowa do niczego się nie

przyznała, postawił ją przed sądem grodzkim. Na miejsce procesu wybrał niewielką salę w Domu Kijów, aby jak najmniej mieszczan przysłuchiwało się zadawanym pytaniom i udzielanym odpowiedziom. Notariusz miejski, Abraham Gabler, który często zasiadał za stołem sędziowskim, zaczął od standardowego pytania. Czy Elisabeth Grass przyznaje się do służby szatanowi? Oskarżona mieszcza szybko zaprzeczyła ruchem głowy i otworzyła usta, żeby coś wyjaśnić, lecz przewodniczący ławie sędziowskiej zerknął na pisarza, a tamten dał mu znak, aby czym prędzej zadał drugie pytanie. Czy to prawda, że razem z innymi wiedźmami bywałaś na Łysej Górze? Nie, nawet nie wiem, gdzie jest to miejsce, odpowiedziała Grassowa. Siedzący obok strażnik miejski dźgnął ją szpikulcem w ramię. Tak, syknęła, a po chwili rzuciła przez zaciśnięte zęby: Nie. Sędzia kazał protokolantowi zapisać pierwszą odpowiedź. Czy to prawda, że byłaś tam ze swoją służącą i innymi czarownicami? Tak, odrzekła mieszcza, domagając się podania podstawy prawnej. Czy to prawda, że diabeł przyszedł do was na balkon? Tak, służąca go jeszcze nie знаła i przywoływała na górę, bo sądziła, że to człowiek, wyjaśniła Grassowa, nie zdając sobie sprawy z tego, w co pakuje siebie, służącą i inne kobiety. Czy to prawda, że diabeł miał czarne ubranie i buty i wyglądał jak czeladnik sukienniczy? Tak, wyglądał całkiem jak wędrowny czeladnik, bez zarostu, wymyśliła na poczekaniu, krzywiąc usta w uśmiechu. Przypominam oskarżonej, że stoi przed sądem miłościwie nam panującego Świętego Cesarza Rzymskiego cesarza Leopolda I i ma się zachowywać stosownie do prawideł obowiązujących podczas procesów, przypomniał notariusz Gabler. Czy to prawda, że diabeł nazywał się Martin? Martin? A tak, tak, na pewno Martin,

odpowiedziała i roześmiała się w kulak. Czy to prawda, że gach zażądał, abys oddała mu ciało i duszę? Tak było wtedy i w następnych latach, potwierdziła Grassowa, starając się odpowiadać na pytania szerzej niż tego oczekiwał sędzia. Czy to prawda, że przez wszystkie lata odwiedzał cię nocą w izbie pod nieobecność męża? Odwiedzał mnie przez wiele lat, bez namysłu potwierdziła głosem zawadiackim. Najczęściej w nocy, ale i bywało, że w dzień. Czy to prawda, że uprawiałaś z nim nienaturalny nierząd? Żeby tylko to, odrzekła i podniosła głowę wysoko. Czy to prawda, że jego natura była bardzo gorąca, a także niezbyt lekka i że takie odnosiłaś wrażenie? Teraz zdaję sobie sprawę z tego, że powinnam się bronić z wielką siłą, ale w jego obecności tak nie postępowałam. Czy to prawda, że kąpałaś się razem z diabłem w sadzawce Louisenthal, przez niektórych nazywaną Doliną Luizy? Kąpałam się, bo mnie diabeł wciągnął do wody. Czy to prawda, że były tam i inne kobiety, które spotykałaś na Łysej Górze? Tak, dużo nas było. Jak się one zwą? – chciał wiedzieć sędzia, wcześniej zerknąwszy na Schwulkego. Elisabeth Grasse wymieniła pięć wdów, wcześniej skazanych na śmierć w płomieniach. Czy to prawda, że zły przyrzekł ci pieniądze w zamian za duszę i zerwanie związku z wiarą chrześcijańską? Tak, obiecał dużo pieniędzy, potwierdziła oskarżona, jeszcze nie zdając sobie sprawy z tego, co na siebie ściąga.

– Przecież ona kłamała – domyślał się pająk.

– A na drugiej rozprawie Elisabeth Grasse wszystko, do czego poprzednio się przyznała, nie tylko odwołała, ale i powiedziała, że zmusił ją do takich odpowiedzi strażnik miejski, kłując szpikulcem to ramię, to biodro i obiecując, że jak się przyzna, zaraz wyjdzie na wolność.

– Wyszła? – zaniepokoił się kornik.

– Na drugiej rozprawie przewodniczący ławie sędziowskiej powtórzył wcześniej zadane pytania, na które tym razem oskarżona odpowiedziała przecząco. I zadał dziesiątki nowych. Ponieważ obok niej był nie ten strażnik, co poprzednio, odpowiadała tak, jak uważała. Czy przyznajesz się, że codziennie rano biegałaś po łące za majątkiem pana Adlera i rzucałaś uroki na jego krowy? Nie, odparła hardo Grassowa. Nigdy tam nie byłam. Czy to prawda, że spowodowałaś gradobicie na polach swojego szwagra? Nie. Czy przyznajesz się, żeś sprowadziła piorun na folwark pana Mälzera? Nie miałam z tym nic wspólnego, odparła. Czy przyznajesz się, żeś ogień podłożyła pod szopą, w której pan Winkler hoduje króliki i kury? Nie wiem, gdzie mieszka osoba, którą wysoki sąd wymienił. Nie wiesz, powtórzył zdziwiony sędzia Gabler i zerknął na Schwulkego, jakby go pytał, czy ma sens prowadzenie procesu, skoro oskarżona do niczego się nie przyznaje, ale ten dał mu znak oczami, aby nie ustępował. Czy przyznajesz się, żeś zięciowi pana Wildego uśmierciła troje dzieci? Nie. Czy to prawda, żeś drugiej żonie pana Pappritza podała odwar z ziół, który spowodował jej bezpłodność? Nie. Czy potwierdzasz, że rzuciłaś urok na zwierzęta Katheriny Funcke? Zaprzeczam. Czy przyznajesz się do tego, że czarami psułaś wypieki z jej pieca, prowokowała nieszczęścia, a przede wszystkim sprowadziła na nią głód? Nigdy nie byłam w jej domu. Czy przyznajesz się, żeś smród siarczasty wokół siebie roztaczała? Odrzucam oskarżenie, postawiła się Grassowa. Wczoraj przyznałaś się do obcowania z diabłem, przypomniał sędzia. Zostałam do tego zmuszona, dlatego dziś zaprzeczam. I tak odpowiadała na wszystkie pytania, które sędzia powtórnie jej zadawał.

– A czy ława sędziowska dała jej wiarę? – zaintrygował się kornik. – To znaczy, czy ławnicy uznali Elisabeth Grasse za uwolnioną od zarzucanych jej czynów?

– Protokół z przeprowadzonej rozprawy wysłano do zatwierdzenia do Löwenberga, czyli dzisiejszego Lwówka Śląskiego, który identycznie jak Grünberg leżał w monarchii austro-węgierskiej. Tamtejszy trybunał kazał powtórzyć proces, bo protokolant przywołał opinię fakultetu jurystycznego Viadriny we Frankfurcie, która to uczelnia była protestancka. A gdyby i podczas powtórzonej rozprawy oskarżona o czary nadal wszystkiemu zaprzeczała, zadawanie pytań należy przerwać i w inny sposób zmusić ją do przyznania się do winy.

– W inny, czyli jaki? – spytał pająk, a kornik się roześmiał.

– Zrozumiesz to, drogi Joachimie, na przykładzie z pobliskiego Przylepu, który kiedyś zwał się Schertendorf. W nocy spłonęła oberża należąca do Melchiora von Landkronego. Kto podłożył ogień, nie wiadomo. Może sam oberżysta, bo to był próżniak i dlatego kiepsko mu się wiodło. O podpalenie oskarżył Linę Kliche, zielarkę i teściową właściciela konkurencyjnej oberży. Przed grünberskim sądem ta Kliche tak się zaplątała w udzielaniu odpowiedzi na pytania, że przyznała się nawet do rzucania uroku na swego zięcia i wnuki. Mało tego, wskazała jeszcze dwie sąsiadki, które miały być jej współniczkami. Wszystkie zostały skazane na śmierć przez oczyszczenie ogniem, czyli spalenie na stosie.

– Widocznie coś miały na sumieniu.

– Niczego im nie udowodniono.

– Póki miały siły, się broniły.

– Jednak musiały być winne, skoro sąd nie dał im wiary.

– W tamtym czasie, drogi Joachimie, sądom, jak i rządzącym nie chodziło o wyświechtanie prawdy, lecz o zastraszenie prostych ludzi. I o panowanie nad nimi. Najłatwiej było panować nad kobietami, w dodatku samotnymi po stracie mężów.

– A dlaczego współniczki tej Kliche, jak to się mówi, nie poszły w zaparte i nie przedstawiały wiarygodnych dowodów na swoją niewinność?

Tego mysz nie wiedziała. Pamiętała jedynie to, czego dowiedziała się od swojej mamy, a ta od babci, a babcia od jeszcze starszej babci. Gdy sąd wyczerpał wszystkie możliwości i mimo to oskarżona Franziska Triebkorn nie przyznała się do uprawiania magii, sędzia kazał strażnikowi, aby sprawdził, czy na jej plecach są jakieś znamiona. Były piegi, pieprzyki, nawet niewielkie brodawki. Sąd uznał je za ślady pozostawione przez złego podczas obcowania z owdowiałą kobietą.

– Helgo, czy oskarżone kobiety miały alibi? – spytał kornik, przypomniawszy sobie określenie, które wiele razy słyszał z ust oficjała trybunału biskupiego, ale nie wiedział, co ono znaczy.

– Sąd obawiał się ośmieszenia, więc przyznanie się do winy wymuszał okrutnymi torturami, nazywając je surowymi badaniami. Wybierzcie się obaj do Muzeum Tortur Średniowiecznych, jest przy alei Niepodległości 15. Zobaczcie tam tak zmyślne narzędzia do zadawania bólu, że od samego patrzenia robi się niedobrze.

– Mnie nic nie poruszy – oświadczył kornik.

– Nie lubię jęków i zawodzenia – przyznał się pajak.

– Najłagodniejsze były dyby, które wprawdzie powodo-

wały utratę sił i często omdlenie ofiary, ale nie oznaczały śmierci w męczarniach – kontynuowała mysz. – Trudno było znieść ból zadawany przez drewniane, ostro zakończone kołeczki wystające z krzesła inkwizytorskiego. Na wewnętrznych ścianach dziewicy norymberskiej znajdowały się metalowe szpikulce, raniące ciało zamkniętej w niej kobiety, ale nie uszkadzające narządów wewnętrznych. Czy potraficie sobie wyobrazić wdowę, rozciąganą na łożu sprawiedliwości, która nie przyznała się do winy, gdy pękały mięśnie, a ciało wydłużało się aż o trzydzieści centymetrów? Kołyska Judasza to stojak z wystającym ostrzem, na który gwałtownie opuszczano niewiastę zawieszoną na linie. Gruszkę wkładano do pochwy samotnej kobiety oskarżonej o kontakt cielesny z diabłem i za pomocą pokrętki rozszerzano ją tak długo, aż rozerwały się mięśnie. Do tortur używano również narzędzi o nazwach miłych dla ucha, na przykład bociana i osła. W rzeczywistości pierwsze urządzenie prowadziło do bolesnej i długiej agonii, a na drugim, będącym drewnianym kłosem w kształcie trójnoga, zakończonym ząbkowaną deską, sadzano okraciem rozebraną do naga kobietę i przesuwało go, co powodowało okaleczenie. – Helga umilkła i naślawiała uszu, bo wydawało jej się, że ktoś ociężałe wspina się po schodach. Pewnie woźny sprawdza, czy okna są zamknięte, pomyślała i dała znak pająkowi, aby czmychnął za doniczkę na parapecie. A gdy na schodach znowu było cicho, wyszła z ukrycia pod biurkiem biskupa, wskoczyła na fotel i kontynuowała swoją opowieść. – Te i jeszcze bardziej wymyślne narzędzia do zadawania tortur teraz są w muzeum, w średniowieczu stały w Domu Kijów, jak lud nazywał miejskie więzienie, czyli budynek, w którym zgod-

nie sobie mieszkamy. Narzędzia znajdowały się w piwnicy. Tam dzień w dzień wczesnym rankiem, żeby nikt podążający na targ obok murów nie słyszał jęków, kat męczył oskarżone, a sędziowie łowili ich słowa. Jeśli ofiara nie przyznawała się do zaprzędania duszy diabłu i drakońskie metody były nieskuteczne, w obawie o skonanie maltretowanej sędziowie obiecywali złagodzenie kary albo nawet uniewinnienie. Niektóre oskarżone w trakcie torturowania traciły zmysły i przyznawały się do uprawiania czarów. Nie jedna i nie dwie nie wytrzymały męczarni i wyzionęły ducha w Domu Kijów. Wtedy gorliwi sędziowie wyjaśniali bogobojnym mieszczanom, że kobieta oskarżona o czary została uduszona przez diabła, o czym miała świadczyć jej całkiem chwiejna i opuchnięta szyja.

– To nie może być prawda – powiedział przerażony Matthias, a pajak jeszcze bardziej się skulił.

– Babcia mojej babci mówiła, że gdy kat wyczerpał wszystkie metody torturowania i oskarżona nie przyznawała się do winy, uciekano się do ostatecznego sposobu. Była to tak zwana próba wody. Wycieńczoną, niepotrafiącą się bronić, po prostu wrzucano do stawu Herrenteich. Jeśli nie utonęła, świadczyło to o jej winie bardziej niż gdyby znalazła śmierć w zimnej wodzie. Wówczas, jak mówiła babcia mojej babci, skazywano ją na śmierć w płomieniach. Wyrok musiał zostać wykonany w ciągu sześciu tygodni i trzech dni od ogłoszenia sentencji.

Na biurku biskupa odezwał się telefon. Helga natychmiast zeskoczyła z fotela na podłogę i czmychnęła pod szafę. Mimo że po kilkunastu sekundach telefon zamilkł, mysz długo nie wychodziła z ukrycia jakby się bała, że woźny także usłyszał dzwonicie, wejdzie do gabinetu,

podniesie słuchawkę i spyta, kto jeszcze nie wie, że wieczorem kuria jest nieczynna, biskup zaś odprawia mszę albo jest u przyjaciół na kolacji.

– Helgo, nie mogę zrozumieć, dlaczego strażnicy miejscy, bo pewnie jeszcze nie znano policji państwowej, nie sprawdzali, ile prawdy jest w tym, o co sąsiedzi oskarżali kobiety. Dlaczego przed ogłoszeniem wyroku kat wymuszał torturami przyznanie się do winy? Przecież tak prowadzona rozprawa nie miała nic wspólnego ze sprawiedliwością – doszedł do wniosku pajak.

– Takie były czasy – wtrącił kornik, jakby usprawiedliwiał tych, którzy wtedy sprawowali władzę w Grünbergu. – Sprawiedliwość, Joachimie, każdy rozumie tak, jak mu wygodniej. Inaczej mówiąc, żeby nic nie stracić, a jeszcze lepiej: zyskać. Wtedy i teraz władza sprzyja silniejszym. Każda władza. – Matthias chciał dodać, że mimo iż wedle konstytucji sądy są niezawisłe, nie traktują wszystkich równo. Sędziowie wydają wyroki, opierając się na prawie uchwalonym przez tych, którzy sprawują władzę, ale nie był pewny, czy dobrze zapamiętał to, co mówił oficjał sądu biskupiego.

– Kto wtedy wyznaczał sędziów? – zaciekał się pajak.

– Nie wyznaczał, lecz powoływał – sprostowała mysz.

– Wtedy było identycznie jak dziś.

– To znaczy, że sędziowie również składali przysięgę?

– Osoba powołana na urząd sędziego ślubowała, że będzie wymierzała sprawiedliwość zgodnie z przepisami prawa, bezstronnie, według swego sumienia. Deklarowała, że będzie postępowała wedle zasad godności i uczciwości. Co innego teoretyczne zasady i co innego praktyczne życie. Jeżeli sędzia nie umiał wymusić przyznania się do winy, to

mogło oznaczać, że nie nadaje się do sprawowania tego urzędu – roześmiała się Helga. – Dlatego gdy na pytanie, czy spotykała złego, oskarżona odpowiadała: nie, sędzia komunikował, że na pewno jest winna. Nie przyznaje się, bo jako opętana chciała ukryć diabła, ogłaszał.

– Rozumiem, że wtedy trwała wojna religijna między protestantami i katolikami. Reformacja i kontrreformacja sprzyjały oskarżaniu osób słabszych. Dlaczego traktowano starsze kobiety tak, jakby nie były ludźmi, a życie ich nie miało żadnego znaczenia? Czyż nie było nikogo w Grünbergu, kto by stanął w ich obronie? Kto zatrzymałby ten proces? Co robił burmistrz i rada miejska? Dlaczego nie oskarżano mężczyzn o konszachty ze złym?

Identyczne pytania dręczyły Matthiasa, ale nie umiał ich sformułować tak, jak to zrobił Joachim.

Helga podniosła prawą łapkę, odchrząknęła, jak to robił biskup, gdy nie był przekonany, że zna odpowiedź na zadane pytanie, jeszcze raz przełknęła ślinę, jeszcze raz odchrząknęła i dopiero wtedy się odezwała:

– Pewnie byli i odważni mieszczanie, ale woleli milczeć. A co do mężczyzn, to uważano, że skoro Jezus nie uległ namowom szatana, to i każdy grünberczyk musi być odporny na jego zakusy. Pamiętaj, drogi Joachimie – dodała po namyśle – i ty, Mateuszu, że sędziami byli mężczyźni. Czy więc wypadało oskarżać przedstawiciela tej samej płci o tak nieczne czyny? A i jak oskarżać mężczyznę o kontakty cielesne z diabłem, skoro diabeł jest płci męskiej?

– Racja – wtrącił pajak i zaraz umilkł, bo wydawało mu się, że Helga ma jeszcze coś do dodania.

– Po tym, co usłyszałam od mamy i babci, zakradałam się do archiwum i przeglądałam protokoły. Może więcej

mężczyzn strażnicy doprowadzili przed oblicze sądu, jeszcze nie zdążyłam przejrzeć wszystkiego – przyznała się mysz. – Dotarłam do jednego wyroku, dotyczy on Christopha Kirschkego z Schertendorf, czyli Przylepu. Wcześniej owdowiała, zamieszkał u swego pasierba, gdzie służyła Elisabeth Seyfert. Tam wdowiec próbował smalić cholewki do służącej. A gdy przekonał się, że pasierb i służąca mają się ku sobie, postanowił zemścić się na jej rodzinie. Najpierw podpalił stóg siana na łące. Potem zakradł się na podwórze rodziców służącej i podłożył ogień pod obórkę. W pożarze zginął pastuch, który ratował krowy i cielęta. Doprowadzony przed grünberski sąd, bo wieś należała do miasta, Kirschke przyznał się do wszystkiego. Sędzia miejski, a był nim Johann Berthold, prawnik z dyplomem fakultetu uniwersytetu w Lipsku, uznał go za opętanego przez diabła i kazał oczyścić ogniem. Nieszczęśnik spłonął żywcem na placu u zbiegu dzisiejszych ulic Sowińskiego i Drzewnej, gdzie stała miejska szubienica i palono czarownice skazane na śmierć. Stało się to w 1696 roku. Zdaniem kronikarzy, Christoph Kirschke był ostatnią ofiarą średniowiecznych procesów o czary w Grünbergu.

Czosnek niedźwiedzi

- Jestem 06.1947 - przedstawił się i końcem czegoś, co przypominało płetwę nacisnął wypukły punkt na identyfikatorze, który zamigotał jaskrawą sygnaturką koloru smoczej krwi. - Mam stopień kwadrosa, czyli po waszemu kogoś pomiędzy komisarzem i kapitanem. Jeszcze powinienem podać miano. Ostatnio byłem Koniusz. Jak ten niedawno zmarły poeta. - Jego zimne, dotąd matowe oczy przepraszająco rozbłysły błękitem paryskim, a policzki zrobiły się jak czerwień kardynalska. - Przepraszam, zapomniałem zapukać do drzwi. Pomimo że zwierzchnicy uważają mnie za funkcjonariusza obytego z Ziemią, chyba nigdy nie opanuję wszystkich waszych prawideł. Procedury policyjne powtarzałem sobie jeszcze przed chwilą.

Od dobrych dwóch minut nadkomisarz Kleemann milczał. Owszem, takiego gościa się spodziewał, ale dopiero po południu, nawet zamówił dla niego obiad w kasyynie. Z samego rana miał zamiar jeszcze raz porozmawiać z księdzem profesorem z Wyższej Szkoły Komunikacji, który swoim dwukołowcem rozmyślnie potracił figurę Ruchu raeliańskiego, uważając ją za *deus ex machina*, wrogą studentom z kierowanej przez niego uczelni. A i musi uzupełnić protokół z przesłuchania doktora Koziółka, wedle którego wicedyrektor uniwersyteckiego Instytutu Astronomii ukradł wyniki badań pulsarów drugiego wymiaru. W południe zaprosił menedżera Palmiarni twierdzącego,

że nie docent Andrzejkian, lecz on odkrył pieczary pod Winnym Wzgórzem, gdzie na znalezionych tam naczyniach z epoki brązu znajdowały się znaki świadczące o tym, że jednak ludność cywilizacji łuzyckiej posługiwała się własnym pismem, kropka w kropkę jak alfabet łaciński. Pewnie nie wszyscy mają zwichnięte umysły, a takich nadkomisarz traktuje pobłażliwie, jeśli poza kanonadą słów z ich ust nie padają groźby. Dotąd w pokoju Kleemanna nie było policjanta nie tylko z sąsiedniej planety, ale nawet z innego kontynentu. Gdyby jego dziadek wstał z grobu i dowiedział się, kim jest 06.1947, pewnie natychmiast zostałby odwieziony na oddział dla osób zestresowanych w Poliklinice, a potem zostałby usunięty z policji z powodu aberracji.

Jeszcze na początku trzeciego tysiąclecia uczeni nie wiedzieli o istnieniu planety jota w jotę przypominającej Ziemię. Dopiero w 2015 roku, kiedy ku zaskoczeniu milionów kibiców żużla reprezentacja Polski złożona wyłącznie z zielonogórskich zawodników zdobyła drużynowe mistrzostwo świata, kosmolog Janusz Gil-Gilewski, sławny znawca pulsarów, odkrył Terminusa. Najpierw nazwał go Falubazem, potem Polakiem. Jednak później Międzynarodowa Unia Astronomiczna uznała to za nieodpowiadające regule, ponieważ określenie musi pochodzić od imienia rzymskiego boga. Rok po tym kosmosocjolog z planetomobilu „Thalloris” obwieścili, że znajdujące się tam istoty mają szersze biodra i są niższe od Ziemiaków, miejscce stawów zajmują przeguby podobne do sprzęgieł Cardana, krótsze odległości pokonują za pomocą dolnych kończyn ruchem posuwisto-zwrotnym, dłuższe skokami jak kangury, zamiast dłoni mają coś w rodzaju niezwykle elastycznej

płetwy chwytniej. Też pracują, odpoczywają, płodzą swoich następców, a ponieważ przeciętny wiek Terminusjani na przekracza osiemset lat, zaczyna im brakować miejsca. Próbowali zakładać kolonie na najbliższych planetach, niestety, ze względu na dużą kondensację dwutlenku węgla i niedobór związków wodorowych dłuższe przebywanie w takich warunkach było niemożliwe. Po przebadaniu wszystkich ciał niebieskich w Układzie Słonecznym i osiągalnych galaktykach, tamtejsi uczeni zgodnie stwierdzili, że jedynie reakcje chemiczne zachodzące na Ziemi nie niszczą ich jednostek. Mało tego, w warunkach ziemskich Terminusjanie upodobniają się do rdzennych Ziemian nie tylko wyglądem, lecz i charakterem. Oraz, czego wcześniej się nie domyślali, okres aktywności rozrodczej samic wydłuża się o co najmniej pięćset lat. Niestety, nie dotyczy to samców.

06.1947 przypomniał sobie, że na powitanie Ziemianki dotykają się policzkami, a Ziemianie podają sobie dłonie. Chcąc więc sprawić radość Kleemannowi, wyciągnął do niego lewą płetwę. Nadkomisarz ją chwycił, potrząsnął raz, potem jeszcze raz i wtedy doszedł do wniosku, że jest bardziej miła w dotyku niż aksamitne obicie tej kanapy, którą kilka dni temu kupił do dużego pokoju.

- Proszę usiąść - powiedział nadkomisarz i wskazał swemu gościowi odrapane krzesło przed biurkiem. Najwyższy czas je zmienić, pomyślał ze wstydem.

- Rozumiem, że swoim unikatowym wnikiem do pokoju tylko troszkę zaskoczyłem pana - powiedział 06.1947, usiłując sobie przypomnieć, czy najpierw zgąć przegub biodrowy, a potem oba przeguby kolanowe, czy zrobić to równocześnie, aby nie runąć na krzesło.

– Już w zeszłym tygodniu krajowe biuro Interpolu anonsowało przybycie pana... – Pomimo tego że Kleemann zapisał nazwę stopnia policyjnego swego gościa na czołowej stronie wizjofonu, z wrażenia o niej zapomniał.

– Jestem kwadrosiem policji – przypomniał 06.1947, wkładszy się do pamięci Kleemanna. – Mam najwyższy stopień w korpusie oficerów młodszych. I podobnie jak pan, nadkomisarzu, nie mogę się doczekać awansu do korpusu oficerów starszych. Być może stanie się to po tym, kiedy wrócę z opinią Interpolu, że bezbłędnie przeprowadziłem akcję na Ziemi. Niełatwą akcję – podkreślił – ale przy pana pomocy...

– Też tak myślę, panie kwadrosie – przerwał mu Kleemann i starał się być przyjazny, mimo że nie wiedział, na czym ma polegać jego pomoc. – Czym pana poczęstować? Na co pan ma ochotę

– Zanim odpowiem na to pytanie – Terminusjanin też uśmiechnął się przyjaźnie – spytam, co pan wie na temat skarbu barona Ungerna.

W zeszłą sobotę Kleemann był z wnukami w muzeum archeologicznym. Widział tam przedmioty ze złota pozostawione przez Scytów w pobliżu Witaszkowa. Co kilka lat dziennikarze przypominali o berlińskich archiwaliach ukrytych w podziemiach zamków i pałaców stojących w trójkącie Siedlisko – Głogów – Żagań, lecz żaden nie potrafił wyjaśnić, o jakie dokumenty chodzi i gdzie one czekają na odkrywcę. Każdego roku przesłuchiwał nowych poszukiwaczy Bursztynowej Komnaty, którzy dostawali się do tuneli Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego z nadzieją, że akurat im dopisze szczęście. Czytał o zaginionym zbiorze dzieł sztuki z kolekcji Talleyrandów, które

pod koniec drugiej wojny światowej Niemcy wywieźli z za-
gańskiego pałacu w stronę Kliczkowa.

- A dlaczego pan spytał, co wiem na temat skarbu ba-
rona Ungerna? Przyznaję się, że w tej sprawie jestem, jak
mówi mój starszy wnuk, zielony.

- To nie będę... bo może i lepiej... chociaż...

- Co, lepiej i chociaż? - Kleemann czuł, że kwadros
ukrywa przed nim coś bardzo ważnego.

- ...dzisiejsze moje przybycie do Zielonej Góry ma
związek ze skarbem barona Ungera - dokończył 06.1947.

- Pośrednio - dodał, jakby się usprawiedliwiał. Widząc
zaniepokojenie w oczach nadkomisarza, powiedział, że wła-
ściciel skarbu, czyli Roman Nicolaus von Ungern-Stern-
berg urodził się, wedle jednych źródeł, w austriackim Gra-
zu, wedle drugich, w Günthersdorfie.

- A ten Günthersdorf to gdzie leży?

- To drugie miejsce urodzenia, czyli Günthersdorf, nie
bardzo mi pasuje. A leży, może lepiej powiedzieć: leżało
niedaleko Zielonej Góry. To Zatonie. Dziś część miasta.

- Czyżby tam urodził się ten Ungern? - spytał
Kleemann z niedowierzaniem. Kwadros nawet nie przy-
taknął, jakby i on nie wierzył w to, co powiedział.

Cholera, kim jest czy był Ungern? Przyznam się, że nie
wiem, to pletworęki weźmie nie tylko mnie za mugola, ale
i wszystkich policjantów na Ziemi, pomyślał nadkomisarz.

Kwadros udał, że tego nie odczytał w jego mózgu, dla-
tego zaczął wykład:

- Gdy Roman miał sześć lat, rodzice się rozwiedli.
Matka ponownie wyszła za mąż za estońskiego Niemca
i razem z synem wyjechała do Tallina, który wtedy nazy-
wał się Rewelem lub Rewalem. Młody Ungern skończył

carską szkołę wojskową. Rewolta zwana rewolucją październikową zastała go na Syberii, gdzie dowodził dywizją konną. Nad Bajkałem walczył nie po stronie bolszewików, lecz przeciw nim i ich sprzymierzeńcom. Mało tego, ogłosił się niezależnym wojownikiem, którego celem było zaprowadzenie monarchii na całej kuli ziemskiej. Podbój świata zaczął od Mongolii, gdzie obwieścił, że jest nowym wcieleniem Czyngis-chana. Nazywano go Krwawym Baronem, ponieważ nikomu, kto go nie wspierał, nie darował życia, a przy tym rabował, co się dało. Przekazywano sobie, że jego bogactwem były skrzynie złotych i srebrnych monet z carskich mennic, posążki lamaickich bóstw pokryte płatkami złota, tabakiery z nefrytu, korale w srebrze, jaspisy, brylanty... Stając przed plutonem egzekucyjnym bolszewików w Nowosybirsku 15 września 1921 roku, miał wyznać, że skarb ukrył w sobie najbliższym miejscu. I że nikomu nie uda się go znaleźć w ciągu stu lat. Mimo to Rosjanie poszukiwali skarbu najpierw w pieczarach Tabun Tołogoi w Mongolii, potem w klasztorach pustyni Gobi, przy granicy z Chinami. Bez rezultatu. Amerykanie szukali skarbu w Afganistanie. Również bezskutecznie. Herman von Keyserling był najbliższym bogactwa barona, doszedł on bowiem do wniosku, że skoro Ungern uważał się za niemieckiego szlachcica, to swoje bogactwo ukrył w Tallinie.

– Dlaczego Keyserling i przede wszystkim dlaczego w Tallinie? – zaciekał się Kleemann, starając się odtworzyć w swojej wyobraźni mapę północnej Europy i Azji.

– Tylko Keyserling wiedział, że przyrodni brat barona Ungerna ożenił się z jego siostrą, Leonie, i zarządzał dobrami rodu... Niestety, poszukiwania skarbu w Tallinie nie zakończyły się sukcesem.

– Bo pewnie wszystko, o czym pan opowiada, jest historyjką stworzoną przez czekistów. Oni mieli talent do wymyślania fantastycznych opowieści. Podobno przepowiednie królowej z Sabby to też ich robótka.

06.1947 uśmiechnął się nieznacznie i po chwili wyrażnie pokręcił głową niezbyt zadowolony z tego, co usłyszał od nadkomisarza.

– Prawdopodobnie Keyserling nigdy nie rozmawiał z baronem Ungernem, dlatego nie znał wszystkich jego marzeń. A w głowie barona, panie nadkomisarzu, ulął się plan zastępczy na wypadek, gdyby nie udało mu się opanować całej kuli ziemskiej.

– Gdyby nie zaprowadził monarchii w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie? – pomimo tego że nie był pewny, czy akurat taki zamiar miał Ungern, spytał policjant.

– Postanowił, że jeśli nie zrealizuje swego podstawowego planu, to wróci tam, gdzie się urodził, czyli do Austrii. I żeby nie być na niczyjej łasce, a żyć w dostatku, zdecydował się przewieźć część skarbu gdzieś w pobliże swego domu. Ktoś z tallińskiego otoczenia podpowiedział Ungernowi, że najbezpieczniejszym miejscem może być ziemia żagańska, której panami są potomkowie Piotra Birona, księcia rodem z Kurlandii sąsiadującej z Estonią.

– W 1921 roku majątek żagański był w rękach francuskiej dynastii Talleyrandów – niepewnie przypomniał Kleemann.

– Mówi pan o pałacu w Żaganiu. Folwarki razem z ziemią i lasami wcześniej przeszły w ręce niemieckie, co nie oznacza, że kolejni właściciele dóbr stosowali się ściśle do nakazów państwowych. Dobrze urodzonym i rządzącym zawsze byli bliżsi inni dobrze urodzeni.

- Ręka rękę myje - rzucił nadkomisarz, ale 06.1947 tego nie zrozumiał.

- Tu by trochę pasowała informacja o jego drugim miejscu urodzenia, czyli o Günthersdorfie...

- O Zatoniu - powiedział Kleemann bardziej do siebie niż do swego gościa, w myślach robiąc sobie wycieczkę wokół ruin tamtejszego pałacu.

- ... gdyby nie to, że Roman Ungern przyszedł na świat w 1885 roku. Wtedy Günthersdorf był w posiadaniu barona Karla Friedenthala, ministra w rządzie Bismarcka, który sześć lat wcześniej kupił te dobra od Alexandra de Talleyrand-Périgorda.

- Zatem historyjka o skarbie ukrytym w Zatoniu nie bardzo pasuje do tego miejsca.

- Ostatnią właścicielką pałacu była córka barona Friedenthala, Renate von Lancken-Wakenitz. Gdy po 1945 roku wszyscy Niemcy musieli wyjechać za Odrę, pałac spalili Rosjanie, a jego właścicielka w łachmanach wałęsała się po polach i drogach. Coś szeptała i pokazywała ręką w stronę przyleśnej ni to polany, ni zapuszczonej łąki. Przesiedleńcy z Kresów Wschodnich nie znali języka niemieckiego, nie rozumieli więc, co do nich mówi. Uważali ją za pomyłą. Renate von Lancken-Wakenitz zmarła w 1947 roku w Zatoniu i została pochowana na miejscowym cmentarzu, niestety, nikomu nie udało się natrafić na jej grób.

- Natrafić? - spytał Kleemann, niewiele rozumiejąc z tego, co powiedział 06.1947. - Czyżby ktoś szukał jej grobu? W jakim celu?

- Wróćmy do wersji z umieszczeniem części skarbu między Żaganiem a Zieloną Górą, jak powiedziałem, na

ziemi kupionej przez księcia kurlandzkiego Piotra Birona i najbliższej miejsca urodzenia barona Ungerna. Otóż – Terminusjanin urwał, jakby nie był pewny, czy może wszystko powiedzieć – mąż córki ministra Friedenthala był spokrewniony z drugim mężem matki barona Ungerna. I to on podpowiedział Romanowi, gdzie mógłby ukryć swój skarb.

– Aha, wskazał Zatonie, czyli ówczesny Günthersdorf? – przypomniał Kleemann z niedowierzaniem. – Fantazja pana ponosi, kwadrosie. Z tego nie będzie awansu do korpusu oficerów starszych.

– Przewiezione do Günthersdorfu skrzynie zostały ukryte na Johannен Wiese – nic sobie nie robiąc z uwagi nadkomisarza, kontynuował 06.1947. – To była łąka, na której autor przebudowy parku w czasach Doroty Talleyrand-Périgord, Peter Lenne, umieścił kamienne grotty i nad nimi usypał kopiec. Do ustawionej na jego szczycie drewnianej altany prowadziła ścieżka w formie wijącej się wstążki. Tam księżna Dorota rozprawiała o dookolnym świecie z najbardziej światłymi ludźmi jej epoki. Na przykład z profesorem Alexandrem von Humboldtem z Berlina, arcybiskupem Dipenbrockiem z Breslau. Gdyby nie pozostawiony tam na pamiątkę kamień, nawet wprawne oko leśnika nie dostrzegłoby tego miejsca.

– I pan czy ktoś spośród Terminusjan natrafił na to miejsce? – spytał nadkomisarz z udawaną powagą w głosie. Kwadros milcząc kiwał głową. Kleemann kontynuował: – Aha, celem przybycia pana na Ziemię jest wydobyć skarb Ungera. A jakim zadaniem chce pan obarzyć oficera zielonogórskiej policji? – pokazał na siebie.

– Nie mam zamiaru niczego wydobywać. Część skarbu jest w waszej ziemi i stanowi waszą własność. Moja rola

polega na czym innym, o czym powiem za chwilę. Teraz może mnie pan poczęstować...

– Czy wypije pan kieliszek wina? – zapytał Kleemann. W biurku trzymał dwie butelki solarisa, które kupił podczas zeszłorocznego Jarmarku Winobraniowego.

06.1947 usiłował sobie przypomnieć, jaki wino ma smak i zapach. Dwa lata świetlne temu, kiedy pierwszy raz jego stopa dotknęła Ziemi, wszystko wydawało mu się nie tylko osobliwe, na co był przygotowany, ale przede wszystkim absurdalne i nielogiczne. Dziś trudno go czymkolwiek zaskoczyć, a niektóre metody typowania podejrzanych w dochodzeniach i śledztwach przeniósł na swoją planetę. Wprawdzie ze względu na pył w terminusjańskiej atmosferze niełatwo jest pobierać odciski linii papilarnych metodą barwienia palców na czarno, ale da się to zrobić za pomocą tomografii komputerowej. Zresztą policja na Ziemi tę metodę również zaczęła wykorzystywać na co dzień. Wiele innych pomysłów Ziemianie przejęli z Terminusa i stosują je z sukcesami, szczególnie w medycynie. Tylko jednego nie chcą: organizm niższy na Ziemi, zwany zwierzęciem, może mieć jednoczłonową nazwę lub kolczyk z numerem, ale człowiek musi mieć imię i nazwisko. Niektórzy mają po dwa, trzy imiona, nazwiska złożone z dwóch członów, inaczej je zapisują, inaczej czytają, jeszcze inaczej na siebie wołają. Przecież prościej jest nadać każdej istocie numer, a informację genetyczną, fotografię i inne dane przetrzymywać w centralnym komputerze, do którego mają dostęp jedynie istoty upoważnione. Gdyby Ziemianie posłuchali Terminusjan, 06.1947 nie musiałby tak długo lecieć z jedną sprawą służbową, tylko zadanie przekazałby do Unipolu, ten do Interpolu, Europolu lub

bezpośrednio do Komendy Głównej Policji w Warszawie.

– Powinniście mieć wspólny dla wszystkich istot ziemskich kod porozumiewawczy. Mam na myśli istoty nazywane przez was ludźmi oraz pozostałe, które określcie jako koń, pies, słoń, wąż...

Kleemann przerwał jego wypowiedź wybuchem perlistego śmiechu, a gdy się zorientował, że kwadros nie rozumie, skąd ta wesołość, wyjaśnił:

– Pomieszał pan dwa środowiska biologiczne. Owszem, jedni i drudzy są istotami żywymi identycznie jak flora, czyli świat roślin, ale nikt na Ziemi nie wymaga od konia, żeby umiał obsługiwać komputer. Wspomniany koń, mimo wielkiej głowy, ma za mały mózg, aby go użytkować na równi z *Homo sapiens*. Koń potrafi odczytać tylko podstawowe ruchy i najprostsze gesty człowieka. To samo pies. Wąż w ogóle nie reaguje na polecenia człowieka. Podobnie żółw, komar czy karaluch. To są organizmy żywe niższego rzędu. Są jeszcze istoty wręcz szkodliwe, na przykład wirusy i bakterie, które wywołują choroby prowadzące do śmierci.

– Po co je trzymacie, skoro nie ma z nich pożytku?

– Ależ, panie kwadrosie, jedne bakterie są zabójcze, inne pożyteczne i potrzebne. Mają inne zadania do wykonania.

– Kto wyznacza im te zadania?

– Jedni uważają, że Pan Bóg stworzył Wszechświat i On wyznacza zadania, inni, że przyroda.

– To Pan Bóg czy przyroda nie może określić jednolitego sposobu kodowania wszystkich istot, tak jak to jest u nas? Jeśli mój kod otwiera znak ☯, każdy na Terminusie wie, że mam prawo do reprodukcji postaci tej grupy wyłącznie z istotą mającą ten sam znak. Ostatni w kodzie

jest , wskazuje on, iż powstały twór będzie niezbędny w służbach ładu i porządku publicznego oraz wymiaru sprawiedliwości stopnia zasadniczego. Proste i metodycznie uporządkowane, panie nadkomisarzu.

– U nas były podobne próby. Powstał sztuczny novial, solresol, język talosański, wszechsłowiański – powiedział Kleemann. – Polak doktor Zamenhof stworzył uniwersalny język esperanto. Niestety, części ludzkości wydał się za trudny. Tysiąc lat temu wspólnym językiem wykształconych Europejczyków była łacina, potem francuski, po nim większość mówiła po angielsku, a na części kontynentu euroazjatyckiego można się było porozumiewać po chińsku i rosyjsku. Niemiecki jako kolejny język międzynarodowy większość akceptuje od niedawna.

– Myśmy dopiero konstruowali stację badawczą, a wasi astronauta już stawiali stopę na Księżycu. Dziś my mamy regularne połączenia z większością zamieszkałych planet, wy nie potraficie powtórzyć wylotu na bezludny Księżyc.

– Regularnie bywamy na Terminusie. Nasi uczeni wygłaszają referaty na waszych uniwersytetach.

– A gdybyście brali z nas przykład, bylibyście we wszystkich odkrytych galaktykach. Dlaczego wy, Ziemiańskie, komplikujecie sobie życie, zamiast je upraszczać?

– Odpowiem panu może niegrzecznie, ale pan mi wybaczy, bo to myśl wybitnego mędrca i krytyka zurzędniczenia, Mikołaja Gogola: „Radę, którą dajesz drugiemu, zastosuj również do siebie”.

06.1947 zrobiło się nieswojo. Podniósł kieliszek i przełamał jego zawartość do słuzy gardłowej, a chwilę później westchnął z wyuczonym zachwytem i dodał:

– Smakowite.

– Zatem jakież zadanie sprowadza pana do Zielonej Góry? – spytał Kleemann, wędrując w myślach po łąkach i lasach w pobliżu Zatonia. Był tam wiele razy, ale nigdzie nie zauważył miejsca, które miałyby kryć skarb.

– Sprowadza mnie akcja natury politycznej – odpowiedział kwadros. Nadkomisarz zrobił pytające oczy. Widząc to, kwadros wyjaśnił, że na Terminusie istnieje organizacja, założona przez młodego doktora antropogenetyki, której celem jest przejęcie władzy we Wszechświecie. Jej członkowie to perfekcyjne i przy tym bezwzględne stworzy owego doktora. W kilku prowincjach wygrali wybory, lecz szybko się okazało, że nie w celu działania na rzecz wspólnoty, a po to, aby podporządkować sobie społeczność i prowadzić badania naukowe najwyższego stopnia. – Ten doktor uważa siebie za kogoś w rodzaju nadboga. Dyktatora, jak u was mówią.

– Chce pan powiedzieć, 06.1947, że przybył z ostrzeżeniem, bo skoro owemu doktorowi nie udało się zdobyć władzy absolutnej na Terminusie, to będzie próbował przejąć Ziemię w swoje władanie? – zapytał Kleemann, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Czy słusznie podejrzewam?

– Stworzy doktora są na Ziemi od dawna. Także w Polsce. Mam to panu jaśniej przybliżyć?

– I może przedostały się do kancelarii naszych rządów? Podpowiadają ministrowi spraw wewnętrznych, jak ma się zajmować policją?

Kwadros podniósł obie płetwy, jakby dawał Kleemannowi do zrozumienia, że są pytania, na które nie może odpowiedzieć.

– Na pewno są już we wszystkich stolicach regionów państw tworzących Unię Europejską.

– W Zielonej Górze również?

- Powiedziałem, że we wszystkich.
- Ma pan na myśli Iluminautów?
- W przeciwieństwie do stworów naszego dyktatora Iluminauci nie są groźni dla Ziemian.
- Ależ z pana fantasta, 06.1947. Miałby pan sale pełne słuchaczy w naszej Wyższej Szkole Komunikacji.
- Pod wpływem azotu występującego w ziemskiej atmosferze stworzy naszego dyktatora dyktatora upodobniły się do ludzi. Interesuje ich wyłącznie podporządkowanie Ziemian owemu nadbogowi. To są bardzo niebezpieczne istoty.
- Może ci, którzy mają większość w polskim parlamencie, to reprezentanci tego dyktatora z Terminusa? A może i prezydentem naszego miasta jest Terminusjanin? Coś mi tu nie pasuje, panie 06.1947, bo gabinet prezydenta miasta zajmuje ten sam mężczyzna, jeśli dobrze pamiętam, od piętnastu lat.
- Przestanie pan się śmiać, kiedy usłyszysz, że dyktor-dyktator wie, gdzie jest ukryty skarb barona Ungerna. Jego delegat obiecał przewodniczącemu opozycji w naszej radzie miejskiej, że jeśli pomoże mu przejąć władzę w mieście, dostanie część skarbu. Identyczne zapewnienie złożyli pozostali delegaci, którzy są w Warszawie, Kopenhadze, Stuttgarcie, Strasburgu i Brukseli, nawet w Valetcie. To ogromny skarb. Każdemu liderowi opozycji opłaci się. I w ten sposób spełni się marzenie barona Ungerna, aby jeśli nie na całej Ziemi, to w Unii Europejskiej panował nowy ustrój.

Dotąd opowieść kwadrosa bawiła Kleemanna, teraz zacisnął usta, żeby nie wybuchnąć złością. Zmarnował co najmniej pół godziny. W tym czasie przeczytałby protokół

przesłuchania doktora Koziółka. A może 06.1947 to nie Terminusjanin, tylko jeszcze jedno indywiduum ze zwichniętym umysłem? Psychol przebrany za cudaka. Albo aktor. Jak to się rozniesie... Którędy on się dostał do komendy?

– Ja jestem tu, w pokoju na pierwszym piętrze gmachu przy ulicy Partyzantów 40. To miejsce pracy pana – 06.1947 nie miał zamiaru czegokolwiek zmieniać w umyśle nadkomisarza. – W każdej stolicy unijnego regionu są moi koledzy, którzy w identyczny sposób wyjaśnią pańskim kolegom, co się stanie, jeśli ci odrzucą natychmiastową pomoc.

– Policja odpowiada jedynie za bezpieczeństwo społeczeństwa. Bezpieczeństwo państwa to zadanie służb specjalnych. Staramy się nie wchodzić sobie w paradę – powiedział Kleemann, zastanawiając się, czy nie ujawnił za dużo. – Ale skoro stwory z Terminusa starają się wniknąć do samorządów, to i pewnie spróbują opanowaną naszą Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego – dodał tonem żartobliwym. Ciągłe nie wierzył w to, co usłyszał od kwadrosa. Po chwili przypomniał sobie, że podczas urlopu przeczytał w którymś tabloidzie rozmowę z jasnowidzem na temat istot mających opanować Wszechświat do końca roku. Według tego profety, będą to postaci, które zaprzedały duszę diabłu albo obce istoty. Wtedy podczas urlopu tę przepowiednię uznał za fantazję niezdrowego człowieka.

– Pan mi nie ufa – powiedział 06.1947, sprawdzwszy, co się dzieje w mózgu nadkomisarza.

– Staram się...

– Przyleciałem wyłącznie po to, aby zapobiec katastrofie, jaką mogą spowodować stwory doktora-dyktatora – policjant z Terminusa pokazał na pojemnik, który zaraz

po wnikięciu do pokoju Kleemanna postawił przy szafie.
– W pierwszej komorze jest skondensowany wodór, wchodzący w błyskawiczną reakcję z atmosferycznym azotem. W drugiej mam suchy lód, czyli zestalony dwutlenek węgla.

– Aa! – wykrzyknął Kleemann udając, że wszystko rozumie.

– W najbliższym otoczeniu istoty podejrzanej trzeba zmienić skład atmosfery ziemskiej na terminusjańską.

– Ale jak to zrobić?

– Przy pomocy pana nadkomisarza da się to przeprowadzić błyskawicznie i z zachowaniem bezpieczeństwa – starał się go uspokoić Terminusjanin. – Mam do pana tylko jedną prośbę.

– Moja władza jest ograniczona, kolego kwadrosie, mimo to postaram się zrobić tyle, na co zezwalają procedury policyjne i ile potrafię.

– Rozumiem i niczego ponad przepisy nie oczekuję. Gdybym jednak w sztucznie zmienionej atmosferze... wrócił do terminusjańskiego stanu, proszę... błagam w imię naszej znajomości, aby pan nie pozwolił, żeby moja postać nie stała się przedmiotem dociekań badaczy z instytutu profesora Jerzaka.

– Kto wydaje przyjaciela, ten nie jest wart splunięcia – powtórzył Kleemann czyjaś sentencję, ale nie pamiętał czyją. Na jego szczęście 06.1947 o to nie zapytał.

– Początek akcji punktualnie o godzinie trzynastej czasu uniwersalnego. Czyli za dwa kwadranse.

Kleemann odwrócił głowę w stronę wizjofonu, gdzie migotały cyferki zegara. Gdy kwadros dwa razy nacisnął wypukły punkt na identyfikatorze, rozjaśnił się chronometr.

– Czyli już musimy wyjechać – zdecydował kwadros.

Jak ten ufoludek wyobraża sobie przeprowadzenie takiej akcji? – zastanawiał się nadkomisarz w drodze z komendy przy Partyzantów 40 do Urzędu Miasta przy Podgórnej 22. Do budynku dostaniemy się bez trudu. Jeśli nawet ochroniarz zechce sprawdzić, co kwadros ma w walizeczce, wylegitymuję się specjalną kartą wstępu do wszystkich gmachów publicznych. Potem po schodach na pierwsze piętro, jedne drzwi po prawej stronie, drugie i co dalej?

Brakowało półtorej minuty do wyznaczonej godziny, kiedy zatrzymali się na korytarzyku. Gość z Terminusa podniósł prawą kończynę, ale nią się nie podparł, tylko stanął w pół kroku jakby zawisł nad podłogą.

– Wchodzimy punktualnie o trzynastej. Za chwilę otrzyma pan dwie maski lateksowe. Jedną założy pan sobie na głowę jeszcze przed drzwiami, drugą wciśnie asystentce prezydenta tuż po naszym wtargnięciu do sekretariatu. Ona nie może pisać ani cokolwiek nacisnąć na konsoli przy swoim biurku. – Kwadros wyjął z pojemnika maski podobne do ochraniaczy na buty, które tkwią w pojemniku za wejściem szpitala klinicznego przy Wazów.

– A pan...?

– Ja, gdybym nie miał przy sobie tych urządzeń, wniknąłbym do gabinetu prezydenta niezauważalnie. Tak jak do pana pokoju. Muszę przez drzwi. Zanim ktokolwiek zorientuje się, kim jestem, najpierw błyskawicznie uwolnię wodór, potem dwutlenek węgla. Na przeprowadzenie akcji mamy piętnaście sekund.

– A jeśli się nie zdążymy?

– Ćwiczyliśmy to we wszystkich biurach na Terminusie, panie nadkomisarzu. Skoro u nas się udało, musi się

udać na Ziemi. W przeciwnym razie nie mam po co wracać na moją planetę. Pana szef też nie będzie zadowolony.

Wystraszona asystentka prezydenta nie zdążyła pisnąć i nawet nie próbowała się bronić, gdy na jej najmodniej ostrzyżoną głowę Kleemann nasuwał maskę. Zająty tą niecodzienną czynnością nadkomisarz nie zauważył, kiedy 06.1947 dostał się do gabinetu prezydenta i z jaką precyzją naciskał guziki wystające z walizki.

– Już po wszystkim, panie nadkomisarzu! – usłyszał zza rozchyłonych drzwi. Gdy stanął w progu, zobaczył dwa stwory niższe i grubsze niż oparty o biurko doradca prezydenta, którego znał tylko z telewizji i internetu. Oba miały niewielkie głowy i identyczne pletwy jak ta, którą potrzasał w swoim pokoju. Wyglądały dokładnie tak, jak je opisali kosmosocjolodzy z planetomobilu „Thallori”.

– Ten stwór już nigdy nikogo nie skrzywdzi – usłyszał Kleemann, ale nie wiedział, kto to powiedział.

– Matko przenajświętsza! – krzyknęła asystentka i zemdlna usunęła się na podłogę.

– Jeśli nadal pan uważa mnie za swego przyjaciela ze służby, proszę nie oddawać mnie ludziom doktora Jerzaka – głosem 06.1947 odezwała się istota stojąca tuż przy doradcy prezydenta. – Wymiana wodoru na azot w reakcji z dwutlenkiem węgla w atmosferze ziemskiej spowodowała nie tylko powrót stwora udającego prezydenta do postaci terminusjańskiej. Ja również wyglądam tak, jaki jestem na swojej planecie.

– Pierwszy raz widzę pana w oryginale, kwadrosie. Pan jest zabawny – roześmiał się Kleemann i ugryzł się w język.

– Przypuszczalnie ten, kto przygotował instrukcję unieszkodliwienia wysłannika doktora-dyktatora, pominął

bardzo ważny nakaz – powiedział Terminusjanin, przyciskając górne kończyny do swego korpusu, jakby chciał coś ukryć albo się wstydził. – Przystępując do takiej akcji jak ta, my, policjanci, powinniśmy być w skafandrach.

– Tak – zgodził się z nim nadkomisarz, chociaż nie rozumiał, jak to możliwe w warunkach ziemskich, aby reakcja chemiczna spowodowała powrót kwadrosa do postaci terminusjańskiej. – I co teraz będzie?

06.1947 spojrzał na niego, jakby prosił o mądrą radę albo pomoc, ale Kleemannowi nic nie przychodziło do głowy. Za kilkanaście minut rzeczniczka prasowa prezydenta Zielonej Góry zwoła konferencję i poinformuje dziennikarzy o tym, co się wydarzyło na pierwszym piętrze biurowca przy Podgórnej 22. Jak to dobrze, że poza asystentką nikt nie widział kwadrosa i drugiego stwora. Ale czy ona potrafi trzymać język za zębami? Gdyby tu weszła zastępczyni prezydenta lub skarbniczka, a to osoby najczęściej zaglądające do gabinetu włodarza miasta, wybuchłaby panika nie do opanowania.

– Wycofujemy się – rozkazał cicho nadkomisarz. Chwyciwszy jedną ręką policjanta z Terminusa za górną kończynę tam, gdzie się zaczyna pletwa, wyciągnął go do sekretariatu i ramieniem popchnął drzwi na korytarz.

Kwadros zdawał sobie sprawę z tego, w jak kłopotliwej znalazł się sytuacji, toteż nie protestował i o nic nie pytał. Dopiero gdy dostali się do radiowozu, Terminusjanin spytał, czy Kleemann odwiezie go na miejsce zbiórki.

– O siedemnastej czasu uniwersalnego muszę zameldować się na Jagodowym Wzgórzu – wyjaśnił, ale nie ujawnił, w jaki sposób wydostanie się z Ziemi.

– To za ponad trzy godziny.

– Teraz niech pan jedzie na Zatonie – polecił 06.1947.

Nadkomisarz powinien zawiadomić komendanta albo jego zastępcę, gdzie jest i czym się zajmuje. Był przekonany, że gdyby postąpił zgodnie z procedurą, przełożeni znaleźliby sto powodów, aby go wezwać do komendy. Dlatego wyłączył wszystkie urządzenia radiolokacyjne, nie pomijając smartfona i ekstrawideokomórki, a konsolę przykrył płytką odbijającą fale elektromagnetyczne.

Po dziesięciu minutach spokojnej jazdy, zgodnie z życzeniem kwadrosa, zatrzymał radiowóz na skraju przypałacowego parku, gdzie dawniej stała widoczna z daleka złota brama. Z walizeczki, z którą nigdy się nie rozstawał, Terminusjanin wyjął coś podobnego do fotoradaru, jakie stoją przy drogach. Może to był kompas albo lokalizator elektroniczny.

– Stąd do pewnego miejsca na Łące Joanny jest dokładnie dwieście osiemdziesiąt metrów na wschód. Zrobi pan jeszcze sześćdziesiąt dwa wydłużone kroki. Tam na głębokości pięciu metrów znajduje się wejście do kamiennych grot. Czy mam panu wyjaśnić, co się w nich znajduje? – zapytał gość z Terminusa.

– Przypuszczalnie część skarbu barona Ungerna.

– I jeszcze coś ważniejszego niż część skarbu. Jak pan sądzi, co to jest?

– Odręcznie sporządzona mapa ze wskazaniem miejsca, w którym baron ukrył pozostałą część.

Terminusjanin przytaknął. Kleemannowi wydawało się, że i potwierdził to kiwnięciem głowy, chociaż nie wiedział, czy to, w czym szklify się jasne punkty, było głową i na pewno tkwiło na szyi. Mityczni Blemmjawie chodzili, łowili, uprawiali rolę, a nie mieli głów.

– Kogo pan powiadomi albo co zrobi z tym, co znajdzie w grocie? – z zainteresowaniem spytał gość z Terminusa i spojrzął w ciemne oczy Kleemanna, w których zobaczył swoje odbicie.

– Panie kwadrosie, skoro część skarbu barona Ungerna i mapa od stu lat leżą ukryte w kamiennej grocie, niech tam zostaną na zawsze. Po co mają wywoływać zawiść jednych i zmartwienie drugich?

– Gdybym był Ziemianinem, postąpiłbym identycznie – powiedział 06.1947. I wyciągnąwszy tę swoją aksamitną płetwę do Kleemanna, dodał: – Chciałbym, abyśmy znowu się spotkali. W innych okolicznościach. Byłoby mi bardzo miło gościć pana nadkomisarza na Terminusie. A tak przed pożegnaniem. Zatonie, to rzadkie miejsce, gdzie rośnie czosnek niedźwiedzi. U was ta roślina jest pod ochroną. I dobrze, bo skutki jej spożywania mogą być katastrofalne. Nie życzę panu tego, co się mnie przytrafiło.

Dopiero kiedy Kleemann został sam w radiowozie pożałował, że nie zapytał kwadrosa, co ma wspólnego czosnek niedźwiedzi z tym, co mu się przytrafiło.

Chłopiec z konikiem

- Komenda Miejska Policji w Zielonej Górze, oficer dyżurny, słucham – komisarz Syski jednym tchem wyklepał formułkę i zerknął na wyświetlacz. Nie licząc krótkiej rozmowy z komendantką jeszcze wieczorem, było to sto osiemdziesiąte szóste połączenie z telefonu komórkowego. Dopiero minęła trzecia, więc do białego rana rekord z zeszłej niedzieli, kiedy Syski także miał służbę, zostanie pobity. Siedzący na sąsiednim krześle pomocnik oficera dyżurnego, aspirant Basta, również cały czas z kimś rozmawiał i coś zapisywał w książce przebiegu służby. Pewnie gdyby w dyżurce było miejsce dla trzeciego policjanta, również nie miałby kiedy się wysikać.

- Policja? – spytała osoba po drugiej stronie, jakby chciała mieć gwarancję, że połączyła się z komendą, bo niewyraźnie usłyszała to, co po raz sto osiemdziesiąty szósty tej nocy powiedział Syski.

- Komenda Miejska Policji w Zielonej Górze, oficer dyżurny, słucham – powtórzył komisarz wyraźniej i wolniej. Zawsze starał się być z jednej strony miły wobec telefonujących, z drugiej oficjalny. W niedzielę o trzeciej nad ranem najczęściej dzwonią desperaci, ubzdryngolone aparaty, pojeby do sześcianu i tacy, którym się wydaje, że są jajcarzami. Zdarzają się naprawdę potrzebujący natychmiastowej pomocy, a że nie wiedzą gdzie jej szukać, dzwonią do policji.

– Ukradli naszego konika! – wpadł do uszu komisarza jazgotliwy głos kobiety.

– Nie zrozumiałem, proszę powtórzyć. – Syski pochylił się i przykleił spojrzenie do ekranu monitora. Aha, telefonująca zalogowała się w centrum miasta. Współrzędne pokazywały administracyjny środek Zielonej Góry. Kilka-naście sekund później wiedział, że kobieta, która o trzeciej siedem dzwoni do komendy, sterczy na zachodnim zboczu Winnego Wzgórza. Jest na schodach, na wprost zejścia do alei Konstytucji 3 Maja i Wrocławskiej. Trzeźwa? Komisarz nie założyłby się z aspirantem Bastą nawet o dziesięć groszy, że kobieta nie wypila więcej niż powinna.

– Ukradli naszego konika!

– Najpierw proszę podać swoje dane. Nazwisko, imię, skąd i dlaczego pani dzwoni...

Kobieta po tamtej stronie trzeci raz zawołała, że ukradli konika. Którego konika można ukraść z miasta? Co innego gdyby telefonowała z Drzonkowa, gdzie są stajnie, ujeżdżalnie, hipodrom i pewnie tylko duch Majewskiego wie, jak nazwać to, co jeszcze tam się znajduje.

– Halo, panie policjancie! – Teraz Syski usłyszał męski głos. – Magister Jarek Rogalski. Byłem z moją dziewczyną w Palmiarni. Owszem, wypiliśmy, ale nie aż tyle, żeby zgubić licznik i zapomnieć o bożym świecie. Oboje jesteśmy po studiach magisterskich. Zamierzamy się doktoryzować. Pan mnie rozumie?

Komisarz kiwnął głową i zaraz złapał się na tym, że powinien przytaknąć, bo przecież tamten na Winnym Wzgórzu go nie widzi.

– Na razie wszystko rozumiem. Proszę dalej. O co chodzi?

- Przyjechałem ze Szczecina. Nie znam miasta. Paulina, z którą studiowałem etnologię w Poznaniu, jest stąd, to znaczy z Zielonej Góry. Tu ma rodziców. Jej brat pracuje w radiu Zachód. Na Boże Narodzenie planujemy ślub.

- Gratuluję i błagam, żeby pan magister się streszczał.

- Jeszcze w Palmiarni Lilly, to znaczy Paulinka, moja dziewczyna, powiedziała, że pokaże mi ciekawe miejsce, niedaleko stąd, gdzie jako dziecko prawie każdej niedzieli przychodziła z rodzicami. Najpierw ojciec ją sadzał na jakimś koniu, a mama robiła zdjęcie. Potem ojciec sadzał jej brata na tym samym koniu i mama znowu robiła zdjęcie. Tego Lilly nigdy nie zapomni.

- Panie magistrze...

- Już, już. Po opuszczeniu Palmiarni, zeszliśmy tak gdzieś do jednej trzeciej schodów w stronę stacji benzynowej, Lilly stanęła jak wryta i krzyknęła, że nie ma konika. Ukradli konika!

- Mówi pan o tej rzeźbie, co stoi niedaleko Palmiarni?

- Tu nie ma żadnej rzeźby. Owszem jest cokół, ale pusty.

- Panie...

- Jak Boga kocham! Cokół jest pusty.

- Cokół jest pusty? Aha, kosmici buchnęli rzeźbę, co, bo kto by inny? Przylecieli z Marsa albo z jakiegoś Księżyca i w nocy buchnęli.

- Moja dziewczyna mówi, że...

- Kończ waść, wstydu oszczędź.

- ...tu był chłopiec i konik. Z brązu. Tak twierdzi Lilly. Odkąd ona pamięta, rzeźba zawsze stała na zboczu. A teraz jej nie ma.

- Pana dziewczyna, to znaczy pani Paulinka na pewno dobrze się czuje? – spytał komisarz łagodniejszym tonem.

– Nie zaprzeczam, że we dwoje wypiliśmy butelkę miejscowego białego müllera thurgaua z jakiejś podmiejskiej winnicy. Mimo to jestem trzeźwy. A po tym, co powiedziała Lilly, to jak dzika świnia na zakręcie. Lilly również.

– A może dziewczyna, panie magistrze, powiedziała, że to byli złomiarze, co? Odcięli żrebakowi głowę, tułów przetrzęśli na pół, nogi odrabali. Zabrali konika z kopytami. Ha, ha. I to samo zrobili z chłopcem. Panie magistrze, żeby tę rzeźbę ukraść, najpierw trzeba wtaszczyć na wzgórze jakieś piły, nożyce, młoty. Czy ci, którzy przed wami wychodzili z Palmiarni, tego by nie zauważyli? A jak złomiarze cięli rzeźbę, to nikt nie słyszał jazgotu piły? Nie widział ich? Mam uwierzyć, że w środku miasta nikt niczego nie zauważył?

– Panie komisarzu, ja naprawdę...

– Fantazjuje pan magister. To znaczy pańska dziewczyna fantazjuje – sztychł policjant. Miał na końcu języka, że dziewczyna głądzi jak Duda na stoku, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. – Potwierdzam przyjęcie zgłoszenia. Informuję, że policja postąpi zgodnie z obowiązującymi procedurami. Życzę szczęśliwego powrotu do domu. Radeż jednak wezwać taksówkę.

Syski chciał powiedzieć do swego pomocnika, że różne brednie zgłaszali zielonogórzanie, ale to, co usłyszał przed chwilą, przekraczało jego wyobraźnię. Czy jest możliwe, żeby spod Palmiarni, z samego środka miasta, nawet pod osłoną nocy ukradziono rzeźbę? Jakich trzeba użyć narzędzi, żeby ją pociąć na kawałki? Jak te kawałki znieść po schodach, żeby nikt nie zauważył złodziei? I co z nimi dalej?

Fakt, od kiedy przy wejściu na deptak między hotelem Śródmiejskim a dawnym Empikiem zadowolony Bachus

z brązu czeka na kolejne Winobranie i w zaułkach wokół Starego Rynku rozsiadły się jego pociechy Expertus, Silvanus, Zlopikus, Belferus Zenepus, Aldemus, Magicus Zamiennicus, Uzetikus i jeszcze ze trzydzieści małych kopii boga wina, policja ma dodatkową robotę. W dzień i w nocy, nawet w Boże Narodzenie, radiowóz musi jeździć po uliczkach śródmieścia, a mimo to złomiarze jednym bachusikom odcinają głowy, drugim odłamują ręce i nogi, trzecich zabierają w całości. Bo rzeźby są ze szlachetnego brązu. Ale czy tylko złomiarze kradną i wyłącznie dlatego, żeby je sprzedać i mieć na bełt w kartoniku? Może i tacy, którzy chcą oglądać miniaturową rzeźbę przed swoim domem?

Bachusiki są niewielkiego wzrostu, to da się je ukraść, ale nie wyrosniętego młodzieńca z konikiem. Syski pamięta, że na początku lat sześćdziesiątych, kiedy pierwszy raz poszedł z ojcem na Winne Wzgórze, na schodach stała ta rzeźba. I już wtedy każda wycieczka zakładowa czy szkolna, każda delegacja oficjalna i mniej ważna, wszyscy, którzy wspinali się do schodach do Palmiarni, zatrzymywali się przy nagim chłopcu próbującym ujarzmić żrebaka. Kobiety podziwiałały sylwetkę harmonijnie zbudowanego młodzieńca, głaskały napięte uda i niby w żartach czubkami palców obejmowały jego drobne przyrodzenie. Siusiorek chłopca lśnił, jakby był odlany ze szlachetnego złota. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś próbował ukraść te rzeźby.

Na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia mieszkańcy Krosna Odrzańskiego dowodzili, że do końca lat czterdziestych dwudziestego wieku ten sam chłopiec ujarzmił żrebaka w ich mieście, dlatego powinien wrócić na swoje miejsce, ale ostatnio sprawa zwrotu rzeźby przycichła.

Zresztą Syski, Basta i tysiące zielonogórczan nie wyobrażają sobie schodów po zachodniej stronie Winnego Wzgórza bez chłopca z konikiem. Oprócz Palmiarni i Winobrania to najbardziej rozpoznawalny znak Zielonej Góry. Jak kolumna Zygmunta na placu Zamkowym w Warszawie. Jak pomnik Mickiewicza na krakowskim Rynku. Jak figura Chrystusa Króla Wszechświata w Świebodzinie.

Ledwie komisarz skończył rozmowę z Jarkiem, gdy znowu zaczęła pulsować zielona dioda na pulpicie sterowniczym. Syski wdusił guziczek, po raz sto osiemdziesiąty siódmy tej nocy przedstawił się i sięgnął po długopis. Usłyszał, że przez skrzyżowanie Sienkiewicza ze Strzelecką przeszedł jakiś chłopiec i koń.

– Jeszcze jeden czubek – przykrywszy dłonią główkę mikrofonu, powiedział do aspiranta Basty. A tego, który telefonował, spytał: – Pan na pewno dziś nic nie łyknął?

– Nie rozumiem – usłyszał w odpowiedzi.

– Od wczoraj pan nie wytrzeźwiał czy mimo późnej nocy już coś wypił? Noc z soboty na niedzielę, to niektórzy pozwalają sobie na więcej.

– Podejrzewa pan, że jestem pod wpływem alkoholu i dlatego mam przywidzenia? Wolno panu o to mnie pośądzać, ale ani kropelki tego, o czym pan myśli, od dawna nie brałem do ust. Już zapomniałem, jaki smak ma alkohol. Panie policjancie, w moim wieku z rana pije się doppelherz i napar z melisy na sen wieczorem.

– No, dobrze, już dobrze – starał się ułagodzić rozmówcę komisarz. Jeszcze dziadziś zadzwoni do komendantki i szefowa mnie opierdzieli jak święty Michał diabła na karuzeli. Jej poprzednik to był swój chłop, a inspektorka nie pieści się z podwładnymi, pomyślał. Będzie miała okazję

polecieć po premii albo każe zabierać dupę w troki i fora ze dwora na emeryturę. – To jakiego ducha żeś pan widział o trzeciej piętnaście nad ranem?

– Ducha?... Najpierw pan mnie pyta, czy coś wypilem i posądzą o przywidzenia. Teraz duch. Chociaż z duchami może to ma coś wspólnego.

– Niech pan się streszcza, panie starszy.

– Pan jest młodszy ode mnie, to jeszcze nie wie, że seniorzy, jak to kiedyś się mówiło, idą spać z kurami i wstają wcześniej. Mnie pięć godzin snu wystarcza. Budzę się o drugiej w nocy i co robić? Czytać? Już nie te oczy. Można słuchać Radia Maryja, ale ja jestem wierzący wątpiący. To wstaję, ubieram się i spaceruję po osiedlu Słowackiego. Zimą przez godzinkę, czasem dwie. Latem dłużej. A gdy pada deszcz... Dziś noc ciepła, przeto podreptałem Strzelecką aż do skrzyżowania z Sienkiewicza, gdzie migają światła.

– Aha, i tam rzucił się panu w oczy goły chłopak prowadzący konia? – przerwał mu komisarz, żeby zakończyć rozmowę. – Zajmiemy się tym.

– Najpierw myślałem, że mi się przywidziało. Ale nie. Chłopak szedł przodem, koń. Właściwie konik. To ja myk za drzewo i potem krok w krok za nimi się skradałem. Jeżeli skręca na podwórze trzeciego liceum, pomyślałem sobie, to na pewno uczniowie. W moich czasach jeszcze bardziej nieprawdopodobne zbytki się robiło.

– No i poszli prosto czy skręcili?

– Skręcili, ale nie do liceum.

– Pewnie na podwórze Gwardii?

– Zgadł pan. Tam brama zawsze jest otwarta.

– A ten konik to jakiego był koloru? Kary, gniady,

może... może...? – Syski wybierał w pamięci umaszczenie koni. Przypomniawszy sobie, że wiele lat temu nawrócony komendant, jak śmiali się dzielnicowi z komisariatu na Pomorskim, próbował zrobić z nich jeźdźców. Najpierw posłał ich na kurs jeździecki do Raculki, a potem wynajął sześć wałachów. Z wysokości końskiego grzbietu policjanci mieli widzieć więcej i lepiej słyszeć. Eksperyment jeszcze się nie zaczął, a już się zakończył, bo zabrakło pieniędzy. – O, może ten konik był maści srokatej?

– Nie znam się na umaszczeniu koni. Z wykształcenia jestem lekarzem, patomorfologiem i specjalistą w zakresie medycyny sądowej. Do niedawna jako wykładowca uniwersytecki prowadziłem zajęcia ze studentami na wydziale lekarskim – pochwalił się rozmówca. – Wracając do konika... Ten, który skręcił ze Strzeleckiej na podwórze Gwardii, na pewno nie był czarny ani siwy. Kolor bardziej kasztanowaty, miedziany z domieszką...

– Może maści bułanej?

– Jakiej?

– Żółto-beżowy. Grzywa, ogon i nogi smoliste. Wzdłuż grzbietu czarna pręga.

– Blisko, blisko. Ale też nie. Bardziej brązowawy. Miejscami nawet szarozielonkawy. Na szyi i zadzie jakby pokryty patyną.

– A chłopak?

– Też w kolorze patyny.

– I na pewno chłopak goły jak go Pan Bóg stworzył, profesorze – przypomniał policjant, wyraźnie dając do zrozumienia rozmówcy, że nie traktuje jego informacji poważnie.

– Na anatomii to ja się znam. Powiedziałem, że z zawodu jestem lekarzem. Patomorfologiem.

– Do rzeczy, profesorze.

– Chłopak dobrze umięśniony. Taki... naturalnie nabity. Jakby trenował jakiś sport wyczynowy. Najpierw pomyślałem, że skoro Gwardia jest wysokiej klasy klubem strzeleckim, to on uprawia strzelectwo. Potem zmieniłem zdanie. Po co strzelcowi aż tak rozwinięte mięśnie? Mój młodszy wnuk był wicemistrzem kraju juniorów w strzelaniu z pistoletu dowolnego, to wiem, że w tej dyscyplinie najważniejsze jest opanowanie i wręcz anielska cierpliwość – pochwalił się profesor. – Zaraz, zaraz, przecież w Gwardii kiedyś była sekcja bokserska, a teraz jest kickboxing. To na pewno był kandydat na kickboksera. Ale dlaczego szedł goły? Może mi się przewidziało? Pewnie miał na sobie spodenki.

– Dziękuję panu profesorowi za tę niezwykle cenną informację. Zaraz policja podejmie odpowiednie działanie – obiecał komisarz Syski. Zerknął na podświetloną mapkę rozmieszczenia radiowozów. Gdyby któryś był w pobliżu Strzeleckiej, poleci policjantom sprawdzenie, co się dzieje na skwerze za bramą przy hotelu. Dla świętego spokoju.

*

– Jesteśmy pod naszym trzecim adresem – mówi chłopiec, zatrzymując konika na podwórzu Gwardii. – Tam – pokazuje na wystający z trawy betonowy cokół – przez czternaście lat próbowałem cię okiełznać, a ty się nie dawałeś. Twierdziłeś, że podporządkujesz się mojej woli, ale dopiero wtedy, kiedy ja stanę się mężczyzną i ty wierzchowcem. Za naszym ojcem powtarzałeś, że razem będziemy stanowić podziwianą parę: rasowego konia i dzielnego jeźdźcę. Taki wzorzec do naśladowania. Mimo że mamy

więcej niż po osiemdziesiąt lat, nadal jesteśmy w wieku młodzieńczym. Wszyscy, którzy na Winnym Wzgórzu nie mogą oderwać od nas oczu i ustawiają się do fotografii, mówią, że chcą mieć zdjęcie przy chłopcu z konikiem. Nie przy jeźdźcu i wierzchowcu, lecz przy chłopcu z konikiem.

Żrebak unosi głowę, wypręża się, podrywa obie przednie nogi, rży i rusza kłusem wokół skweru, na środku którego tkwi betonowy cokolik. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. Kłusuje i się rozgląda, jakby nie mógł nacieszyć się swobodą.

A co to takiego? Konik wysłał pytanie do chłopca, pokazując głową na rośle drzewa, za którymi schowały się pobijane fragmenty półkolistej rudery.

– Pozostałości po muszli koncertowej z czasów, kiedy Zielona Góra była Grünbergiem. Do miasta przyjeżdżali artyści, w tym miejscu grali i śpiewali ku radości mieszkańców. Latem w niedzielę po południu grünberczycy całymi rodzinami przychodzili pod dęby, jak nazywali ocieniony plac przy Schützenstrasse, dzisiejszej Strzeleckiej. Tu, gdzie trochę zapuszczony skwer, drewniane ławki z oparciami stały rzędami jak w kinie. Po lewej i prawej stronie gospodnicy rozstawiali kramy z kiełbaskami i bułkami, lemoniadą, piwem i winem, watą cukrową, preclami. Było wesoło, głośno i beztrąsko.

A tam? Konik podchodzi do parkanu dzielącego podwórze na dwie części.

– Strzelnica sportowa. Dawniej, jeszcze wtedy nie było nas na świecie, za tą ścianą zbierali się uczestnicy szkółki strzeleckiej i raz w roku walczyli o honorowy tytuł króla bractwa kurkowego. Potem bractwo przepoczwarzyło się w niedzielną gildię strzelania. A jeszcze później powstał

najsławniejszy polski klub skupiający wyczynowych strzelców.

Konik kręci głowę z niedowierzaniem. Żałuje, że skwer przy Strzeleckiej był miejscem ich pobytu tylko przez czternaście lat. Gdyby dłużej, widziałby radosne twarze tych sportowców, którzy przywozili medale z igrzysk olimpijskich, mistrzostw świata i Europy. Stanisław Marucha, Józef Sadurski, Małgorzata Książkiewicz, Dorota Bidołach, Ireneusz Jagodziński, Krzysztof Stefaniak, Zbigniew Fedyczak, Julita Macur, Łukasz Czapla, Sylwia Bogacka. Konik chce spytać, gdzie przebywali wcześniej. Dlaczego obaj znaleźli się akurat na skwerze przy Strzeleckiej? I dlaczego w tym ocienionym miejscu znajdowali się przez czternaście lat?

Na Winnym Wzgórzu chłopiec i konik zawsze porozumiewali się bez słów. Toteż i teraz chłopiec domyśla się, jakie pytania zaprzatają głowę jego przyjaciela. Zaczyna od informacji, że pierwszą dyscypliną sportową w powojennej Zielonej Górze, która od ciepłej wiosny do mroźnej jesieni wabiła mieszkańców na boiska, bez wątpienia była piłka nożna. Zimą siatkarze na zmianę z koszykarzami zbierali się w halach przy Chopina i Moniuszki. Był jeszcze jeden popularny sport. To boks, który skupiał na sobie uwagę gołowąsów i młodszych mężczyzn. Najpierw taka sekcja powstała w fabrycznym klubie Wagmo, niedługo potem w kolejarskich Zielonych, a jeszcze później w milicyjnej Gwardii. Początkowo zawody odbywały się na prowizorycznych arenach, ustawianych obok ratusza, na boisku za Sulechowską i na skwerze przed kasynem milicyjnym przy Strzeleckiej. Mimo że potem przeniesiono je do sal z zapleczem sanitarnym, organizowane turnieje nie mia-

ły wielkiej rangi przede wszystkim dlatego, że w mieście strojącym się na stolicę regionu brakowało prawdziwego ringu. Takiego kwadratowego podwyższenia z czterema słupami narożnymi, do których są przymocowane liny ob-szyte miękkim materiałem.

W czyjej głowie ulął się pomysł, żeby w czasie Wino-brania w 1948 roku urządzić turniej bokserski i zaprosić zawodników z Poznania, Kalisza, Wrocławia, Gorzowa, tego kronikarz klubowy nie zanotował. Jak myśl szybko padła, tak i szybko zgasła. Trudno, nie udało się, mówili ci, którzy mieli nadzieję, że podopieczni pokażą, na co ich stać, a przy okazji zaczną rozślawiać miasto. I wtedy komendantowi miejskiej milicji przypomniało się, że gdy wiosną z matką i ojcem był w jednostce wojskowej 2597 w Krośnie Odrzańskim, gdzie jego młodszy brat składał przysięgę, przed salą na wprost bramy widział zagrodę-nie-zagrodę. Brat powiedział, że to profesjonalny ring bokserski. Najpierw zajmował narożne miejsce w sali gimnastycznej, ale ponieważ w pułku nie znalazł się nawet jeden chętny do boksowania, dowódca kazał wynieść zagrodę na plac. Zresztą, żeby boksować, to należy ćwiczyć refleks, uniki, mięśnie. Trzeba uczyć się zadawania ciosów prostych, z dołu, z boku, sierpowych, podejść, odskoków, odchyień, zwarć, bloków, ustawiania się w gardzie. Ring to jeden, wcale nie najważniejszy sprzęt. Do boksowania są potrzebne worki treningowe i przede wszystkim specjalne rękawice. A w ogóle żołnierze mają dość ganiań po poligonie, to i żadnemu nie w głowie okładanie się pięściami wtedy, kiedy można poleżeć. Służba nie drużba, ogłosił brat komendanta to, co powtarzał każdy żołnierz. I dodał, że trzeba ją odbębnić, bo co to za mężczyzna, który nie

służył w wojsku? Na takiego żaden babsztyl nawet nie zerkanie.

W drodze ze Strzeleckiej na Kasprowicza, gdzie była miejska siedziba milicji, wystraszony opiekun sekcji bokserskiej zastanawiał się, co przeskrobał, że komendant kazał go natychmiast wezwać. Przecież nikomu nie rozkwasił nochała, z nikim się nie pokłócił, niczego nie podwędził, na nikogo nie doniósł, nikt ze strony matki i ojca nie żyje za granicą. Czasem wypije w kasynie więcej niż wypada, ale zawsze płaci i nigdy się nie awanturuje. Czy tylko on? Opiekun musi świecić przykładem, pewnie więc o to chodzi. Do polityki się nie wtrąca, ale jeżeli będzie trzeba, to zacznie omijać kościół i nawet dziś jest gotów zapisać się do partii. A może żona, która uczy historii w szkole na placu Słowiańskim, znowu powiedziała coś niepochlebnego o władzy i któryś szczeniak powtórzył to swemu ojcu milicjantowi, a ten doniósł do komendanta?

Komendant, gdy trener bokserów wszedł do jego gabinetu, nie podniósł się zza biurka, ale wyciągnął rękę na powitanie i kazał usiąść przy stole. Nie będzie źle, ucieszył się, lecz jeszcze nie był tego pewny. Ci, których komendant wzywał na Kasprowicza, mówili, że zawsze na początku uśmiechał się, a potem z grubej rury potrafił tak przywalić, że człowieka zimny pot oblewał. Może jednak będzie dobrze, ledwie tak pomyślał trener, gdy komendant spytał o przygotowania do turnieju bokserskiego. Odwołaliśmy imprezę, wyjaśnił. Jak, odwołaliście? Mieliście na to zgodę? Czyją? Informowaliśmy, że ze względu na brak profesjonalnego ringu nie możemy zorganizować turnieju z okazji Winobrania. A staraliście się o taki ring? Opiekun bokserów powiedział, że profesjonalny ring mają w Kaliszu.

Jest też w Poznaniu, ale nie ma czym go przywieźć. Aha, takie buty z cholewami, mruknął komendant i wlepiwszy wzrok w trenera, długo kręcił głową. To ja wam powiem, że kiepsko się staraliście, rzucił komendant i zamilkł, bębniąc opuszkami palców w blat stołu. Koniec ze mną, przeleciało trenerowi przez głowę. Mimo to zaczął się tłumaczyć. Dzwoniłem do ce-ce-centra-li... Taki ring, jaki wam jest potrzebny na turniej winobraniowy, od trzech lat stoi nieużywany w Krośnie Odrzańskim, powiedział komendant. Od trzech lat, powtórzył, pokazując trzy palce prawej dłoni. Rozmawiałem z dowódcą pułku. Wypożyczy wam. Jak trzeba, to i da za darmo. A ja dam wam zisa. Jutro z rana weźmiecie dwóch chłopaków i wio do Krosna. Ulica Piastów. Jednostka wojskowa 2597. Jak już tam przyjedziecie, to rozejrzyjcie się. Może jeszcze będzie coś do zabrania.

Konik zrobił pytającą minę.

– Wtedy ciebie i mnie przywieźli na ten skwer – powiedział chłopiec, wyciągając rękę w kierunku cokołu. – Czternaście lat później sekretarz klubu Gwardia, Stanisław albo Kazimierz Ryba, kazał wywieźć nas stąd na Winne Wzgórze. A gdzie było nasze miejsce, zanim znaleźliśmy się na skwerze przy Strzeleckiej, pokażę ci za tydzień. To będzie dłuższa wyprawa. Na całą noc.

*

Sygnal od profesora o nagim chłopcu i żrebaku skręcającymi na podwórze Gwardii komisarz Syski zaliczył do fantazji starszego pana. Na wszelki wypadek jednak zapisał go w książce przebiegu służby. W zasadzie powinien posłać tam radiowóz, tym bardziej że do niedawna obiekt przy Strzeleckiej należał do policji, ale tego nie zrobił. Nawet

nie pochwalił się aspirantowi Baście, kto dzwonił i co od niego usłyszał. Nie chciał się ośmieszyć w oczach podwładnego. Rano, zamiast z komendy jechać prosto na Zaczysze, gdzie żona czekała na niego ze śniadaniem, skręcił na Winne Wzgórze. Zgłoszenie Pauliny i Jarka o tym, że zginął chłopiec z konikiem najpierw uznał za dowcip smarkaczy. Potem zaczęły ogarniać go wątpliwości. Dziewczyna i chłopak wypili o kieliszek wina za dużo, to pewne, ale w ich zachowaniu było coś, co jednak zaniepokoiło komisarza. Gdyby rzeczywiście w nocy zginęła rzeźba i się wydało, że dwie osoby w tej sprawie dzwoniły do komendy, a oficer dyżurny zlekceważył sygnał, Syski miałby przerąbane. Drugi raz w ostatnim roku. I jaka poruta. A przy tym koniec nadziei na powrót do pionu kryminalnego. Do emerytury będzie pokutował w dyżurce.

Passata postawił przed wejściem do Palmiarni, mimo że litery na tablicy pod znakiem wskazującym miejsce do parkowania układały się w napis „Wyłącznie dla samochodów gości”. Z rana Palmiarnia jeszcze była zamknięta, więc bez obawy, że ochroniarz pokaże na znak i spyta go, czy umie czytać, obszedł budowlę. Zatrzymał się na zachodniej, tej bardziej nasłonecznionej krawędzi wzgórza, skąd schody prowadziły ku zatłoczonej samochodami alei Konstytucji 3 Maja. Po prawej i lewej ręce miał winnice już ogołoczone z gron. Na ławeczce osłoniętej przywiedłymi krzewami winorośli dostrzegł dziewczynę i chłopaka. Może to ci sami, którzy w nocy dzwoniли do komendy? Tamci twierdzili, że są po studiach, a ci wyglądają na licealistów. Też tu przychodziłem, przypominał sobie komisarz. I robiłem to samo, co robią chłopak i dziewczyna. Dopiero teraz zaczął powoli schodzić wzrokiem do miej-

sca, gdzie powinna stać rzeźba. Jest! Uśmiechnął się pod nosem. Może rzeczywiście było tak, że ktoś próbował ją ukraść, a ci, którzy po trzeciej nad ranem dzwonili do komendy, wypłoszyli złodzieja?

Wolno, rozglądając się na obie strony, jakby coś zgubił, zszedł po schodach do miejsca, gdzie, odkąd pamięta, stoi figura z brązu. Jak niemal wszyscy, którzy tu przychodzą, jedną rękę położył na połyskującym w porannym słońcu grzbiecie konika, a kciukiem i palcem wskazującym drugiej chwycił chłopca za siusiorka, po czym sprawdził, czy na pewno nikt nie uszkodził rzeźby. Przeczucie mnie nie myliło, ucieszył się i dodał w myślach: A jednak miałem rację, że nie posłałem radiowozu na Strzelecką. Ale, bym się ośmieszył.

Dopiero teraz Syski zdał sobie sprawę z tego, że od urodzenia mieszka w Zielonej Górze i dotąd nie zainteresował się przeszłością miasta. To znaczy wiedział tyle, ile usłyszał jeszcze w liceum na Kilińskiego. We Wrocławiu, gdzie studiował prawo, i w Legionowie, gdzie uczył się policyjnego fachu, nikt nawet nie napomknął o dziejach Zielonej Góry. Na początku roku przeczytał w „Lubuskiej”, że ukazała się ilustrowana opowieść o zielonogórskich pomnikach *Signum Temporis*, pióra Igora Myszkiewcza z fotografiami Władysława Czulaka. Nie wyobrażał sobie, żeby nie było w niej pogłębionej informacji o chłopcu i koniku. Przecież to najbardziej rozpoznawalny znak Zielonej Góry. Mimo oszronionych skroni Syski postanowił, że musi się dowiedzieć, kto, kiedy, gdzie, dlaczego i z czyjej inicjatywy wykonał tę rzeźbę. Artysta, który zanim wziął dłuto do ręki, wcześniej musiał studiować anatomię człowieka i podpatrywać zwierzęta. Musiał też, co komisarz uznał za

istotniejsze, nadać postaciom odlanym w brązie tajemniczą moc. W śródmieściu jest wiele pomników, większych, wyznaczających trasy wycieczek, a mimo to każdy, kto wejdzie na zachodnią stronę Winnego Wzgórza, fotografuje się z chłopcem i konikiem. Ten, kto wykonał rzeźbę, musiał być pierwszorzędnym artystą i świetnym znawcą psychiki ludzkiej.

*

– Halo, policja?!

– Oficer dyżurny komendy miejskiej w Zielonej Górze, komisarz Syski – spokojnie, wręcz majestatycznie przedstawił się policjant.

– Pan mi nie uwierzy.

– W tym miejscu różne rzeczy słyszałem. Czasem były to sygnały nie z tej ziemi. Mimo to zawsze staram się najpierw wysłuchać obywatela. Proszę zatem powiedzieć, co się wydarzyło, że o tej porze pan telefonuje do policji.

– Jestem proboszczem niewielkiej parafii koło Drzonowa. Wie pan, gdzie leży Drzonów?

Byli tacy, którzy podawali się za kominiarzy, zaginionych w lesie, nieboszczyków, nawet za przybyszy z obcej planety, którzy zabłądzili w mieście, ale nigdy za księdza. Mimo to Syski zerknął na podświetloną mapę z granicami zielonogórskiej komendy. W pierwszym odruchu chciał odrzec, że każde dziecko wie, gdzie leży Drzonków i że słynie z basenów, hal sportowych, boisk, kortów tenisowych, hoteli, targów i wystaw, a latem tego roku odbyły się tam mistrzostwa świata w pięcioboju nowoczesnym, ale wstrzymał się z odpowiedzią. Nie tylko jemu myliły się obie miejscowości. Chodziło mu po głowie, że w Drzono-

wie jest muzeum wojskowe. Ponieważ nie był tego pewny, ponaglił dzwoniącego:

– Proszę mówić. – Zakrywszy główkę mikrofonu dłonią, rzucił do aspiranta Bastę: – Jakiś szajbus podaje się za klechę. Pewnie nie może zasnąć, to nadaje. Żeby to nie było kazanie o złych policjantach i dobrych parafianach. Że też akurat w nocy z soboty na niedzielę ktoś taki musi zadzwonić.

– Pan mi nie uwierzy – powtórzył proboszcz. – Sam nie mogłem w to uwierzyć.

– Nie uwierzę, póki nie dowiem się, dlaczego o tak późnej porze ksiądz telefonuje do policji.

– Przed położeniem się do łóżka mam w zwyczaju przechadzkę po gospodarstwie. Sprawdzam, czy drzwi do zakrystii na pewno zostały zamknięte. Czy wszystkie lampy przed plebanią się palą. Tak też zrobiłem i dziś. Proszę sobie wyobrazić, że tuż za ogrodzeniem widziałem młodzieńca na koniu.

– Kogo ksiądz zobaczył? – strzelił śmiechem komisarz.

– Młodzieńca na koniu.

– Aa, ksiądz zobaczył młodzieńca na koniu.

– Nagiego, jak go Pan Bóg stworzył.

– Nagiego – powtórzył Syski z udawaną powagą. – Może to nie był młodzieniec na koniu, proszę księdza proboszcza, tylko baba na miotle? Albo jakaś istota pozaziemska? Na przykład kosmita? Marsjanin? Ufok? A może anioł? Albo święty Hubert, patron myśliwych i leśników wybrał się na nocne polowanie?

– Pan sobie żartuje.

– Proboszcz też robi sobie żarty. – Policjant nawet nie próbował ukryć tego, że nie traktuje poważnie spostrzeże-

nia księdza – A ten koń to galopował co sił w nogach czy leciał, machając ogonem i kopytami?

– Pan mi nie wierzy.

– Uwierzę, jeżeli ksiądz powie, jakiego umaszczenia był koń.

– Nie zrozumiałem.

– Chodzi mi o kolor konia.

– Kolor? Zaraz... Jakby miedziany z domieszką... Nie, bardziej brązowy. Miejscami nawet szarozielony. Na szyi i zadzie jakby pokryty patyną. Taki sam kolor ma sygnatka w dzwonnicy przy naszym kościele.

– A chłopak? To znaczy młodzieniec?

– Też bardziej brązowy i miejscami w odcieniu patyny.

– W którą stronę popędzili?

– Wzdłuż lasu. Prosto na północ. Jakby na Krosno.

– Czy jeszcze ktoś widział to, co ksiądz proboszcz widział?

– Oprócz mnie na plebanii nikt nie mieszka. Gospodyni przyjdzie z rana.

– Kościelny?

– To starszy człowiek, sołtys, były nauczyciel... Jeszcze by mnie uznał za osobę niepoczytalną.

– A ksiądz na pewno dobrze się czuje? Może wezwać karetkę? Proszę podać dokładny adres. Numeru telefonu nie potrzebuję, bo pokazał mi się na wyświetlaczu.

– Panie dyżurny policjancie...

– Nie dziwię się, gdy zawraca mi głowę ktoś ubzdryngolony albo desperat.

– Ja...

– Komu jak komu, ale osobie duchownej nie wypada robić żartów z policji państwowej. Czy ksiądz zdaje sobie

sprawę z tego, że umyślne wprowadzenie w błąd policjanta na służbie może zakończyć się aresztem, ograniczeniem wolności lub wysoką grzywną nałożoną przez sąd?

– Ale ja...

– Dobranoc, księżę proboszczu. Życzę słodkich snów – rzucił Syski i wdusił czerwony klawisz w pulpit sterowniczy. – Jeszcze nie minęła północ, a świrnięci już dzwonią – powiedział do pomocnika.

Aspirant Basta uśmiechnął się i machnął ręką, jakby tłumaczył komisarzowi, że nie powinien zapisywać takiej rozmowy w książce przebiegu służby. Szkoda miejsca i czasu. Do rana będzie więcej podobnych sygnałów.

– A czy czasem dzisiejszej nocy księżyc nie jest w pełni? – spytał komisarz jakby to miało wszystko wyjaśnić. Podczas pełni chorzy psychicznie czują się najbardziej pobudzeni.

– Pełnia była tydzień temu.

– Wtedy też zadzwoniła jakaś panienka, że ukradli tego chłopca i konika, co stoją koło Palmiarni.

*

Skręcimy w lewo i zobaczysz miejsce, które było naszym drugim adresem. Tam przebywaliśmy dwanaście lat i pewnie byłaby to nasza kwatera na dłużej, może nawet na zawsze, gdyby nie ring bokseński – mówi chłopiec, gdy maszerują oświetlonym tunelem ulicy Piastów w Krośnie Odrzańskim. – Za tydzień zobaczymy jeszcze więcej.

To będzie trzecia wyprawa. Daleka i dłuższa. Najważniejsza, bo do kolebki. Tak powiedział ten, który podał się za Iluminautę i który znał tajemnicę naszego narodzenia, dlatego dał nam moc wędrowania. Zawsze z soboty na nie-

dzielię mamy wybywać z Winnego Wzgórza. Za tydzień odwiedzimy miejsce, gdzie przyszliśmy na świat, cieszy się konik. Lubi te nocne stępowania, toltowania, kłusowania, galopowania, cwałowania, przemykania i poranne szybkie powroty na zachodnie zbocze Winnego Wzgórza.

– Najpierw zobaczysz dwa skrzydła szerokiej bramy. Zawsze są zamknięte. Przed nimi chodzi żołnierz w hełmie na głowie i z karabinem na ramieniu. Otwiera je tylko na czyjś rozkaz. Za bramą jest rozległy plac z czterech stron okolony budynkami. Kwaterują w nich żołnierze. Najpierw na czapkach nosili czarne orły trzymające w szponach wieńiec, wewnątrz którego znajdowała się swastyka. Opinali się pasami z klamrą, na której był napis „Gott mit uns”. Rozmawiali po niemiecku. Potem do koszar wprowadzili się inni żołnierze. Na czapkach mieli białe orzełki z rozpostartymi do lotu skrzydłami nad tarczą amazonek. Ci mówili po polsku.

Konik chce spytać, co robią żołnierze i dlaczego mieszkają w budynkach okalających rozległy plac za zamkniętą bramą, gdy chłopiec daje mu znak ręką, że za chwilę wszystkiego się dowie.

Wtedy miasto nazywało się Crossen an der Oder. Zielona Góra była Grünbergiem, Gorzów – Landsbergiem, Kostrzyn – Küstrinem. Berlin zawsze był Berlinem. W 1936 roku Berlin, stolica Rzeszy Niemieckiej, przygotowywał się do przeprowadzenia zawodów sportowych. Z tej okazji Międzynarodowy Komitet Olimpijski ogłosił konkurs artystyczny. Namówiony przez prezesa Izby Sztuki Rzeszy rzeźbiarz Hans Krückeberg zdecydował się wziąć w nim udział. To imię i nazwisko musisz wryć sobie w pamięć. Nie pytaj o powód. Zaraz zrozumiesz, dlatcze-

go jest ono takie ważne. Nawet bardzo ważne. Dla nas – najważniejsze. Słyszałeś, co i ja wiele razy słyszałem, że naszym ojcem jest austriacki rzeźbiarz Josef Thorak. Ten sam, którego odlane w brązie postacie stoją w Jagniątkowie na Dolnym Śląsku, Ustce nad Bałtykiem, Gdańsku, Zaskoczynie na Pomorzu. Na zamówienie władz Torunia Austriak wykonał pomnik Mikołaja Kopernika, który ostatecznie stanął w jego rodzinnym Salzburgu. Wiele razy słyszałeś od tych, którzy przychodzą nas oglądać na Winnym Wzgórzu, jak powtarzają za autorami przewodników dla turystów, że Thorak jest i naszym ojcem. To nieprawda. Pomiędzy tym, co stworzył Thorak i co powstało w pracowni naszego ojca, występuje wiele podobieństw, ale Austriak nie jest naszym ojcem.

Prawdziwym ojcem rzeźby *Chłopiec z konikiem* jest urodzony w 1878 roku w Treuenbrietzen koło Poczdamu, wychowanek berlińskiej Akademii Sztuki, Hans Krückeberg. W czasach, kiedy w Niemczech obowiązywał kierunek przez krytyków sztuki nazywany narodowosocjalistycznym, nasz ojciec tworzył popiersia z brązu, posągi, płaskorzeźby, figury parkowe, postacie zwierząt w tradycyjnym, neoklasycystycznym stylu. Ojciec nie był ignorowany przez władze i kolegów rzeźbiarzy z Izby Sztuki Rzeszy, ale i nie zdobył uznania oficjalnej krytyki, chociaż bardzo się starał przypodobać jednym i drugim. Co innego sądzili zwyczajni odbiorcy odwiedzający galerie i parki, w których stały prace naszego ojca.

Co wyrzeźbić, żeby oczarować jurorów, berlińczyków, recenzentów i gości igrzysk? Z tym pytaniem Hans Krückeberg mocował się tygodniami. Odpowiedzi nie było, aż którejś nocy, gdy księżyc był w pełni, obudził się i poczuł

się tak, jakby ktoś wkradł się do jego głowy. Ten ktoś mimo że nie odezwał się słowem, kazał mu wstać, iść do pracowni i naszkicować to, co wyrzeźbi. Potem ojciec opowiadał swoim kolegom, że czuł jakby to nie on prowadził węgiel po szkicowniku. Jakby jakaś niewidoczna postać wzięła jego rękę i najpierw nakreśliła ciebie, potem mnie. Ani tego, ani następnego, ani przez kolejne dni Hans Krückeberg nie odrywał się od pracy. Zaniepokojona tym jego żona najpierw poprosiła o pomoc profesora Weisffloga, zaprzyjaźnionego z rzeźbiarzami doktora psychiatrii, ale on zamiast postawić diagnozę, to, co się wydarzyło po tamtej nocy, uznał za wenę twórczą. Żadnemu rzeźbiarzowi nawet najlepszy lekarz nie jest potrzebny, a pani małżonek to wielki artysta, aczkolwiek jeszcze niedoceniony. Proszę zanosić do pracowni śniadania, obiady i kolacje.

Tak było do inauguracji igrzysk 1936 roku w Berlinie, kiedy odbyła się wystawa sztuki. Tam pierwszy raz pokazaliśmy się publicznie i od razu przy nas zaczęli się gromadzić berlińczycy. Jedni widzieli w tobie i we mnie odlane w brązie postacie wyrażające wręcz niemożliwy do okiełznania żywioł. Drudzy tylko arkadyjską młodość. Ponadto zwiedzający wystawę mnie podziwiali za niezwykle harmonijną, wręcz klasyczną sylwetkę. Dla wielu wojskowych stałem się wzorcem niemieckiego młodzieńca. Niejedna dziewczyna we mnie się zakochała. Twoja wyraźnie obronna postawa nie była obojętna zwiedzającym. I mimo że jesteśmy przyjaciółmi, od tamtego czasu nie chcesz dać się poskromić. Twoje nieokiełznanie przede wszystkim podoba się młodym, buntującym się przeciw nakazom, wzorcom, anachronicznym normom etycznym i prawnym.

Po zakończeniu igrzysk i wystawy ojciec zastanawiał się, gdzie nas umieścić. Mogliśmy zdobić ogród przy stadionie na Charlottenburgu albo któryś z berlińskich parków, nadal budzić podziw mieszkańców miasta i przyjezdnych, a szczególnie dziewczyn lubiących przy nas się fotografować. Wtedy starszy syn naszego ojca, porucznik w ówczesnym Krośnie, powiedział, że miejsce chłopca z konikiem powinno być zaraz za bramą koszar wojskowych. Żeby ci, którzy ją przekraczają, poczuli się pewniejsi siebie, i potem jako żołnierze mieli na kim się wzorować. Dowódcy batalionu piechoty, późniejszemu generałowi Eckhardowi von Geysie, pomysł adiutanta się spodobał. Późną jesienią 1936 roku stanęliśmy na postumencie za bramą koszar przy ulicy Piastów. Wtedy miała ona inną nazwę.

Od września 1939 roku zza murów tych koszar żołnierze wyruszali na front, ich miejsce zajmowali następni i następni. Zmieniali się dowódcy pułków, kolory mundurów żołnierzy, polska mowa zastąpiła język niemiecki, a mimo to myśmy stali w tym samym miejscu. Tak było do jesieni 1948 roku. Wtedy do dowódcy jednostki wojskowej 2597 zatelefonował komendant zielonogórskiej policji. Dzień później przyjechał trener bokserów z Zielonej Góry po zbędny w pułku, dlatego wyniesiony z sali sportowej na plac profesjonalny ring. Gdy żołnierze załadowali ring na zisa, trener spytał dowódcę, czy w koszarach jest jeszcze coś, co mógłby wypożyczyć, żeby turniej bokserski z okazji Winobrania miał okazałą oprawę. Pułkownik Karpowicz wzruszył ramionami, a towarzyszący mu adiutant pokazał głową na ciebie i na mnie. Jeszcze tego samego dnia zmieniliśmy adres: z placu za bramą przy Piastów w Krośnie na skwer przy Strzeleckiej w Zielonej Górze. Mieliśmy tam

postać kilka dni, do czasu zakończenia turnieju, i wrócić do Krosna. Staliśmy czternaście lat.

Czternaście lat później, kiedy do domku winiarskiego z czasów Augusta Gremlera dobudowano szklarnię i wstawiono do niej palmy, było wiadomo, że to miejsce podbija serca zielonogórzan i turystów. Wtedy nas przeniesiono na zachodnie zbocze Winnego Wzgórza, skąd rozciąga się widok na aleję Konstytucji 3 Maja i wyrastające w dali nowe miasto.

*

- To o wiele ładniejsze miejsce niż rozległy plac za bramą koszar i ocieniony dębami skwer przy Strzeleckiej. Bardzo mi się tu podoba – powiedział konik, pokazując głową na krzewy winorośli wygrzewających się w słońcu.

- Ty mówisz ludzkim głosem? – spytał zaskoczony chłopiec.

- Obiecuję, że będę mówić jedynie wtedy, kiedy będziemy sami na wzgórzu. I tylko ty będziesz mnie słyszeć.

Pozaduszki zielonogórskie

– O, gdyby dyrektor nie zaznaczył na zaproszeniu, że to wyjątkowy gość, nie przyszedłbym. Z zasady bywam jedynie na prelekcjach osób, które czymś niebagatelnym się zaznaczyły. Zna kolega ksiądz tego pajaca? – pokazując głową na postać w cieniu, spytał emerytowany profesor historii, siedzący w drugim rzędzie zaraz za doradcą prezydenta i tuż przede mną. Ton jego głosu był wyraźnie szyderczy. – Ma głowę, ręce i nogi, czyli człekokształtny, a wygląda jak istota pozaziemska. Chyba że to z martwych wstały patron naszego miasta, święty Urban. Zaduszki, dziś wszystko możliwe.

– Też pierwszy raz widzę gościa – przyznał się jego towarzysz, duchowny historyk ze stopniem doktora habilitowanego, zniecierpliwiony oczekiwaniem na tytuł profesora prezydenckiego, co będzie oznaczało, że zostanie pierwszym zielonogórskim księdzem wyróżnionym tą godnością.

Siedziałem w trzecim rzędzie, również przypatrywałem się postaci na tle ogromnego witrażu i jak ksiądz doktor pierwszy raz ją widziałem, a lubiłem chodzić na spotkania z ciekawymi ludźmi. Dlaczego ubrał się nie jak na prelekcję, a jak do ślubu, na co wskazuje czarny frak i biała muszka na złamanej stójce? Jeszcze coś niezwykłego dostrzegałem w jego wyglądzie i zachowaniu, ale nie umiałem tego precyzyjnie określić, mimo iż jestem dociekliwym obserwatorem, o czym świadczą moje książki oraz to, że każdej soboty radiowcy proszą, abym skomentował bieżące

wydarzenia w regionie. Miałem wrażenie, że gość jest podobny do większości zdeformowanych postaci wciśniętych przez artystkę w ramę ogromnego witrażu. Jajowata, niesymetrycznie ociosana twarz i łatwe do przewidzenia, wręcz mechaniczne ruchy rąk. Po chwili rozważania doszedłem do wniosku, że skoro na zaproszenie dyrektora muzeum odpowiedziało aż tyle osób z tytułami naukowymi, to prelegent jest wyjątkowy. Oczekując na powitanie i informację szefa placówki, czym zajmuje się gość, skąd przyjechał i dlaczego warto go posłuchać, kolejny raz omiatałem wzrokiem obrazy z motywami winiarskimi zdobiące ścianę po lewej stronie.

Każdego roku na początku listopada muzealnicy zapraszają wybranych mieszkańców miasta na wieczór wspomnień o tych osobach, które za życia stały się bohaterami lub wzorcami do naśladowania. Przez kilka lat po pogrzebie zielonogórzanie pamiętają o ich chwalebnych czynach, a ponieważ przybywa grobów w kwaterach zasłużonych na cmentarzu Starym przy Wrocławskiej, najpierw wymykają się z ich głów imiona, potem nazwiska, na końcu czyny i dokonania. Chyba że znajdzie się ktoś, kto ufunduje tablicę z brązu i zapłaci za umieszczenie jej między betonowymi płytami na deptaku w alei sław przed muzealnymi schodami. Dopóki żaden złodziej nie odważy się jej ukraść, wchodzący do muzeum będą wiedzieli, co zajmowało profesora Władysława Korcza, czym Marian Szpakowski zapisał się w złotej księdze malarstwa, jakie kompozycje stworzył Roman Mazurkiewicz, ile wynalazków ulepszył profesor Witold Rybarczyk. Nikogo, kto tędy przechodzi, nie zastanawia, dlaczego sławny badacz przeszłości Edward Dąbrowski nie napisał choćby jednej

książki, wystarcza informacja ułożona z wybrzuszonych liter, że był archeologiem. Nikomu też nie przyjdzie do głowy pytanie, czy Klem Felchnerowski był alkoholikiem i te coraz cenniejsze obrazy malował dopiero wtedy, gdy miał za co kupić wódkę. Albo że na pożółkłych stronach gazety, którą redagował Zdzisław Olas, nie ma nawet jednego jego tekstu, a mimo to starsi zielonogórzanie uważają go za wybitnego dziennikarza. Dopiero wiele lat po pogrzebie architekta doktora Tomasza Florkowskiego przekonałem się, że człowiek żyje tak długo, jak długo trwa o nim pamięć.

Wyciszonym dźwiękiem odezwał się któryś z nowszych zegarów w sali obok, gdzie wśród prezentowanych czasomierzy było kilka wprawdzie nieużytecznych, za to wartościowych z punktu widzenia kierownika działu techniki. Dyrektor muzeum najpierw zerknął na swój zegarek, jakby sprawdzał, czy to na pewno piąta po południu, potem na gościa to wpatrującego się w kustoszkę, to w doradcę prezydenta, dając mu oczyma sygnał, że za chwilę podniesie się, wtedy ucichnie gwar w sali i rozpocznie się spotkanie.

– Jestem badaczem dziejów mieszkańców Środkowego Nadodrza i przeszłości tej ziemi, autorem kilku monografii i prac popularyzujących wiedzę o regionie, wykładam w szkole wyższej. Gdyby jednak ktoś spośród państwa, tak licznie przybyłych dziś do muzeum, spytał mnie, czym dla ludzkości zasłużył się Abraham Scultetus, odesłałbym go do biblioteki. Wiem, że takie imię i nazwisko nosił teolog protestancki wykładający w Heidelbergu, kapelan palatyna reńskiego i króla Czechów, Fryderyka I, żyjący na przełomie szesnastego i siedemnastego stulecia. Scultetus urodził się w naszym mieście. Jak na historyka i zielonogórzanina

z urodzenia, dużo za mało – przyznał się samokrytycznie dyrektor muzeum. – Więcej o Scultetusie i innych sławnych zielonogórczanach powie państwu nasz gość. Wyjątkowy gość – dodał z nieukrywaniem zachwytem w głosie, ale nie wyjaśnił, dlaczego akurat tak go określił. – Proszę, mistrzu.

– W waszym mieście ostatni raz byłem, kiedy nazwę Grünberg nosiło. Również z prelekcją w muzeum. Tyle że nie w tym miejscu, a w budynku przy dzisiejszej ulicy Kazimierza Lisowskiego, która wtedy Schulstrasse się nazywała. W tym budynku, gdzie dziś z państwem się spotykam, landrat ze swoimi radcami urzędował.

– Czyli starosta – wtrącił dyrektor muzeum, dostrzegając pytanie w oczach młodszych słuchaczy, którzy nie znali niemieckiego, za to swobodnie posługiwali się angielskim.

– Tak – potwierdził gość i uśmiechnął się do siedzącej w pierwszym rzędzie kustoszki. – Gospodarzem muzeum był jego twórca, swoim wyglądem i zachowaniem ujmujący, doktor Martin Klose. Pokazane eksponaty wrażenia na mnie nie zrobiły, ale tego po sobie poznać nie dałem. Słuchacze, niezwykle chłonni i ciekawi, mnie zachwycili, tylu ich przyszło, że sala niewiele mniejsza od tej – wyciągnął ręce przed siebie, jakby miał zamiar wszystkich objąć – za ciasna się okazała. Przez doktora Klosego namówiony, tych, którzy, jak się mówi, z kwitkiem sprzed drzwi odejść musieli, zapewniłem, że w najbliższym wolnym terminie ponownie z prelekcją przybędę. Tym razem do sali teatru miejskiego przy reprezentacyjnej Bahnhofstrasse i zasługi znanych grünberczyków z wielką ochotą przypomnę. W połowie września 1940 roku miało to się stać.

Bajdurzy jak polityk opozycji w telewizji. Jeśli był w Grünbergu w pierwszej połowie dwudziestego wieku, a przecież tak powiedział, to wtedy miał co najmniej dwadzieścia lat. Dziś powinien mieć więcej niż sto. Wygląda na pięćdziesięciolatka z niewielkim okładem. Pewnie się przejęzyczył? Mógł być w naszym mieście wtedy, kiedy muzeum zarządzał Klem Felchnerowski albo Eugeniusz Jakubaszek. Później raczej nie, bo doktor Muszyński nie zapraszał historyków badających dzieje Zielonej Góry przed 1945 rokiem. Ale on wyraźnie powiedział, kiedy był pierwszy raz w mieście i na czyje zaproszenie. Plecie od rzeczy i sprawdza, jak zareaguje publiczność? Lepszy cwaniak, a wygląda na takiego, który nie wie, kim są słuchacze.

Moją uwagę zwróciły również koślawe zdania, jak i nie-naturalna barwa jego głosu. Mówił po polsku, ale z jakąś niełatwą do nazwania chropowatością, jakby wyrzucane słowa odbijały się o blachę falistą, i orzeczenie umieszczał na końcu zdania. To prawidło, charakterystyczne dla starszej polszczyzny, utrzymało się w języku niemieckim. Mimo że do współczesnej mowy polskiej wnika coraz więcej swobody wypowiedzi, jednak nikt nie umieszcza czasownika na końcu myśli. Ja, który nawet w rozmowie z kolegami przy piwie staram się nie kaleczyć języka, chociaż i mnie zdarza się odezwać wbrew temu, na straży czego stoję niby cerber, zamiast wsłuchiwać się w treść, wpatrywałem się w usta prelegenta, analizując wydawane przez niego dźwięki. Miałem ochotę go spytać, gdzie uczył się polszczyzny, ale tylko ze względu na szacunek dla gości dyrektora muzeum nie chciałem mu przerywać. Przyszło mi na myśl, że jego przodkowie urodzili się między Wisłą i Odrą, wyjechali za chlebem, w trakcie świąt kościelnych

przypominali sobie skąd pochodzą i wtedy śpiewali po polsku. Pewnie matka powiła go w Australii albo w którejś Ameryce, tam dorastał i na tamtejszym uniwersytecie studiował sławistykę?

– Zdaniem socjologów na obrzeżach kultur etnicznych i narodowych osoby niezwykle utalentowane się rodzą. Historycy nauki, literatury, muzyki, sztuki, a przede wszystkim antropolodzy to poświadczają – powiedział gość i na potwierdzenie tego dowodu przypominał, gdzie przyszedł na świat Heweliusz, gdzie Immanuel Kant, gdzie Andreas Gryphius, gdzie Günter Grass. – Powyższe spostrzeżenie również do urodzonych w waszym mieście się odnosi. W swojej peregrynacji po historii współczesnych zielonogórczan pominię, wszak oni państwu są, po pierwsze, nieźle znani, po drugie, od ich śmierci niewiele czasu upłynęło, aby to, odkryli czy wymyślili, za wartościowe dla rodzaju ludzkiego już uznać. A... prawdziwa wielkość ubrana jest w prostotę, dlatego w tłumie trudno ją zauważyć. Istota utalentowana, inteligentna nie dlatego, że dyplom z podpisem rektora uniwersytetu ma, nikomu sukcesów nie zazdrości, a tym bardziej szacunku i sławy z nimi związanej. – Prelegent powiódł wzrokiem po twarzach słuchaczy, dłużej zatrzymując spojrzenie na emerytowanym profesorsze historii i siedzącym obok niego duchownym. – Bieda wady utrwała, cechy pozytywne dobrobyt pobudza i rozbudowuje.

– Kim pan jest, że głosi tak kategoryczne sądy?! – wykrzyknął profesor. W tonie jego pytania wyczułem więcej oburzenia niż zaciekawienia. – Nie przypominam sobie, abyśmy kiedykolwiek spotkali się na sesji naukowej, a bywałem, o... Łatwiej mi powiedzieć, gdzie nie miałem

wystąpienia niż gdzie byłem... Siedzący obok mnie ksiądz kanonik doktor habilitowany też nigdy o panu nie słyszał... To jak się pan nazywa i jaki ośrodek badawczy reprezentuje, bo zdaje się tego nie usłyszeliśmy?

– Zakonny Instytut Badania Wszechhistoriografii reprezentuję – odpowiedział gość bezbarwnym głosem, nic sobie nie robiąc z docinku historyka.

– Zakonny Instytut Badania Wszechhistoriografii?... Gdzie to jest? Czy ktoś z państwa słyszał o takim zgromadzeniu zakonnym? – spytał profesor, zwracając głowę w tę stronę sali, gdzie siedział rektor uniwersytetu i dyrektor instytutu historii z doktorantami. Nikt się nie odezwał. Gość też milczał. – Są jezuici, benedyktyni, sercanie, albertyni, dominikanie, augustianie, oblaci... A może to instytut świecki rytu wolnomularskiego? Ludzie, dlaczego prelegent nie odpowiada? Co on ukrywa przed nami?

– Swoje pytanie do słuchaczy pan zaadresował.

– No, skądżeś, człowieku, przyjechał? A może przyleciałeś?

– Zakonny Instytut Badania Wszechhistoriografii od dawna istnieje. Kiedy powstał? O dzień, miesiąc i rok panu pewnie chodzi. Na to pytanie dokładnie nie potrafię odpowiedzieć. Dowiem się i za pośrednictwem kustoszki wiadomość przekażę. Zakon zajmuje się – zamilkł i trwał w pozie pomnikowej, jakby słuchał czyjś głos. Po chwili kontynuował pewnym siebie tonem: – Instytut zbiera i analizuje dane o istotach, które przyjmują i rozwijają najbardziej wartościowe cechy swoich przodków. Opracowane materiały wraz z wnioskami drogą elektroniczną do centralnego ośrodka rozwoju przekazuje. Niestety, jego dokładnej nazwy ani miejsca lokacji nie znam.

Emerytowany historyk opuścił siwą głowę, milczał jakby był zawstydzony, że nie wszystko rozumiał, lecz nie miał odwagi do tego się przyznać. Jego towarzysz z koloratką na szyi zacisnął usta i błdził wzrokiem po kopii drzwi z katedry gnieźnieńskiej, zdobiącej ścianę po prawej stronie sali.

– Zanim do realizacji zapowiedzianego tematu dzisiejszej prelekcji przystąpię, w ramach krótkiego wprowadzenia przypomnę, co to jest genetyczne dziedziczenie cech. – Nie zważając na pomruk, jaki przeszedł po sali, gość kontynuował bez zająknięcia. Wyglądało to tak, jakby czytał, lecz nie miał przed sobą kartki. Albo nie on mówił, tylko włączył odtwarzacz z nagraniem prelekcją, ale przecież stoi obok dyrektora muzeum i porusza ustami. Coś tu jest nie tak. – U organizmów płciowo się rozmnażających, w trakcie łączenia gamety męskiej z żeńską to się odbywa. Powstała komórka dzieli się, początek nowemu bytowi dając. Pewnie nie muszę państwu dowodzić, że pokrewieństwo rodziców prowadzi do degeneracji nowej istoty już w trakcie jej rozwoju płodowego. Nic odkrywczego, skoro w epoce brązu praprzodkowie z tego sobie sprawę zdawali. Im bardziej kobietę i mężczyznę odległość dzieli, tym większe prawdopodobieństwo jest, że potomek poczęty i urodzony w ich związku małżeńskim, ułomny nie będzie. Ba, cechami najbardziej pożądanymi, jak męstwo, odwaga, mądrość, zdolności przywódcze i kierownicze... będzie się wyróżniał. Tysiące lat temu władcy i możni swoich synów z córkami panujących z odległych krain żenili.

– Prawda, ale nie do końca – odezwał się historyk, a duchowny mu przytaknął.

– Odstępstwa, owszem, się zdarzały. Niestety, dla społeczności etnicznych źle się kończyły – stwierdził prele-

gent, nie podając przykładów. – Wszystkie istoty ziemskie są śmiertelne.

– Nieprawda! – zdecydowanym głosem zaprotestował ksiądz, czym wywołał zaciekawienie słuchaczy. Podniósłszy palec wskazujący prawej dłoni, powiedział: – „Kto we Mnie wierzy, to choćby i umarł, żyć będzie”, zapisał święty Jan ewangelista.

Gość nie odpowiedział duchownemu. Zwrócił głowę w stronę dyrektora muzeum, jakby go pytał, czy ma przerwać i pozwolić na dyskusję, a ten dał mu znak oczyma, aby kontynuował prelekcję.

– Wszystkie istoty ziemskie śmiertelne są. Chrześcijanie nadzieję mają, tak jak słuchacz oznajmił, na życie wieczne. To wiara jest. Nic więcej. – Dopiero teraz podniósł wzrok na księdza, jakby dziękował mu za podpowiedź. – Utalentowani, pracownicy, czyli nieliczni... jeśli czegoś wyjątkowego dokonali, z czego korzystają pokolenia lub co w pamięci zostało, mimo iż zmarli, przez pokolenia zapomniani nie są. Tych mam zamiar przypomnieć, którzy takimi właśnie byli, w waszym mieście się urodzili, ale nie posługiwali się językiem wam znanym czy przez waszych przodków na co dzień używanym.

– Niemcy? – spytał ktoś z końca sali.

– Istot posługujących się umysłem na Niemców, Polaków, Czechów, Austriaków nie dzielę. Również na katolików i protestantów nie dzielę.

Profesor historii najpierw machnął ręką, potem odwrócił głowę do księdza i coś mu długo szeptał do ucha. Nie słyszałem ani słowa, jednak z ruchu ust zrozumiałem, że namawia duchownego, aby wyszli z sali. Kanonik był odmiennego zdania.

– Jeszcze jedno dopowiedzenie: istoty ziemskie wpływ niewielki mają na to, co ich organizmy robią. To, czym się zajmują, tylko w niewielkiej części jest skutkiem ich oczekiwań.

– Już dawno udowodniono, że na wychowanie dzieci ma ogromny wpływ środowisko, w którym one przebywają – wtrącił emerytowany profesor. – Po rewolucji październikowej bolszewicy stworzyli sieć domów, w których kształtowali młode umysły wedle potrzeb rządzących. Stamtąd pochodziło najwięcej agentów KGB i dowódców wojskowych. Narodowi socjaliści w Trzeciej Rzeszy postępowali identycznie.

– Tematu rozwijać nie powinienem. W części pan mnie wyręczył. – Prelegent łypnął wdzięcznym wzrokiem do profesora. – W części... powiedziałem. W tej, która negatywnych cech i odruchów dotyczy, gdzie ważniejsze są odpowiedzi na wyuczone reakcje. W pozostałych sytuacjach istota ziemska kształtuje się wedle matrycy genetycznej. Inaczej jest w innych cywilizacjach.

– Na przykład gdzie?

– Najwyższy czas wyjaśnić, dlaczego w sali witrażowej tutejszego muzeum tożsamości się znalazłem – powiedział gość, najpierw kierując spojrzenie w stronę kustoszki, potem sięgając po szklankę z wodą. Wypił dwa łyki, a właściwie zassał, wydając metaliczny dźwięk.

– Nareszcie – westchnął duchowny.

– O tym, że jest miasto Grünberg, studenci lipskiego uniwersytetu wiedzieli. I to nie od byle kogo, a od samego dziekana wydziału teologicznego. Rodowity grünberczyk nim był. Czy ktoś z państwa wie, kogo na myśli mam?

– Nikt się nie odezwał. Emerytowany profesor omiatał

wzrokiem sufit, jakby zlekceważył pytanie zadane przez prelegenta. Pomyślałem, że i on nie wie, o kogo spytał gość, milczał więc, aby nie ośmieszyć się przed słuchaczami, w większości jego dawnymi studentami. – Ta osoba to Mikołaj lub Nicolai Fabri. W 1447 roku w rodzinie grüneberskiego majstra szewskiego się urodził. Tu w szkółce parafialnej prowadzonej przez augustianów przy kościele pod wezwaniem Świętego Mikołaja nauki pobierał. Potem w Glogau się uczył i na koszt kolegiaty w Liegnitz na uniwersytecie w Leipzig teologię katolicką zgłębiał. Tych nazw świadomie używam, ponieważ wówczas owe miasta tak się zwały. Łacińskimi określeniami mógłbym się posługiwać, czyli Glogovia, Lignitium, Lipsia, Grunenbergia albo Viridi Mons, ale wtedy to odbiór mojej prelekcji jeszcze bardziej by utrudniło.

– Bez przesady, szanowny panie – rzucił profesor historii. – Przeważająca część obecnych ma wyższe wykształcenie uniwersyteckie. Wielu to doktorzy habilitowani nauk humanistycznych i profesorowie zwyczajni. Ja jestem doktorem honoris causa uniwersytetów w Wilnie, Pińsku i Frankfurcie.

Jeszcze jedno takie odezwanie i zwrócę mu uwagę. Po prelekcji będzie czas na dyskusję, niech wtedy się pochwalą i powie z czym się nie zgadza albo z czego nie jest zadowolony.

– Dlaczego Fabri jako Polonus w dokumentach zaistniał, tego wyjaśnić nie potrafię. Na duchownego wyświęcony, do kolegiaty legnickiej wrócił, gdzie wikariuszem był. Owszem, tym, co do obowiązków kapłana należy, się zajmował, ale i dużo więcej robił. To znaczy dysertację doktorską przygotował, do jej obrony stanął, stopień doktora

nauk teologicznych i niebawem tytuł kanonika uzyskał. Tyle przed trzydziestym rokiem życia. Historyk z powołania nie może mieć wątpliwości, że te osiągnięcia sprawiły, iż katedrę moralistyki na lipskim uniwersytecie objął. Tam występował jako... Nicolaus Fabri Viridimontanus, co państwa nie powinno dziwić, wszak w tamtym czasie wśród uczonych mężów w Europie zaistniała moda na używanie nazewnictwa łacińskiego i posługiwanie się tym językiem przez elity. Powinno jedynie to dziwić, że w przeciwieństwie do innych postaci w Grünbergu urodzonych do swego zlatynizowanego imienia i nazwiska nie Gruninbergensus, lecz Viridimontanus dodawał. Oraz Polonus. Na pytanie o związek z Królestwem Polskim, Fabri tajemniczo się uśmiechał, przeto nikt spośród profesorów i studentów za Ślązaka, Czecha czy Saksończyka go nie brał. Gdy Fryderyk III Mądry, elektor saski, sławny uniwersytet w Wittenberdze zakładał, do grona profesorów Fabriego włączył. Grünberczyk, a może lepiej powiedzieć viridomontańczyk, do wyróżniających się autorów i wykładowców należał. O jego niebagatelnym wpływie na badania naukowe to świadczy, że godność rektora uniwersytetu sprawował wtedy, kiedy uczelnia wśród placówek akademickich w Europie naprawdę zaczynała znaczyć. On też jako zarządca wittenberskiej Alma Mater mnicha augustiańskiego Marcina Lutra do szacownego grona wykładowców filozofii moralnej przyjął był. W zbiorze swoich prac *Tischreden* doktor Luter pod adresem profesora Fabriego same pochwały zapisał, wyjątkowe umiejętności organizacyjne i oratorskie viridomontańczyka podkreślając. Brakuje potwierdzenia, że Fabri słyszał, z czym Luter się nie zgadza, swoje uwagi pod adresem papieżstwa ogłaszając. Viridomontańczyk do gro-

bowej deski w 1516 roku przy religii swego ojca pozostał. Jego prochy w Wittenberdze na cmentarzu złożone zostały. W tym samym mieście, w którym augustianin Paul Lemberg teologię katolicką studiował, najpierw żelazny opat, jak go w klasztorze w Sagan nazywano, a potem gorliwy propagator luteranizmu, protestancki proboszcz w Grünebergu, z byłą zakonnicą, Barbarą, ożeniony.

– Czy pan uważa, że do wręcz błyskawicznego zadowolenia się protestantyzmu w ówczesnym Grünbergu przyczynił się przede wszystkim pastor Lemberg? A jeśli to prawda, to dlaczego miał aż tak wielki wpływ na umysły grünberczyków? – spytał Wolfgang, mimo że amator, mający dużą wiedzę na temat wyznań ewangelickich w Polsce i dlatego zapraszany na konferencje naukowe urządzone przez niemieckie uniwersytety.

Gość najpierw znieruchomiał, zaskoczony pytaniem, potem przechylił się lekko w prawo i w takiej pozycji tkwił może pół minuty, może nawet dłużej. Wyglądało to tak, jakby wsłuchiwał się w czyjąś odpowiedź. Złudzenie, pomyślałem, przecież sam stoi przy stoliku, a dyrektor muzeum siedzi na kanapie nieporuszony z nogą założoną na nogę i dłońmi splecionymi na piersiach.

– Nie ma dowodów, aby Paul Lemberg znaczący wpływ miał na, jak pan to nazwał, błyskawiczne zadowolenie się protestantyzmu w Grünebergu.

– Grünbergu – poprawił go siedzący przede mną doktor habilitowany z koloratką na szyi.

– Jeszcze na początku dziewiętnastego wieku obu nazw używano. Im bliżej czasów współczesnych, tym częściej tej, którą ksiądz doktor wymienił. Nawet w urzędowych dokumentach miasto Grüneberg i Grünberg było. Dlate-

go w nazewnictwie polskim Zielonagórę i Zieloną Górę się spotyka. Pisownia łączna mnie bardziej się podoba, ale skoro jest Nowy Jork, Buenos Aires, Sankt Petersburg, niech Zielona Góra pozostanie Zieloną Górą – przyznał się gość i skrzywił usta w żartobliwym raczej i przyjaznym uśmiechu. – Do pastora Lemberga wracając... Nie chciałbym nikogo urazić, a prawdę odkryć.

– Aha, ten tajemniczy zakon, z którego pan przyjechał, ma orientację protestancką – odezwał się emerytowany profesor.

Prelegent zerknął na zamyśloną kustoszkę, jakby chciał się dowiedzieć, czy profesor zawsze jest aż tak dociekliwy. Gdyby mnie spytał, odpowiedziałbym, że to nie dociekliwość, lecz wścibstwo wywołane przez którąś spośród chorób objawiających się w wieku senioralnym.

– Przede wszystkim swoją zachłannością na dobra materialne Lemberg spowodował, że jak na początku grüneberczycy ku nowej religii parli, tak z biegiem miesięcy krytycznie na nią zaczęli spoglądać. Co ciekawe, bogatsze mieszczaństwo grüneberskie szybko ku reformowanej formie protestantyzmu, czyli kalwinizmowi się zwróciło. Do tego doszło, że większość funkcji w mieście zwolennicy tej doktryny protestanckiej sprawowali.

– A co z katolikami? – zaciekał się ksiądz.

– O tym, że kalwini czuli się potrzebni w Grünebergu i okolicznych miejscowościach świadczy między innymi powołanie Schönaichianum w Beuthen, miasteczku jako Bytom Odrzański państwu znanemu. Uprawnienia uniwersyteckie uczelnia miała, a jej absolwenci tytuły bakałarza lub magistra uroczyście otrzymywali.

– Spytałem o miejsce katolików w tamtej społeczności – przypomniał ksiądz.

– Wyznawcy tej religii niczym szczególnym w dziejach Grüneberga się nie zaznaczyli.

– Przesadza pan! – huknął emerytowany profesor.

– Procesy czarownic...

– W jednym z periodyków naukowych świętej pamięci kolega Korcz podał, że zielonogórskie procesy czarownic to było oskarżanie katolickich kobiet przez protestantów.

– Dziękuję za wsparcie, panie profesorze – uśmiechnął się ksiądz do swego sąsiada, a w stronę słuchaczy powiedział: – Błędne jest rozumowanie, że wtedy dochodziło do palenia żywcem niewinnych kobiet na stosach. Owszem, palono opętane przez szatana, ale dopiero na podstawie wyroku trybunału. Taka była wola Najwyższego, który jest tym samym Panem Bogiem tak dla katolików, jak i luteran. I takie wówczas obowiązywało prawo.

– Nie zapominajcie o Żydach i Cyganach! – wykrzyknął ktoś z tyłu.

– Nie mam zamiaru przerywać tej gorącej wymiany poglądów – odezwał się dyrektor muzeum. – Chciałbym jednak, abyście państwo pozwolili naszemu gościowi skupić się na temacie, który nas tak gremialnie zebrał w sali witrażowej. Na przypomnieniu tych mieszkańców miasta, którzy bez względu na przynależność narodową i religijną wnieśli swój niezaprzeczalny wkład w rozwój cywilizacji w ogóle, a europejskiej szczególnie.

Gość odwrócił się w stronę gospodarza muzeum, podziękował mu wzrokiem i nie czekając, aż w sali zrobi się ciszej, powiedział:

– Ta dyskusja o tyle przydatna była, że kolejny grüneberczyk, którego mam zamiar przypomnieć, kalwinizm wyznawał.

– Znowu jakiś odszczepieniec?! Wygląda to tak, jakby w Winnym Grodzie nie było prawdziwych chrześcijan! – wykrzyknął profesor wyraźnie niezadowolony, zwracając się bardziej do swego sąsiada niż do prelegenta.

Ktoś z końca sali poprosił, żeby emerytowany historyk nie przeszkadzał. Jeśli chce słuchać tylko o katolikach, niech przeniesie się gdzie indziej.

– Pan profesor żyje w wolnym, demokratycznym kraju i ma prawo domagać się szacunku dla wyznawanej przez siebie wiary. Chodzi o poszanowanie jego i moich uczuć religijnych, a pewnie i większości zebranych w tej sali – nie ustępował sąsiad historyka.

– Kolego profesorze, proszę o więcej szacunku dla pana prelegenta – odezwał się szeptem rektor.

Nie reagując na te uwagi, gość kontynuował:

– Abraham Scultetus wprowadził na świat w rodzinie luterńskiego mistrza wagowego przyszedł, jako dojrzały mężczyzna wyznanie na kalwińskie zmienił. Ani w jego pracach naukowych, ani w dokumentach kościelnych na wyjaśnienie tego kroku nie natknąłem się. Podczas studiów w Heidelbergu to się stało. Zanim tam dotarł, teologię protestancką w Wittenberdze poznawał. W późnym średniowieczu nie uczelnie w Genewie i Lejdzie centrami nauki kalwińskiej były, lecz akademia w Heidelbergu, wszak palatyn reński, jej wspomożyciel, tę wiarę szczerze wyznawał. Proszę pamiętać, że w owym czasie obowiązywała zasada: czyja władza, tego religia. Scultetus uniwersytecką katedrę badań nad Starym Testamentem objął, co

czołowe miejsce w konsystorzu reńskim mu dawało i na dodatek spowiednikiem elektora Fryderyka V z palatynskiej linii Wittelsbachów został. Do tego stopnia zaufanym człowiekiem na dworze elektora reńskiego był, że w jego imieniu księstwo wizytował i najważniejsze decyzje podejmował. To i grüneberczyk zdecydował, że Elisabeth Stuart, córkę króla Anglii, Fryderyk V za żonę pojął. Można powiedzieć, że Palatynatem Reńskim Scultetus rządził. I miał ogromny wpływ na to, co w Czechach się działo, bowiem jako Fryderyk I Wittelsbach jesienią 1619 roku książę reński na tronie monarszym w Pradze zasiadł. Niestety, królestwem długo nie władał, gdyż rok później w bitwie z wojskami katolickich Habsburgów na Białej Górze jego armia sromotną klęskę poniosła. Zdetronizowany i ośmieszony, do historii krajów Korony Świętego Wacława jako król zimowy przeszedł. Obiekcji nie ma, że do przegranej Wittelsbacha profesor Scultetus się przyczynił, który na dworze praskim postacią numer jeden po królu i królowej był. Proszę sobie wyobrazić, że ten oświecony uczonością grüneberczyk w Wigilię 1619 roku drzwi do katedry Świętego Wita na Hradczanach wyłamać kazał, zniszczyć wszystko, co się w niej znajdowało i konsekrowane dla katolików było.

– Katolicki monarcha nie pozwoliłby, żeby podwładny podniósł rękę na święte obrazy – wypalił duchowny.

– Na polecenie Scultetusa nie tylko obrazy zostały usunięte, lecz i nawet relikwie kanonizowanych – kontynuował prelegent. – Mało tego, kilka dni później ołtarz Maryjny, arcydzieło powstałe w pracowni Lukasa Cranacha zwanego Młodszym, zburzyć rozkazał. W ten sposób oburzenie katolickich Czechów wywołał. To i wojska habsburskie,

wsparte przez oddziały bawarskie, hiszpańskie, polskie z pomocą im ruszyły. Najważniejsza bitwa, jak powiedziałem, na Białej Górze się rozegrała. Zwyciężyli katolicy...

– Kolejny dowód na to, że gdy ktoś odważy się podnieść rękę na wiarę w Jezusa Chrystusa, wtedy ta ręka zostanie utracona – powiedział profesor poważnym głosem, nie pozwalając mówcy dokończyć zdania.

– To przede wszystkim na myśli miałem, że bitwa na praskiej Białej Górze wojnę trzydziestoletnią wywołała. Przesadą nie będzie wyciągnięcie następującego wniosku: w jej wszczęciu niemały udział państwa rodak miał. Grüneberczyk Abraham Scultetus.

– To jest nadużycie! – krzyknął emerytowany historyk.

– Panie profesorze, proszę się nie denerwować. Przecież Scultetus był Niemcem – starał się uspokoić go ksiądz.

– Z Pragi uciekając, wilk kalwiński albo rozsierdzona bestia, jak nieznanym z imienia kronikarz czeski go nazwał, w Grünebergu się zatrzymał. Razem z nim orszak zdetro nizowanej królowej Elisabeth Stuart do miasta w popłochu dotarł. Pamiętać proszę, że jeszcze przez z górą sto lat władzę w Winnym Grodzie Habsburgowie z Wiednia będą sprawowali.

– Dynastia niemiecka.

– Jej przedstawiciele rządili w Świętym Cesarstwie Rzymskim, Hiszpanii, Portugalii, Austrii, Burgundii, Niderlandach, na Węgrzech. Od końca piętnastego wieku także na Śląsku, gdy ta ziemia dostała się pod panowanie czeskie.

– To nie usprawiedliwia prelegenta, aby podczas tak ważnego dla nas, katolików dnia, jakim są Zaduszki, przypominał niechlubnego zwyrodnialca – stwierdził historyk,

oczekując wsparcia ze strony księdza, ale ten się nie odezwał. – Jego nazwisko powinno się wymazać z dziejów naszego miasta.

– Scultetus jako humanista bardzo ważne osiągnięcia dla teologii w ogóle, a dla doktryny kalwińskiej szczególnie miał. Co najmniej trzy dzieła stworzył, na które duchowni protestanccy nadal się powołują. W pamięci potomnych pozostał, gdyż patronem ulicy w Görlitz jest, gdzie przed studiami w Wittenberdze nauki pobierał. – Prelegent umilkł i wyciągnął rękę po szklankę z wodą, jakby w ten sposób chciał skupić uwagę słuchaczy na tym, co za chwilę powie. – Za jego zasługę można uznać i to, że swego miejsca urodzenia nigdy się nie wyparł, młodym wywodzącym się, jak to doktor Toczewski określa, ze Śląska Lubuskiego, pomagał w zdobywaniu wykształcenia i stanowisk.

– Nie ma czegoś takiego jak Śląsk Lubuski. Jest Dolny Śląsk. Jest historyczna Ziemia Lubuska. To znaczy była – wtrącił emerytowany historyk, po czym skarcony wzrokiem dyrektora muzeum schował się za plecami swego poprzednika.

Zauważyłem, że gość znowu uśmiechnął się do kustoszki, jakby ją prosił, żeby się nie denerwowała, bo on nie jest wrażliwy na uszczypliwe uwagi i nie ma ochoty wdawać się w polemikę. Najczęściej zwraca się do niej, ponieważ siedzi w pierwszym rzędzie i była pierwszą osobą z muzeum, z którą rozmawiał, a może i z upoważnienia dyrektora zaprosiła go na to spotkanie ze słuchaczami.

– W Heidelbergu również odbywał studia Bartholomeo Pitiscus, według jednych badaczy w Grünebergu urodzony, według innych w Schloin, czyli Słonym, gdzie jego

ojciec kaznodzieją miał być. Zanim Scultetus heidelberską katedrę badań nad Starym Testamentem objął, Pitiscus studia teologiczne w tej najslawniejszej uczelni kalwińskiej za sobą miał. Ponieważ wśród bractwa akademickiego grüneberczyk elokwencją się wyróżniał, kaznodzieją na dworze palatyna reńskiego został i z biegiem czasu żarliwym krzewicielem polityki Fryderyka IV Sprawiedliwego stał się. Oprócz teologii astronomią się pasjonował, co nie powinno dziwić, wszak w tamtym czasie wielu humanistów naukami ścisłymi się interesowało. W 1603 roku nawet heidelberską katedrę matematyki objął. W pięciotomowej księdze swoje przemyślenia zawarł, zaraz po jego śmierci w 1613 roku na angielski i francuski przełożonej. Onże po raz pierwszy sformułował pojęcie logarytmu jako wykładnika potęgi, do której należy podnieść liczbę stałą, aby liczbę logarytmowaną otrzymać.

Gdyby prelegent kazał mi powtórzyć słowo w słowo, pewnie spaliłbym się ze wstydu. W sali zrobiło się cichutko, co oznaczało, że nie tylko ja nie zrozumiałem istoty ostatniego zdania. Jednak lepiej milczeć, narażając się na podejrzenie o tępotę, niż udawać mędrca. Ku mojej radości prelegent nie przestał mówić.

– W historii nauki Pitiscus zapisał się jako autor terminu trygonometria i korektor tabel ułożonych przez Johanna Rheticusa, którymi Mikołaj Kopernik się posługiwał, arcydzieło swojego życia *De revolutionibus orbium coelestium* przygotowując. Historycy matematyki jego, to znaczy Rheticusa, jako tego, który wynalezienie przecinka w zapisie ułamków dziesiętnych zastosował, podają. Kto na ten pomysł wpadł: Pitiscus czy Rheticus, tego potwierdzić nie potrafię. Znalazłem także informację, że autorem

zastosowania przecinka w zapisie ułamków dziesiętnych jest Johannes Kepler, który w Sagan ostatnie lata swego życia spędził. Ale i, z czego państwo powinni dumni być – prelegent podniósł oczy na historyka i księdza, chwilę stał w bezruchu jakby w myślach tak układał zdanie, aby oni się zawstydzili – jeden z wielu kraterów na Księżycu imieniem grünberczyka nazwany został.

– Najbardziej odległe miejsce we Wszechświecie, gdzie można spotkać ślad grünberski, to znaczy zielonogórski – ucieszył się siedzący w pierwszym rzędzie doradca prezydenta miasta, z wykształcenia politolog, nazywany szarą eminencją.

– Jest jeszcze bardziej odległe.

– Gdzie? – zaciekawili się równocześnie doradca prezydenta i kanonik.

– Jedna z planetoid okrążających Słońce to Foerster. Nazwa została nadana na cześć astronoma w Grünebergu urodzonego i często do rodzinnego miasta z Berlina wracającego. O nim za chwilę. Zresztą inna planetoida, również Słońce okrążająca, Kepler się zwie. Nawiasem mówiąc, siły wyższe Wszechświata okolice Zielonej Góry wyraźnie sobie upodobały. Na bliskie państwu pola, łąki i lasy w ostatnich trzystu latach co najmniej cztery meteoryty spadły. Czy pierwszy astronauta Jurij Gagarin tylko ze względu politycznego w waszym mieście był? I jedynie dla uczczenia tego zdarzenia Wyższa Szkoła Inżynierska jego imieniem nazwana została? Przebudowa kina Wenus na Centrum Nauki Kepler i utworzenie tam planetarium to też przypadek? O upodobaniu sobie Zielonej Góry przez siły wyższe – mówca urwał nagle i znieruchomiał w pozie posągowej, a w sali zrobiło się tak cicho, że

nawet było słyszeć tykanie zegarków za ścianą – świadczy instytut astronomii, spośród wszystkich placówek badawczych Uniwersytetu Zielonogórskiego przez zagraniczne środowiska naukowe najwyżej oceniany.

Ta opinia prawdopodobnie nie spodobała się emerytowanemu profesorowi, bo wyprostował się na krześle, nabrał powietrza do płuc i otworzył usta, aby może przypomnieć swoje zasługi i powiedzieć, czym zajmują się badacze w instytucie historii, gdy doradca prezydenta nie tylko obrzucił go poirytowanym spojrzeniem, ale i nakazał milczenie. Zazdrość trudno ukryć, a zazdrosnych nikt nie lubi.

– Osiągnięcia słynnego astronoma rodem z Grüneberga za kilkanaście minut przedstawię. Najpierw ducha artysty przywołam, o którym tu obecny badacz przeszłości napisał, że do najwybitniejszych malarzy wyrosłych na gruncie polskim w osiemnastym wieku należał. Trafna opinia, panie profesorze – prelegent skierował wzrok pod ścianę, gdzie siedział dyrektor uniwersyteckiego instytutu historii z doktorantami i niemal wszyscy podążyli za jego spojrzeniem. Emerytowany historyk również uśmiechnął się do młodego profesora, było w tym więcej zawiści niż zachwytu i szacunku. – To Thadäus Kuntze w Krakowie bardziej znany jako Tadeusz Konicz, a we Włoszech i Hiszpanii jako Taddeo Pollacco. Swoje obrazy podpisywał też jako Kończa, Kunze, Kunczer, Cunse, Concze, Conse, Cuns, Kunce, Kunicki, Kunicz, Kuncz, Kuns. Znajdujący się w tej sali autor książki o Koniczu, Dariusz Dolański, pewnie mógłby uzupełnić listę jeszcze kilkunastoma podpisami i bez trudu dowieść, że na obrazach pędzla tego samego artysty one się znajdują.

– Oryginał – szepnął emerytowany historyk do księdza.

– Konicz?

– Prelegent – sprecyzował historyk. – Jakby faktycznie był nie z tego świata.

Na początku spotkania doszedłem do identycznego wniosku. To samo mógłbym powiedzieć o wielu osobach z tytułami naukowymi słuchającymi pogadanki, żadna jednak nie zachowywała się jak robot. A może to aktor przebrany w kostium prelegenta? Nie będę zaskoczony, gdy po prelekcji dyrektor muzeum zaprosi słuchaczy na poczęstunek i przyzna się do mistyfikacji. Dobrze ukryte kłamstwo trudno podważyć, tym bardziej gdy nie jest szkodliwe. Moja żona w takiej sytuacji powtarza, że czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Prelegent nawet się nie poruszył. Stał w pozie posągowej, jakby wsłuchiwał się w czyjś głos, ale przecież za stołem na tle wielkiego witrażu był tylko dyrektor muzeum i on. Może źle się poczuł? Zaraz zemdleje? Chyba jednak dobrze się czuje, bo po chwili milczenia wetknął dłoń do kieszeni marynarki i jakby coś wcisnął. Pewnie tylko tak mi się wydawało.

– Rozpocznę od drogi, jaką przebył dziadek malarza w okolice Grünebergu – prelegent powiedział odmienionym głosem. Emerytowany historyk i ksiądz poderwali głowy. Doradca prezydenta, dotąd siedzący ze splecionymi rękoma na piersiach, wyprostował się na krześle. Kustosza zdjęła nogę z nogi i obciągnęła sukienkę. Po sali przeszedł szmer. Uszczypnąłem się w policzek. A może prelegent od początku budował zdania według zasad języka polskiego, tylko ja odbierałem je tak, jakbym był na konferencji po niemieckiej stronie? Pewnie przysnąłem. – Ta droga, szczęśliwa, zaczęła się w Studencu niedaleko Lewoczy

na dzisiejszej Słowacji. Dziadek malarza zatrzymywał się na Kleparzu w Krakowie, na Grabiszynie we Wrocławiu, w Lesznie. Nie był pierwszym Spiszowianinem, który osiadł na Śląsku Lubuskim – prelegent omiółł wzrokiem głowy słuchaczy jakby szukał doktora Toczewskiego i chciał mu pogratulować wymyślenia nazwy na tę część ziemi, gdzie rozciąga się Zielona Góra. – Wiek wcześniej tę samą drogę pokonał artysta podziwiany przez znających wystrój kościołów w Gościszowicach, Chichach, Chotkowie, Dzikowicach, Wichowie, Żaganii, nazywany przez historyków sztuki Mistrzem ołtarza z Gościszowic. Gdybym powiedział, że wbrew stwierdzeniom badaczy przeszłości była to istota płci żeńskiej, zapewne odezwałyby się głosy protestu. Dlatego nie będę rozwijać tego tematu, chociaż aż mnie korci, aby powiedzieć coś, co wywoła burzę z piorunami. – Teraz prelegent dłużej zatrzymał spojrzenie na twarzy księdza i uśmiechnął się sam do siebie. Wydawało się, że zrobił to wymuszenie, jakby teatralnie. – Dziadek malarza, Juraj Konič, wyznający religię katolicką, był wędrownym grajkiem, żyjącym z tego, czym podzielił się z nim dobrzy ludzie. W swojej wędrownicy dotarł do Drentkau, państwu znanego jako Drzonków. Tam poślubił córkę takiego grajka, jak on sam. Z tego związku urodziło się dziewięćoro dzieci uzdolnionych artystycznie. Wśród nich był ojciec przyszłego malarza, który, gdy przyszła pora ożenku, na swoją żonę wybrał Anne Samblerin, pannę wyznania protestanckiego. Z miłości do niej zmienił religię i nazwisko. W dokumencie potwierdzającym małżeństwo występuje nie jako Gotfryd Konič, lecz Gottfried Kuntze. Przed chwilą powiedziałem, że ten krok zrobił z miłości do Anne, co jest tylko częścią prawdy. Ten krok zrobił rów-

niez i dlatego, żeby ułatwić sobie życie, wszak jako grajek miejski z nazwiskiem wyraźnie słowiańskim w Grünebergu nie mógł się spodziewać dochodów zapewniających utrzymanie rodziny. Jego żona wydała na świat troje dzieci, w 1727 roku bohatera mojej opowieści. Thadaüs po ojcu odziedziczył zdolności muzyczne i pewnie też byłby grakiem, gdyby nie to, że bardziej pociągało go malowanie, czego ślady znajdowały się na ścianach kamieniczek wokół ratusza. Jak zaznaczyłem, z samego grania trudno było utrzymać dzieci i żonę w Grünebergu, o czym Gottfried szybko się przekonał. Wtedy dusza wędrownego muzyka przypomniła mu, skąd pochodzi jego rodzina ze strony ojca. Nie wrócił na Spisz, a wybrał krakowski Kleparz, gdzie przed laty jego dziadek graniem próbował zarabiać na życie. Stamtąd droga do kuchni na dworze biskupim może nie była prosta, za to jak najbardziej słuszną. Tadeuszek zmywał statki, rąbał drwa do pieca, przynosił jarzyny do kuchni i pacykował na czym się dało, nawet szpikulcem na biskupich garnkach. Ktoś doniósł Stanisławowi Załuskiemu, że chłopak niszczy cenne, bo miedziane naczynia. Biskup zamiast go wytargać za uszy, dostrzegł talent chłopaka i najpierw posłał na naukę do pracowni krakowskich mistrzów, potem do sławnych uczelni rzymskich Akademii Francuskiej i Scuola del Nudo przy Akademii Świętego Łukasza. Oczywiście na swój koszt, zaznaczając, że jak się poduczy, to odpłaci mu się solidną pracą. W Rzymie przy jego nazwisku kancelista napisał: Tedesco, czyli Niemiec. Koledzy wołali: Taddeo Pollacco. Słusznie, bo mając opiekę krakowskiego biskupa, czuł się bardziej Polakiem niż Niemcem. To nowe przezwisko do tego stopnia mu odpowiadało, że nawet umieszczał je na

swoich obrazach. Malował dużo i zachwycająco. Głównie motywy religijne. O wielu jego dziełach piszą autorzy leksykonów sztuki przełomu baroku, rokoka i neoklasycyzmu. Był tak sławny, że mniej utalentowani, za to bardziej sprytni artyści podszywali się pod niego, to znaczy malowali obrazki z życia Wiecznego Miasta i jako wykonane ręką Konicza sprzedawali je przyjezdnym – ujawnił ze śmiechem gość, wywołując wesołość w sali akurat wtedy, kiedy chciał się odezwać emerytowany historyk. – Pan profesor ma pytanie?

– Skoro Konicz był sławny, to dlaczego my, zielonogórzanie – historyk pokazał na księdza i siedzącego obok niego z prawej strony archiwistę diecezjalnego – nic lub niewiele o nim wiemy? Dlaczego choćby reprodukcji jego dzieł nie ma w naszym mieście?

Kustosza natychmiast się poderwała, gotowa zaprotestować, ale dyrektor muzeum był jeszcze szybszy:

– Zapraszam pana profesora na pierwsze piętro naszej placówki. Tam jest galeria Tadeusza Kuntzego. Kuntzego, a nie Konicza. Jej twórca przyjął, że skoro mistrz nosił to nazwisko jako mieszkaniec Grünberga, niech u nas taki pozostanie. Oprócz pięciu oryginalnych dzieł Konicza, mnie jednak słowiańska wersja nazwiska bardziej odpowiada, są kopie arcydzieł *Fortuny* i *Sztuki*. Zdradzę państwu tajemnicę. – Dyrektor ściszył głos jakby był przekonany, że ściany mają uszy. – Zdaniem znawców i historyków sztuki kopia *Fortuny* wykonana przez Irenę Bierwiazzonek jest doskonalsza niż oryginał, to znaczy malarka dopracowała te detale, które pośpiesznie zamarkował Konicz lub których nie wykonali jego współpracownicy, a on nie dostrzegł niedoróbek. W galerii są także autentyczne prace artysty, przedstawiające portrety osób związanych z kró-

lewską rodziną Sobieskich. Stanowią one własność Fundacji Zbiorów imienia Ciechanowickich i kiedyś trzeba je będzie zwrócić. A może nie? Wróć do Warszawy i będą leżały w magazynie, w Zielonej Górze są muzealną atrakcją i wabią turystów.

Gdy dyrektor usiadł, prelegent kontynuował swoją opowieść, wbiwszy wzrok w emerytowanego profesora jakby chciał mu dopiec.

– Kto wybierze się z pielgrzymką do Włoch, niech zajrzy do Casino Stazi w Aricci koło Albano, gdzie spotka cudowne freski. Tyle lat minęło od ich wykonania, a mimo to wyglądają jak świeże. Proszę państwa, malowidła artysty urodzonego w Grünebergu zdobią wiele kościołów w Italii, między innymi w Cave koło Palestriny, w Broccacciano i Sorlano nel Cimino koło Viterbo. Można je spotkać w sali posiedzeń na ratuszu we Frascati, w tamtejszym seminarium, w kościołach Neapolu i przede wszystkim w licznych świątyniach Rzymu i w tamtejszych zbiorach muzealnych.

– Nadmienił pan, że wysyłając Kuntzego vel Konicza na studia do Rzymu, eminencja czcigodny ksiądz biskup Załuski spodziewał się wdzięczności – przypomniał duchowny takim tonem, jakby domagał się potwierdzenia tej informacji. – W jakiej formie oczekiwał owej wdzięczności?

– Biskup krakowski zaznaczył, że gdy Konicz się poduczy, to odplaci mu się solidną pracą. Na myśli miał wyłącznie miłe Bogu malowidła. Malarz dotrzymał słowa – podkreślił prelegent, robiąc pauzę, aby zdanie to lepiej zapadło w pamięci słuchaczy. – Obrazy urodzonego w Grünebergu artysty wiszą na ścianach wielu kościołów królewskiego Krakowa, między innymi w katedrze wawelskiej, u Misjonarzy na Stradomiu, u Karmelitów na Piasku, u Boni-

fatrów, u Świętego Floriana na Kleparzu. Upiększają wiejskie świątynie w Jedlińsku koło Radomia, w Tropiu koło Nowego Sącza, w Wojniczu koło Tarnowa. Są również ozdobą katedry w Łucku na dzisiejszej Ukrainie, a tam zawisły na prośbę biskupa Józefa Załuskiego, brata protektora naszego mistrza. Spotkacie je państwo w muzeach we Wrocławiu, Warszawie, Łańcucie, oczywiście w Zielonej Górze, a także w Hiszpanii, Anglii, Monaco i Włoszech.

W sali zrobiło się cicho. Najczęściej zadający pytania profesor i duchowny milczeli, inni czekali na ciąg dalszy opowieści o malarzu.

– Chwała dyrektorowi muzeum i jego współpracownikom, że w swojej działalności tyle miejsca poświęcili autorowi alegorycznej *Fortuny* – gość powiedział to poważnym głosem i wydawał się pewny swego. Dyrektor aż się skulił przygnieciony ciężarem nieoczekiwanej pochwały. – Tadeusz Koniecz większość życia spędził w Wiecznym Mieście, tam też niespodziewanie zakończył swoje pracowite dni. O tym, ile znaczył jako artysta i mistrz pędzla, świadczy to, że jego uczniem i lokatorem był... Francisco Goya.

Po sali przeszedł szmer. To znaczy, że sławny portrecista i nadworny malarz królów hiszpańskich, którego twórczość inspirowała Maneta, Daumiera, Muncha, Picassa i tysiące mniej utalentowanych artystów, uczył się u Konieczy? Też nie wierzyłem, ale nikt nie odważył się poprosić prelegenta o powtórzenie zdania. Gdyby odpowiedział na prośbę, część słuchaczy musiałaby przestać wierzyć, że wielcy ludzie rodzą się tylko w wielkich miastach lub w znakomitych rodach.

– Winny Gród, jak również nie tylko państwo, lecz i grüneberczycy nazywali Zieloną Górę, ma coś, co rzadko

występuje gdzie indziej. Można to spotkać, na przykład, w Wittenberdze i Heidelbergu, w Paryżu, w Sankt Petersburgu. W Krakowie i w Toruniu. Nie znam wniosków z dociekań, czy w Zielonej Górze jest to spowodowane przez łagodny klimat, czy położenie na wzgórzach wygrzewających się w słońcu i promieniowanie jonizujące, czy mutacje materiału genetycznego wywołane przez, na przykład, fale elektromagnetyczne, czy może wpływ sił wyższych. – Gość zatrzymał spojrzenie na duchownym jakby prosił go o przytaknięcie, ale ksiądz umknął wzrokiem na ścianę, gdzie wisiały malowidła z motywami winiarskimi. – Od założenia miasta, Grüneberg przyciągał osadników. Jak wcześniej wykazałem, tu się rodziły wybitne jednostki. Przodek Foersterów osiadł w Grünebergu w szesnastym wieku. Dlaczego tu, a nie w Glogau czy Liegnitz, nie naktąłem się na wyjaśnienie tej decyzji. Z punktu widzenia grüneberczyków było to najlepsze, co mogło ich spotkać. Nie mam wątpliwości, że rodzinie Foersterów Winny Gród, położony na skraju ważnych szlaków handlowych, zawdzięcza swój rozwój, a przede wszystkim tempo industrializacji. Gdyby nie kolejne pokolenia pełnych inwencji potomków Jeremiasa Foerстера, nie byłoby ani unowocześniania fabryk sukienniczych, ani winiarni i wytwórni koniaków dających przyzwoity dochód, ani wyjątkowych ogrodów wzdłuż głównych ulic czy budowli przy dzisiejszej alei Niepodległości. A i świat nie doczekałby się serii ważnych odkryć. – W sali była taka cisza, że nawet przygłuchy przewodniczący miejskiej rady seniorów musiał słyszeć bzykanie wybitych ze snu much, co pewnie go bardzo denerwowało, bo wiercił się na krześle i poprawiał aparat słuchowy przytroczony do zauszniaka. – Mimo że

zasłynął przede wszystkim jako przebojowy fabrykant, jego imię i nazwisko znalazło się również w złotej księdze dziejopisarzy. Mam na myśli Friedricha Foerstera, który spisał grüneberskie historie od najdawniejszego czasu po rok 1830, jak wyjaśnił we wstępie, z miłości do miasta rodzinnego.

– Z naukowego punktu widzenia *Grünbergs Geschichte von frühster Zeit bis zum Jahre 1830* nie przedstawia większej wartości – oznajmił profesor, ale ponieważ nikt spośród słuchaczy nie zaprotestował przeciw tej opinii ani nie domagał się jej uzasadnienia, czego spodziewał się emerytowany historyk, sąsiad księdza milczał. Po chwili oczekiwania kontynuował: – O wiele cenniejszy dla badacza i zwykłego czytelnika jest zbiór obrazków z dziejów miasta pióra kolejnego przedstawiciela tego rodu, Augusta Foerstera. Napisał, że nazwa miasta nie wywodzi się od założycieli, von Grünbergów czy von Grünebergów, lecz od słowiańskiego określenia osady położonej między zielonymi wzgórzami. Oni, jak niewątpliwie słusznie stwierdził August Foerster, osadę nazwali Zieloną Górą.

– U Schmidta, a to najpoważniejszy znawca dziejów miasta, nie ma potwierdzenia tego, o czym pan profesor był uprzejmy powiedzieć – odezwał się sąsiad dyrektora instytutu historii, redaktor niedawno wydanej dwutomowej pracy o przeszłości miasta.

– Niech młodszy kolega nigdy nie powołuje się na wypowiedziny Schmidta – poradził z wyższością w głosie emerytowany profesor i z wymuszonym uśmiechem odwrócił głowę w stronę adwersarza. – Czy nauczyciel gimnazjalny, amatorsko interesujący się biologią, archiwistyką, historią i dziesiątkiem innych spraw... aha, w dodatku radny miej-

ski z ramienia socjaldemokratów, ma czas, żeby napisać rzetelną monografię?

– August Foerster także nie był dyplomowanym historykiem, a pan, profesorze, powołuje się na jego opinię w kwestii pochodzenia nazwy miasta – w obronie młodszego historyka stanął rektor uniwersytetu.

– Skoro Niemiec...

– Gdy jeszcze niedawno rządzący Polską szukali okazji, aby głądzić, że wróciliśmy na stare ziemie piastowskie, pan wspierał ich swoimi publikacjami i stopniem doktorskim uzyskanym na wydziale historii marksizmu w Mińskiej Wyższej Szkoły Partyjnej – przypomniawszy rektor. – Dziś dawne pole walki przekształciło się w okrągły stół dialogu, a pan, profesorze, jakby tego nie zauważył i nadal uprawia propagandę. Z tą różnicą, że teraz strzela pan w stronę tych, przed którymi do niedawna schylał kark i od których przyjmował nagrody.

Profesor zazgrzytał zębami i zrobił się czerwony, potem zwiesił głowę na piersi i ukryty za plecami doradcy prezydenta milczał. Ksiądz, czego się spodziewałem, nie stanął po jego stronie.

Prelegent wsłuchiwał się w dyskusję bez zaciekawienia, jakby nie rozumiał, czego dotyczy, lecz jej nie przerywał, nawet nie wyciągnął ręki po szklankę z wodą. Dyrektor muzeum ciężko oparł się o stół aż coś zatrzeszczało i zanim otworzył usta, polemiści zganieni jego krytycznym wzrokiem, siedzieli jak trusie.

– To bardzo dobrze, że panowie profesorowie bronią swoich zdań. Źle, że akurat wtedy, kiedy referent z Zakonnego Instytutu Badania Wszechhistoriografii ma nam do przekazania naprawdę ciekawe rzeczy. Sugeruję zatem, aby

panowie profesorowie odłożyli spór na potem, kiedy przejdą do bufetu, gdzie przy filiżankach aromatycznej kawy będą mogli bronić swoich stanowisk. Czy ktoś ma inną propozycję? – Nikt się nie odezwał, toteż dyrektor zwrócił się do gościa: – Proszę kontynuować prelekcję.

– Państwa powinien zainteresować kolejny przedstawiciel rodu Foersterów, Wilhelm Julius. Urodzony w Grönebergu, kształcił się w Breslau, Bonn i Berlinie. Po studiach próbował wspiąć się na wyżynę kariery wojskowej, ale oficer z niego był kiepski, dlatego zamienił pułk artylerii na obserwatorium astronomiczne w Berlinie. Gröneberczyk powziął najśluszniejszą decyzję, o czym świadczą jego niebagatelne osiągnięcia. Jako astronom wspólnie z gronem z współpracowników badał planetoidy, komety i zaćmienie gwiazd. Jego nazwisko jako odkrywcy widnieje przy planetoidzie Erato, potrzebującej pięciu lat na okrążenie Słońca. Zanim został dyrektorem berlińskiego obserwatorium, razem z Oskarem Lesserem dokonał tego odkrycia w 1860 roku. Wilhelm Foerster był założycielem niemieckiego towarzystwa astronomicznego i członkiem międzynarodowego stowarzyszenia, redagował czasopisma i książki poświęcone astronomii. Władze niemieckie jemu powierzyły założenie obserwatorium na przedmieściu Poczdamu, znanego jako Wieża Einsteina, gdzie prowadzili badania współpracownicy genialnego fizyka. Wykładał historię astronomii i etykę na berlińskim uniwersytecie, którego rektorem był i dziekanem wydziału filozoficznego. Przed wybuchem pierwszej wojny światowej z grupą intelektualistów podpisał manifest przeciw nacjonalizmowi. W tym samym czasie jego pierworodny syn, Friedrich Wilhelm, również profesor uniwersytecki, etyk i filozof,

miął odwagę sprzeciwić się polityce militarnej cesarza Wilhelma II Hohenzollerna. Za swoje poglądy został skazany na karę twierdzy, co tylko umocniło pozycję jego i ojca w rodzinie intelektualistów. Tych, którzy jeszcze nie wiedzą, informuję, że żoną ostatniego cesarza Niemiec była Herminne von Reuss, wdowa po właścicielu Zaboru, który wtedy zwał się Saabor. I przedostatnie zdanie w sprawie Wilhelma Foerстера, doktora honoris causa uniwersytetu w Oksfordzie. Profesor pełnił wiele funkcji w instytucjach zajmujących się sprawami mierniczymi, łącznie z kierowaniem Międzynarodowym Komitetem Miar i Wąg z siedzibą w Paryżu. Jak wcześniej powiedziałem, planetoida okrążająca Słońce, odkryta dopiero w 1986 roku przez astronoma w Australii, została nazwana Foerster.

– Podobno wieża na dzisiejszym Wzgórzu Braniborskim, w której ulokowało się uniwersyteckie obserwatorium astronomiczne, stanęła z inicjatywy profesora Wilhelma Foerстера – odezwał się przewodniczący miejskiej rady seniorów.

Prelegent kiwnął głową i przytaknął, ale zaraz, słysząc szmer w sali, domyślił się, że to za mało, wyjaśnił więc, że:

– Ufundowali ją grüneberczycy należący do towarzystwa upiększania miasta, którym kierował ojciec sławnego astronoma. Jej najwyższa kondygnacja pełniła rolę obserwatorium wyposażonego w podstawowe przyrządy do oglądania nieba, na niższych poziomach była wyborna restauracja i nobliwa kawiarnia. Co ciekawe, profesor Foerster nie krył przed swoimi współpracownikami, skąd pochodzi i dlaczego lubi wracać do Grünebergu. Kilka razy w roku przyjeżdżał w rodzinne strony jako prelegent lub towarzysz podróży innych prelegentów. Spotkania z astro-

nomami zaczynały się w restauracji, a kończyły długo po północy w obserwatorium. Wilhelm Foerster jako pierwszy zaobserwował, że wokół Grünebergu spadło więcej meteorytów niż gdzie indziej. I że tu więcej osób niż gdzie indziej interesuje się astronomią. Ba, w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców Zielona Góra przoduje w Polsce pod względem badaczy nieba, a osiągnięcia stawiają ich wśród najpoważniejszych astronomów na Ziemi. Dlaczego?

Ponieważ prelegent nie wyjaśnił, do kogo skierował pytanie, nikt się nie odezwał. Nawet taksówkarz, który skończył studia fizyczne i krytykował wszystko w mieście, a szczególnie to, że jest nieprzydatny w wyuczonym zawodzie, teraz nabrał wody w usta. Emerytowany historyk i ksiądz wymienili spojrzenia, rektor wyjął chusteczkę z kieszeni i długo wycierał najpierw czoło, potem nos, mój kolega, autor cyklu naprawdę poczytnych powieści fantastyczno-naukowych, coś pilnie zapisywał, a siedzący za mną dziennikarz radiowy dyszkantem szeptał do komórki.

– Był jeszcze jeden Foerster urodzony w Grünebergu. Rozgłos zdobył w dziedzinie chemii.

– Czyżby kolejny syn tego samego Friedricha? – zaciekawiał się doradca prezydenta i nieporadnie powiedział coś o dziedziczeniu najbardziej pożądanых cech.

– Jego wnuk. Fritz był najstarszym synem Augusta – wyjaśnił prelegent, ale głowę podniósł w kierunku emerytowanego historyka i przez chwilę wpatrywał się w niego chłodnym wzrokiem. Później oczy skierował w głąb sali, gdzie dyrektor instytutu historii coś szeptał do ucha rektora. Uśmiechnął się do niego, jakby dawał mu do zrozumienia, żeby szedł własną drogą. – Fritz był synem Augusta, autora kolejnej monografii Grüneberga, przez tak

zwanych zwykłych czytelników najlepiej przyjętej, bowiem napisanej potoczystym językiem. Wadą większości prac historycznych jest to, że ich autorzy piszą nie z myślą o zwykłych czytelnikach, lecz o recenzentach i innych historykach. Często aby je zrozumieć, trzeba posługiwać się słownikiem wyrazów trudnych. – Znowu spojrzał na emerytowanego historyka, który zwiesił głowę jakby domyślał się, czyje książki mówca ma na myśli.

– Nauka...

Prelegent zdecydowanie przeciął ręką powietrze, nie pozwalając duchownemu dokończyć zdania.

– Nauka nie jest wyłącznie dla pracowników uniwersytetów i bywalców konferencji zwanych naukowymi – podkreślił, przeciw czemu nikt nie zaprotestował. – Prawdziwa nauka to nie getto, do którego nie mają wstępu istoty spoza placówek badawczych. Pod uwagę i to proszę wziąć, że na naukę łożą podatnicy. Czy nie należy im się rekompensata w postaci chociażby wiadomości zrozumiale przekazanych na kartach książek? W Zakonnym Instytucie Badania Wszechhistoriografii, gdzie już dawno zrezygnowaliśmy z papieru jako nośnika treści, obowiązuje zasada: można prowadzić wyłącznie takie prace, które służą większości istot. Tak właśnie swoją misję badacza rozumiał Fritz Foerster. Po studiach chemicznych w Berlinie, pracował w Dresden, w Dreźnie – dodał, mrugnawszy do kustoszki – gdzie wykładał elektrochemię i prowadził badania naukowe. Był również rektorem uczelni, która po latach urosła do rangi uniwersytetu technicznego, uważanego za jedną z najbardziej nowoczesnych uczelni w Europie. Dydaktyka jednak najmniej mu odpowiadała, mimo iż napisał podręcznik akademicki pomocny w trakcie zajęć z elek-

trochemii roztworów wodnych. Fritza Foerстера przede wszystkim pociągała nauka. Zajmując się desmotropią, nie zdawał sobie sprawy z tego, że doprowadzi do rozwoju tautometrii. – Pierwszy raz usłyszałem obie nazwy, toteż zapisałem je w notesie, aby po powrocie do domu sprawdzić w encyklopedii, czego one dotyczą. – Udoskonalił akumulator niklowo-żelazowy, do niedawna powszechnie stosowany w samochodach jako źródło prądu. Zajmował się elektrolizą i jeszcze kilkoma zagadnieniami z zakresu chemii, o których już niewiele się mówi przede wszystkim dlatego, że z biegiem lat straciły na znaczeniu, a publikacje, w których autor je przedstawił, zostały wycofane z bibliotek.

– Może nieświadomie dowiódł pan, że najbardziej przydatne dla cywilizacji są nauki humanistyczne – powiedział emerytowany historyk, odwracając się do rektora, jakby prosił go o poparcie.

– Historia coraz częściej nie radzi sobie z interpretacją faktów i dlatego wkracza na pole literatury – odezwał się autor powieści fantastyczno-naukowych.

– Gdyby pan był historykiem z wykształceniem uniwersyteckim, nie powtarzałby takich bzdur – zganił go emerytowany profesor.

– Coś w tym jest – rzucił rektor, ale nie uzasadnił swojego stwierdzenia.

Zauważyłem, że gość znowu patrzy na kustoszkę. W jego coraz bardziej jasnych oczach było więcej odpowiedzi niż pytań, mimo to nie polemizował ze słuchaczami, jakby uznał ich wypowiedzi za nieszkodliwe. Przyjętą taktyką przekonywał, że rozmowa z sensem polega na umożliwieniu mówcy wypowiedzenia swego zdania bez

skrępowania. Czy każdy dyskutant przekona słuchaczy, zależy to nie od jego mądrości i autorytetu, lecz od sposobu, w jaki przedstawia argumenty. Nierzadko bywa, że dyskusja przybiera charakter męczącego przedstawienia.

- O tym, że Fritz Foerster był ceniony przez potomnych, świadczy nazwany jego imieniem plac w Dreźnie i neoklasyczny budynek uniwersyteckiego instytutu chemii - dodał prelegent. Po chwili ni to spytał, ni się zastanawiał na głos: - Czy w Zielonej Górze powinny być potwierdzenia w postaci, na przykład, tablic pamiątkowych poświadczających związki przedstawicieli rodu Foersterów z miastem?

- Oczywiście! - wykrzyknął redaktor naczelny czasopisma winiarskiego, ignorowany przez historyków dlatego, że ukończył studia z zakresu architektury. Ponieważ zna biegle język niemiecki, wydobywa z zakamarków informacje o mniej znanych dziejach miasta i ogłasza je w swoim periodyku.

- Też tak uważam - zgodził się z nim autor powieści fantastyczno-naukowych.

Natychmiast obu poparł rektor.

- Z pewnością słuszne uwagi, mimo to trzeba je omówić w szerszym gronie - odezwał się doradca prezydenta. Ci, którzy lepiej go znali, nie mieli wątpliwości, że po wyjściu z muzeum nie będzie pamiętał, co zapowiedział.

- Przecież Foersterowie to Niemcy - rzucił emerytowany historyk z oburzeniem.

- Prusacy - sprostował ktoś, kogo nie poznałem po głosie.

- Mieszkańcy Grünberga, identycznie jak mieszkańcy Glogau czy Breslau, to najpierw pruscy Ślązacy, potem Niemcy - uściślił ktoś inny również z końca sali.

– Kilka lat temu na kamienicy przy ulicy Kupieckiej, gdzie urodził się Otto Julius Bierbaum, właśnie zawisła tablica z treścią po polsku i niemiecku – przypomniał redaktor naczelny czasopisma samorządowego. – Nie słyszałem, żeby komukolwiek przeszkadzał napis dwujęzyczny. Przeciwnie, wielu zielonogórczan jest dumnych, że prekursor sztuki kabaretowej urodził się w naszym mieście.

– Nie w naszym, szanowny panie, nie w naszym. Bierbaum, czy jak mu tam, urodził się w niemieckim Grünbergu – nie poddawał się emerytowany historyk.

Redaktor naczelny machnął ręką, oparł się mocniej o poręcz krzesła, nogę założył na nogę, ręce splótł na piersiach i patrzył przed siebie, co uznałem nie tyle za ignorancję profesora, co za szacunek dla siwej głowy. Też uważałem, że im człowiek jest starszy, tym bardziej w jego obecności należy trzymać język za zębami.

– Proszę kontynuować – zwrócił się dyrektor muzeum do prelegenta.

– Padło już, że Otto Bierbaum urodził się w Grünbergu przy ulicy Kupieckiej, która pod koniec dziewiętnastego wieku nazywała się Johannis Strasse. Jego ojciec był właścicielem cukierni i pijalni kawy. Matka zajmowała się wychowywaniem dzieci, prowadziła dom i wtrącała się do wszystkiego, co dotyczyło tak firmy, jak i rodziny. Zdecydowała, że najmłodszy syn ma się nauczyć rzemiosła i przejąć cukiernię, najstarszego zaś wysłała na studia prawnicze do Berlina. Skończy uniwersytet, to się zobaczy, co będzie robił. Jej zdaniem Otto był nieodpowiedzialny, od małego taki trochę komedian, trochę lekkoduch, zresztą miał wiele cech swego ojca kaznodziei w kościele Zum Garten Christi – podkreślił gość z nieudawaną ironią w coraz bardziej cichym gło-

sie. Miałem wrażenie, że zaraz zamilknie, mimo iż częściej sięgał po szklankę z wodą. – Szczególnie z punktu widzenia twórczości literackiej decyzja matki w sprawie posłania Ottona do Berlina okazała się słuszna. Tam, wymknąwszy się spod jej kurateli, zaglądał do winiarni, gdzie spotykała się bohema berlińska. Dość szybko stał się duszą towarzystwa, a że miał wyjątkowy talent do satyrycznego widzenia swego otoczenia, nie ustawał w pisaniu kupletów, frywolnych wierszyków, tekstów do śpiewania, skeczów. Jak mówił, chodzi mu o to, żeby było do śmiechu, wesoło i niepoważnie. To jedni uważali, że jest genialny, drudzy że kiczowaty. Że wielkoduszny i że małostkowy. Solidny i niestały. Nie znał zahamowań, szydził nawet z polityki prowadzonej przez kajzera Wilhelma II. Właśnie dlatego tajna policja nie dawała mu spokoju, zresztą tym się specjalnie nie przejmował. „Humor to gumowy miecz, pozwala trafić w sedno bez rozlewu krwi”, napisał, czym jeszcze bardziej rozsierdził cesarskich szpicli. Jego starszy kolega Frank Wedekind miał mniej szczęścia, bo po publikacji poematu *Im heiligen Land*, w którym satyrycznie przedstawił wizytę cesarza Wilhelma II w Palestynie, musiał emigrować z Niemiec. A gdy wrócił po roku, został aresztowany i pół roku odsiedział w celi więzienia Plötzensee, uważanego za najsurowsze w Berlinie. Historycy literatury zaliczyli Bierbauma do największych poetów końca dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku. Proszę sobie wyobrazić, że ponad sto tysięcy czytelników w Niemczech, Austrii, Szwajcarii, na Śląsku, w Wielkopolsce kupiło zbiór jego wierszy *Irrgarten der Liebe*. Który współczesny poeta może się pochwalić takim sukcesem?

Żaden. Mimo że jestem uważany za autora poczytnych powieści i opowiadań, odbieram nagrody literackie, moje

wszystkie dotąd wydane książki ledwie przekroczyły próg stu tysięcy sprzedanych egzemplarzy.

– Kilka utworów z tomu *Irrgarten der Liebe* tak spodobało się Leopoldowi Staffowi, również synowi cukiernika, że przełożył je na polski. Z kolei kronikarze kabaretu uznali Bierbauma za ojca tej sztuki na niemieckim obszarze językowym. Do historii tego gatunku literackiego przeszedł zbiór *Deutsche Chansons*, przygotowany przez grüneberczyka i jego przyjaciół. Swego kompana od kieliszka, Stanisława Przybyszewskiego, uczynił bohaterem powieści *Prinz Kuckkuck*. Bierbaum jest autorem pierwszego w historii literatury dziennika podróży odbytej samochodem *Eine empfindsame Reise im Automobil*. Pisał utwory satyryczne, powieści, reportaże, spod jego pióra wyszły także książki dla dzieci. I, na co zwracam uwagę – prelegent urwał nagle, jakby w ten sposób chciał szczególnie podkreślić to, co powie – chętnie wracał do Grüneberga. Często można go było spotkać w winiarni Unter den Drei Hügeln na dzisiejszym placu Pocztowym, a jeszcze częściej w Café Kaiserkrone, gdzie przy niejednej szklaneczce wina pisał artykuły drukowane w „Grünberger Wochenblatt”. Wszystko co robił, robił wedle swojej zasady: „Śmiej się z tego świata. On na pewno z ciebie śmiać się będzie”.

– Na podstawie tego, co pan powiedział, doszedłem do wniosku, że umieszczenie tablicy pamiątkowej na kamienicy przy Kupieckiej, gdzie Otto Bierbaum przyszedł na świat, było jak najbardziej słuszne – stwierdził doradca prezydenta.

– Otto Julius Bierbaum to najznakomitszy pisarz spośród tych, których nasze wydało miasto na przestrzeni wieków. Można o nim przeczytać w każdej historii lite-

ratury niemieckiej – dodał redaktor naczelny czasopisma samorządowego. – Jeśli radni znajdą się pieniądze na postawienie w mieście jeszcze jednego pomnika, na cokole powinien stanąć Otto Bierbaum odlany z brązu.

– Niemca mamy honorować? – spytał z oburzeniem emerytowany historyk.

– Przedniego artystę – stwierdził redaktor.

– Proszę państwa – zaczął rektor, aby ochłodzić dyskusję – ile kabaretów narodziło się w Zielonej Górze, trudno zliczyć. Kiedy zaczynałem pracę na uczelni, był tylko jeden. Kabaret Potem. Wspinając się po drabinie nauki, obserwowałem, jak powstawały: Ciach, Hlynur, Hrabi, Jurki, Made in China, Słuchajcie, Nowaki, Chynów. Wymieniłem te najbardziej popularne. Poznane za pośrednictwem telewizji. Nie bez przyczyny znawca i popularyzator sztuki estradowej, za jakiego uchodzi Piotr Bałtroczyk, nazwał ten fenomen Zielonogórskim Zagłębiem Kabaretowym. Może więc zespoły bawiące widzów podczas dorocznych festiwali kabaretu w auli Uniwersytetu Zielonogórskiego powinny walczyć nie o statuetkę fikcyjnego Ericha von Patisona, lecz o nagrodę imienia Ottona Juliusa Bierbauma.

– Słuszna uwaga, ale trzeba to rozważyć w szerszym gronie – odezwał się doradca prezydenta. – I koniecznie wysłuchać opinii środowiska kabaretowego. Żyjemy w kraju demokratycznym, prawda.

W sali zawisła cisza. Dyrektor muzeum zwrócił głowę w stronę prelegenta.

– Tyle miałem do powiedzenia na temat osób urodzonych w Grünebergu, które zasługują na pamięć. Zanim podziękuję państwu za uwagę, krótki wniosek: istoty urodzone w Winnym Grodzie zawsze miały wrażliwe

umysły i pasję odkrywców. To pozostało do dziś, mimo że czas płynie i zmieniają się nacje. Zdecydowana większość współczesnych zielonogórczan to Polacy. Z roku na rok przybywa Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Niemców, Holendrów, Włochów, Cyganów, Wietnamczyków, Hindusów. W Zielonej Górze mieszka nawet Portorykańczyk i... Papuas z Nowej Gwinei. – Gość oparł się rękoma o blat stolika i schylił głowę.

– Dlaczegoś pan chociaż słowem nie wspomniał o wielkim admirale Raederze? – spytał emerytowany historyk. – Co pan ukrywa?

– Erich Raeder urodził się w Wandsbek, wtedy miejscowości przylegającej do Hamburga, dziś dzielnicy tego wielkiego miasta. W Grünebergu znalazł się, gdy jego ojciec nauczyciel francuskiego został dyrektorem szkoły przy dzisiejszej ulicy Stanisława Moniuszki. Erich został grüneberczykiem, mając trzynaście lat.

– A Kazimierz Lisowski? – nie poddawał się historyk.

– Nie znam jego zasług – przyznał się prelegent, powoli i ciężko podnosząc głowę. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Jeszcze trochę i zwali się z nóg.

– Był prezesem Towarzystwa Rzemieślników Polskich w międzywojennej Zielonej Górze...

– W Grünbergu – wtrącił przewodniczący miejskiej rady seniorów.

– Niech będzie: w Grünbergu. Zasłużył się dla sprawy polskiej w tym mieście.

– A czym się zasłużył? – spytał redaktor naczelny czasopisma samorządowego.

– Jak to czym? Patriotyzmem! – wykrzyknął historyk.

– Był prezesem towarzystwa skupiającego rzemieślników,

którzy na obczyźnie z wielką determinacją walczyli o szacunek i godność Polaka-katolika. Wezwany do budynku gestapo na przesłuchanie, już stamtąd nie wyszedł. Zresztą na kamienicy przy ulicy Sienkiewicza, w której mieszkał, z inicjatywy moich znajomych zawisła tablica pamiątkowa.

– Zdaje się, że na placyku koło elżbietanek stoi jego pomnik – wtrącił ksiądz kanonik.

– Kazimierz Lisowski urodził się gdzieś koło Śre-
mu, a nie w Grünbergu – powiedział dyrektor muzeum.

– Ogromne zasługi miał również Georg Beuchelt, założyciel fabryki znanej państwu jako Zastał, czy diakonisa Anne Borchers, uważana za prekursorkę nowoczesnego wychowania dzieci przedszkolnych. Oboje długo mieszkali w Winnym Grodzie, ale nie byli grünberczykami z urodzenia.

– To i ksiądz dziekan kanonik Kazimierz Michalski... – nieśmiało zaczął duchowny i urwał.

– A profesor Janusz Gil, kontynuator sukcesów Foer-
stera, pomysłodawca Centrum Nauki imienia Keplera –
dodał rektor uniwersytetu.

– Przy innej okazji będziemy wspominali tych, którzy związali się z naszym miastem, ale nie byli stąd. Dziś chcieliśmy przypomnieć sławnych grünberczyków z urodzenia. Dziękuję panu za wygłoszenie interesującej prelekcji. – Dyrektor muzeum pokazał na gościa i złożył ręce do okłasków. Wszyscy w sali witrażowej bił brawo. Twarz prelegenta nie wyrażała radości, wyglądał tak, jakby nie słyszał owacji. – Zapraszam do bufetu na kawę i herbatę, gdzie będziemy mogli prowadzić rozmowy w grupach.

W sali zrobił się rejwach. Emerytowany profesor i duchowny podnieśli się i patrzyli to w kierunku bufetu, to

na wyjście, jakby nie mogli się zdecydować, co wybrać. Doradca prezydenta wstał, obciągnął marynarkę, poprawił okulary, wytarł dłoń o spodnie i ruszył przed siebie z precyzyjnie ułożoną przemową.

– A gdzie jest prelegent? – spytał, zatrzymując się przed stolikiem.

– Był tu – odpowiedział dyrektor muzeum i wyciągnął szyję nad głowami słuchaczy. – Pewnie już poszedł do bufetu. Koleżanko kustosz! – zawołał w stronę, gdzie powinna być kustoszka, lecz i jej nie było w sali.

– A nie mówiłem księdzu kanonikowi, że facet jest nie z tego świata – cieszył się emerytowany historyk.

– Kosmita? – zachnął się jego towarzysz z koloratką na szyi.

– Prędzej Iluminauta. Teraz są wszędzie. A najwięcej ich na naszym uniwersytecie.

Słowniczek nazw

(jeżeli nie została podana nazwa miejscowości, to chodzi o ulicę w Zielonej Górze; informacje z 2017 roku)

Am Graben – ul. Mikołaja Kopernika

Am Schneiderberg – ul. Zielona

Banhofstrasse – al. Niepodległości

Berlinerstrasse – ul. Jedności

Breslau – Wrocław

Breslauerstrasse – ul. Wrocławska

Beuthen – Bytom Odrzański

Breiterstrasse – ul. gen. Władysława Sikorskiego

Bunzlau – Bolesławiec

Carolat – Siedlisko

Christuskirche – kościół Jezusowy przy pl. Bohaterów

Crampau – Krępa, dawniej wieś, dziś część Zielonej Góry

Drentkau – Drzonków, dawniej wieś, dziś część Zielonej Góry

Dresden – Drezno

Düneburg – Dyneburg

Glasserstrasse – ul. Jana Kasprowicza

Glogau – Głogów

Glogovia – Głogów

Glasserplatz – pl. Powstańców Wielkopolskich

Goldene Lunze – Złota Łąca

Greifswald – Gryfia

- Grosse Bahnhofstrasse – al. Niepodległości
Grosse Kirchstrasse – ul. Adama Mickiewicza
Grünberg, Grüneberg – Zielona Góra
Grunenbergia – Zielona Góra
Grünbergershöhe, Grünbergers Höhe – Wzgórze Braniborskie
Grüner Kreuz – dawny cmentarz tam, gdzie jest park Tysiąclecia
Grüner Weg – ul. Zyty
Güntersdorf – Zatonie, dawniej wieś, dziś część Zielonej Góry
Halbmeilmühle – Wzgórze Młyńskie lub Wzgórze Braniborskie
Heinersdorf – Jędrzychów, dawniej wieś, dziś część Zielonej Góry
Heinrichau – Wilkanówko
Herrenteich – nieistniejący zbiornik wodny w pobliżu ul. Drzewnej
Hirschberg (im Riesengebirge) – Jelenia Góra
Hirschberg – wzgórze bez polskiej nazwy na os. Juliusza Słowackiego
Hospitalstrasse – ul. Stanisława Moniuszki
Instenburg – Czarniachorsk (pol. Wystruć) w obwodzie kaliningradzkim w Rosji
Johannis Strasse – ul. Kupiecka
Kleine Bahnhofstrasse – ul. Kazimierza Wielkiego
Klenitz – Klenica
Königsallee – al. Orła Białego w Legnicy
Königsberg – Kaliningrad (pol. Królewiec) w Rosji
Kontopp – Konotop
Krakau – Kraków

- Krummhübel – Karpacz
 Kurland – Kurlandia
 Küstrin – Kostrzyn nad Odrą
 Landsberg – Gorzów Wielkopolski
 Lange Gasse – ul. Długa
 Langenau – Czernica koło Jeleniej Góry
 Lawaldau – Racula, dawniej wieś, dziś część Zielonej Góry
 Lipsia – Lipsk
 Leipzig – Lipsk
 Lignitium – Legnica
 Lindenberg – ul. Fryderyka Chopina
 Livland – Inflanty
 Löbtenz – wzgórze bez polskiej nazwy na os. Juliusza Słowackiego
 Lomnitz – Łomnica koło Jeleniej Góry
 Louisenthal – Dolina Luizy
 Löwenberg – Lwówek Śląski
 Meiserberge – Góra Wilkanowska lub Góra Kosowa
 Maulbererallee – ul. Morwowa
 Neumarkt – pl. Słowiański
 Neusalz – Nowa Sól
 Neustadstrasse – ul. dr. Pieniężnego
 Nieder Gasse – ul. Kupiecka
 Niderthorgasse – ul. Stefana Żeromskiego
 Nikolaistrasse – ul. Nowy Świat w Legnicy
 Ober Jahnsdorf – Janówek w powiecie ząbkowickim
 Ocheln – Ochla, dawniej wieś, dziś część Zielonej Góry
 Ocheldorfferstrasse – ul. Botaniczna
 Oderwald – Las Odrzański, Las Zielonogórski
 Piastenhöhe – Wzgórza Piastowskie

- Piasten Strasse – ul. Piastowska
- Posen – Poznań
- Reibnitz – Rybnica koło Jeleniej Góry
- Rewel – Tallinn
- Riesengebirge – Karkonosze
- Ring – Stary Rynek
- Rohrbuschweg – ul. Wazów
- Rothenburg – Czerwieńsk
- Rothenburger Strasse – ul. gen. Jarosława Dąbrowskiego
- Sagan – Żagań
- Sawade – Zawada, dawniej wieś, dziś część Zielonej Góry
- Schillershöhe – wzgórze bez polskiej nazwy w pobliżu ul. Wrocławskiej
- Schulstrasse – ul. Kazimierza Lisowskiego
- Schutzenstrasse – ul. Strzelecka
- Schwertendorf – Przylep, dawniej wieś, dziś część Zielonej Góry
- Seeläsgen – Przełazy
- Silberg – al. Konstytucji 3 Maja (nieistniejąca ul. Srebrna Góra)
- Sorau – Żary
- Sprottau – Szprotawa
- Swiebus – Świebodzin
- Topfmarkt – pl. Pocztowy
- Viridi Mons – Zielona Góra (łac.)
- Warschau – Warszawa
- Wartenberg – Otyń
- Wilhelmplatz – pl. Bohaterów
- Wittgenau – Wilkanowo
- Woitscheke – Wysokie

Ziegelberg – ul. Ceglana

Züllichau – Sulechów

Zum Adler Apotheke – apteka Pod Orłem na Starym
Rynku

Zum Garten Christi – kościół pw. Matki Bożej Czę-
stochowskiej

Słowniczek tytułów i cytatów

(określenia łacińskie na podstawie: Władysław Kopaliński, *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych z almanachem*, Warszawa 2014)

À propos – W związku (fr.).

Ars longa, vita brevis – Życie krótkie, sztuka długotrwała (łac.).

Cuius regio, eius religio – Czyj kraj, tego wyznanie (łac.).

De publicis – O sprawach publicznych (łac.).

„Der Bote aus dem Riesengebirge” – „Posłaniec Kar-konoszy” (niem.).

„Dreiunddreissig Minuten in Grünberg oder der halbe Weg” – „Trzydzieści trzy minuty w Zielonej Górze albo w połowie drogi” (niem.).

„Grünberger Wochenblatt” – „Tygodnik Zielonogórski” (niem.).

In medias res – Do sedna rzeczy (łac.).

Nulla poena sine lege – Nie ma kary bez prawa (łac.).

Nutrimendum spiritus – Pokarm dla ducha (łac.).

Per aspera ad astra – Przez cierpienie do gwiazd (łac.).

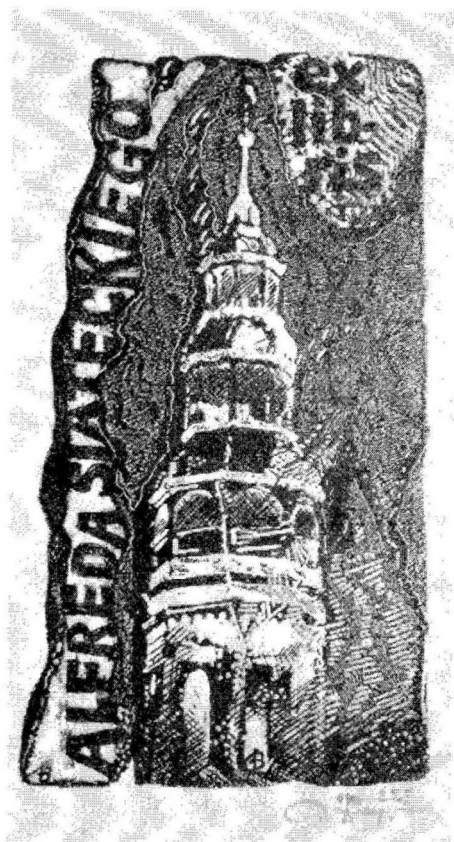
Primus inter pares – Pierwszy wśród sobie równych (łac.).

Status quo – Istniejący obecnie stan rzeczy (łac.).

„Traite des nerfs et de leur maladies” – „Traktat o nerwach i ich chorobach” (fr.).

Spis rzeczy

Wino musujące	7
Nie będzie końca świata w Grünbergu	33
Siła wyższa	65
Sąd Ostateczny nad księdzem Michalskim	105
Każda mogła być czarownicą	123
Czosnek niedźwiedzi	147
Chłopiec z konikiem	169
Pozaduszki zielonogórskie	195
Słowniczek nazw	239
Słowniczek tytułów i cytatów	245



proj. Agata Buchalik-Drzyzga, 2000 r.

Alfred Siatecki

Urodził się 18 czerwca 1947 r. w Kostrzynie nad Odrą. Ukończył studia przyrodnicze w Wyższej Szkole Rolniczej w Szczecinie i dziennikarstwo. Doksztalał się na Uniwersytecie Hohenheim w Stuttgarcie. Był redaktorem w „Nadodrze”, „Gazecie Nowej” i „Gazecie Lubuskiej”. Debiutował opowiadaniem w „Wiadomościach Zachodnich” w 1969 r. Otrzymał Nagrodę Twórczą Młodych „Zielone Grono” (1982), Lubuską Nagrodę Kulturalną (1986), Nagrodę Kulturalną Prezydenta Zielonej Góry (1989), Lubuski Wawrzyn Literacki (2001), nagrodę redakcji „Studiów Zielonogórskich” (2011), Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza (2015) i Lubuski Laur (2016). Jego utwory tłumaczono na języki: białoruski, górnołużycki, rumuński i niemiecki. Członek ZLP od 1985 r. Mieszka w Zielonej Górze.

powieści

Jubel, Warszawa 1987, Książka i Wiedza

Gość z volkswagena, Zielona Góra 1992, Lubuska
Oficyna Wydawnicza

Zmowa pułkowników, Zielona Góra 2000, Pro Libris

A jednak będzie noc poślubna, Zielona Góra 2007, Pro
Libris

Psie kochanie, Tolkmicko 2010, Radwan

Postrzelony, Gdańsk 2014, drugie wydanie 2016,
Oficynka

Polonistki, Gdańsk 2015, Oficynka

Porąbany, Gdańsk 2016, Oficynka

Pomsta, Gdańsk 2017, Oficynka

zbiory opowiadań

Podzwonni ręczniacy, Warszawa 1980, Iskry

Piaszczysta ziemia, Warszawa 1985, Iskry

Przekłête wykopki, Zielona Góra 1986, Lubuskie Towarzystwo Kultury

Podróż do piaszczystego wzgórza, Szczecin 1987, Glob

Drugie przykazanie miłości, Zielona Góra 1996, Pro Libris

Sława po zmroku, Zielona Góra 2004, Organon

Klucz do bramy, Zielona Góra 2009, Muzeum Ziemi Lubuskiej

Drugi klucz do bramy, Zielona Góra 2010, Muzeum Ziemi Lubuskiej

Trzeci klucz do bramy, Zielona Góra 2011, Muzeum Ziemi Lubuskiej

Czwarty klucz do bramy, Zielona Góra 2012, Muzeum Ziemi Lubuskiej

Piąty klucz do bramy, Zielona Góra 2014, Muzeum Ziemi Lubuskiej

Szósty klucz do bramy, Zielona Góra 2015, Muzeum Ziemi Lubuskiej

Pozaduszki, Zielona Góra 2017, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”

zbiory reportaży, szkiców i bio-bibliografii

Pisarze lubuscy, Zielona Góra 1981, Lubuskie Towarzystwo Kultury

- Literaci środkowego Nadodrza*, Zielona Góra 1986, Lubuskie Towarzystwo Kultury
- Znaki graniczne*, Warszawa 1988, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
- Miejsce zmagañ. Współcześni pisarze lubuscy*, Zielona Góra 1998, Pro Libris
- Miejsce zmagañ. Leksykon pisarzy regionu lubuskiego*, Zielona Góra 2001, Pro Libris
- Na winnicy. Leksykon literatów zielonogórskich*, Zielona Góra 2011, Muzeum Ziemi Lubuskiej
- Tajemnice naszej ziemi. Wywiad-rzeka z doktorem Andrzejem Marcinkianem, ostatnim spośród pierwszych lubuskich archeologów*, Zielona Góra 2011, Pro Libris
- Aleja Niepodległości 15. Przechadzki po zielonogórskim muzeum tożsamości*, Zielona Góra 2012, Muzeum Ziemi Lubuskiej

Więcej na www.alfred-siatecki.pl

Mniej znane dzieje Zielonej Góry po literacku!

Ile prawdy jest w tym, że syn zielonogórskiego mistrza wagowego miał wielki wpływ na decyzje króla czeskiego? Za jakie zasługi dla nauki zielonogórzanie zostali patronami: Pitiscus – krateru na Księżycu, Foerster – planetoidy okrążającej Słońce? Dlaczego w pobliżu Zielonej Góry spadły co najmniej cztery meteoryty? Czy główny technolog w zielonogórskiej winiarni miał coś wspólnego z istotami nie z tej ziemi? Jaką drogę przebyła rzeźba Chłopiec z konikiem, zanim stanęła na Winnym Wzgórzu? Czym się zakończyły wydarzenia zielonogórskie 1960 roku? Nie znałem odpowiedzi na te i wiele innych pytań dotyczących przeszłości mojego miasta, póki nie przeczytałem opowiadań Alfreda Siateckiego, podanych według prawideł literatury fantastyczno-naukowej inspirowanej historią.

Ryszard Błażyński
prezes Towarzystwa Miłośników
Zielonej Góry „Winnica”

